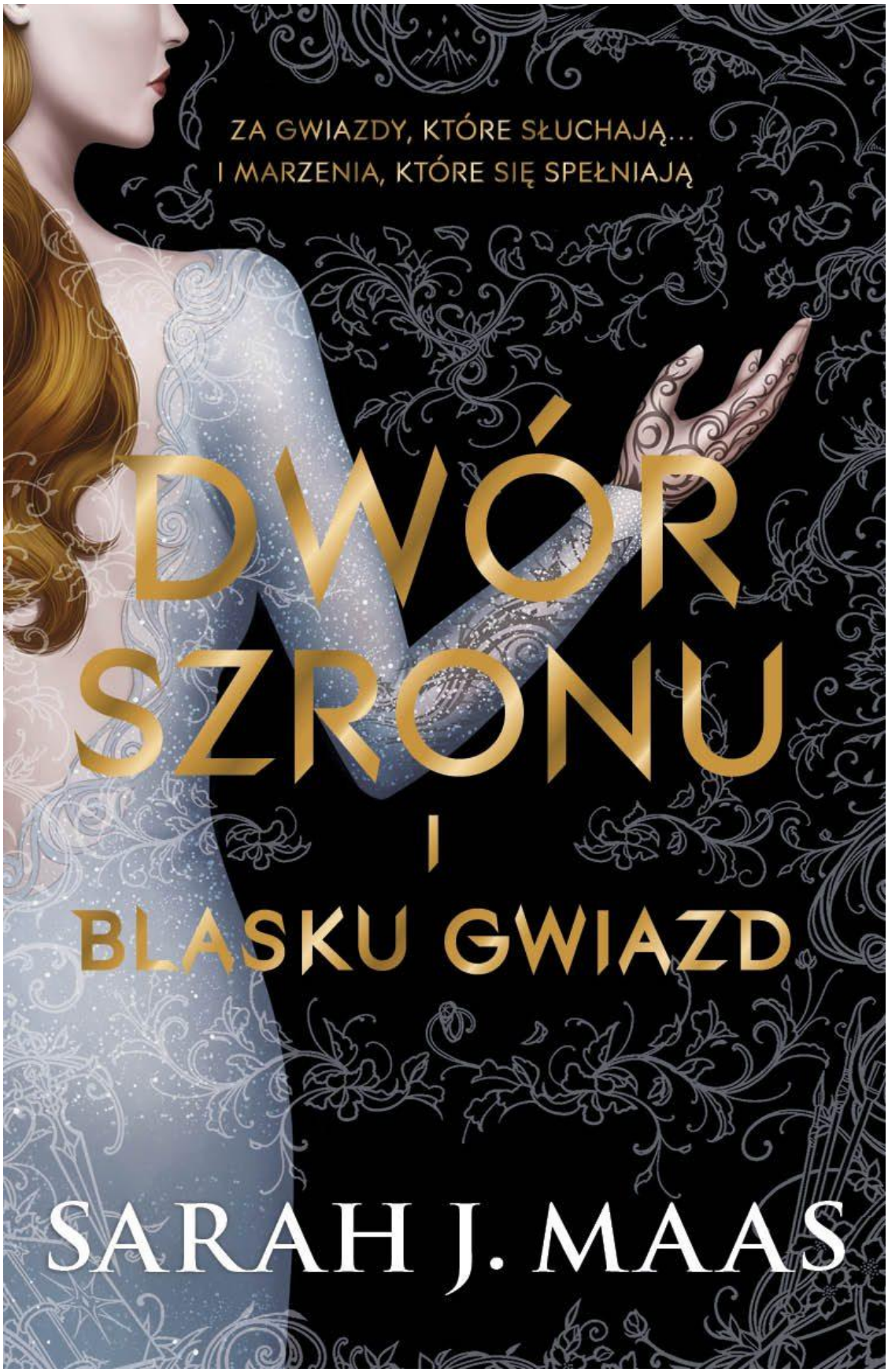
ZA GWIAZDY, KTÓRE SŁUCHAJĄ...
I MARZENIA, KTÓRE SIĘ SPEŁNIAJĄ
DWÓR SZRONU
I
BLASKU GWIAZD
SARAH J. MAAS

Sarah J. Maas

DWÓR SZRONU I BLASKU GWIAZD

przełożyli Dorota i Jakub Radzimińscy

Tytuł oryginału: *A Court Of Frost and Starlight*

Copyright © Sarah J. Maas 2018

This translation of *A Court of Frost and Starlight* is published by Grupa Wydawnicza Foksal by arrangement with Bloomsbury Publishing Inc. and Macadamia Literary Agency, Warsaw. All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVIII

Copyright © for the Polish translation by Dorota and Jakub Radzimińscy, MMXVIII

Wydanie I

Warszawa MMXVIII

Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Podziękowania

Czytelnikom, którzy spoglądają w gwiazdy i marzą

Rozdział 1

Feyra

Godzinę temu pierwszy zimowy śnieg począł opadać na ulice Velaris.

W minionym tygodniu ziemia w końcu zamarzła na kość. Gdy już pochłonęłam w ramach śniadania grzankę z boczkiem i podlałam ją filiżanką krzepiącej herbaty, blady bruk był przyprószony drobnym białym puchem.

Nie miałam pojęcia, gdzie się podziewał Rhys. Kiedy się obudziłam, jego strona łóżka była pusta, a prześcieradło zdążyło już wystygnąć. Nie było to nic nadzwyczajnego; w ostatnim czasie oboje nas wyczerpał natłok obowiązków.

Siedziałam przy długim czereśniowym stole w jadalni w naszym miejskim domu i spod zmarszczonych brwi przyglądałam się płatkom śniegu wirującym za ołowiowym szkłem okien.

Kiedyś lękałam się pierwszych śniegów, żyłam w nieustannym strachu przed długimi, srogimi zimami.

Ale to właśnie jedna z nich zawiodła mnie pewnego dnia, blisko dwa lata temu, tak daleko w las. To właśnie taka zima doprowadziła mnie do desperacji tak wielkiej, że poważyłam się zabić wilka, co ostatecznie doprowadziło mnie tu – do mojego nowego życia, do… mojego szczęścia.

Śnieg padał, a grube grudy przygniatały wyschniętą trawę na maleńkim frontowym trawniku i wieńczyły szpice i łuki dekoracyjnego ogrodzenia.

Gdzieś w głębi poczułam wzbierającą we mnie z każdym wirującym płatkiem skrzącą się, rześką moc. Owszem, byłam księżną Dworu Nocy, ale dysponowałam darami wszystkich dworów. Teraz najwyraźniej dawała o sobie znać Zima.

Wybudziłam się już na tyle, by myśleć składnie, więc opuściłam tarczę z czarnego adamantu, która chroniła mój umysł, i posłałam przez łączący mnie z Rhysem most duszy szybką myśl: „Dokąd tak wcześnie poleciałeś?”.

Moje pytanie zniknęło w ciemności. Wyraźna oznaka, że znajdował się daleko od Velaris. Zapewne opuścił nawet granice Dworu Nocy. To też nie było w tych czasach niespotykane – odwiedzał naszych sojuszników z zakończonej właśnie wojny, by wzmocnić zadzierzgnięte więzy, rozwinąć handel i monitorować zamiary innych − teraz, skoro nie było już Muru. Często dołączałam do niego, kiedy tylko pozwalała na to moja praca.

Wyczyściłam talerz, dopiłam herbatę, aż zostały same fusy, i poczłapałam do kuchni. Zabawa lodem i śniegiem mogła poczekać.

Nuala już zaczynała przygotowania do lunchu. Jej bliźniaczki Cerridweny nie było nigdzie widać. Kiedy cienista służka sięgnęła po mój talerz i filiżankę, zaprotestowałam gestem.

– Sama mogę je umyć – oznajmiłam zamiast powitania.

Półzjawa z rękami unurzanymi po łokcie w czymś przypominającym ciasto nadziewane mięsem posłała mi uśmiech wdzięczności i wróciła do swojej pracy. Była bardzo oszczędna w słowach, chociaż żadnej z bliźniaczek nie można było uznać za nieśmiałą. Zwłaszcza kiedy pracowały – szpiegowały – dla Rhysa i Azriela.

– Wciąż sypie – zauważyłam dość bezsensownie, wyglądając przez kuchenne okno na ogród za domem i płucząc talerz, widelec i filiżankę w zlewie. Elaina przygotowała już rośliny na nadejście zimy, a co bardziej delikatne krzewy i klomby osłoniła płótnem. – Ciekawe, czy w ogóle przestanie.

Nuala układała w kratkę cienkie paski ciasta na wierzchu wypieku. Właśnie zabierała się do zlepiania zwinnymi palcami brzegów.

– Miło będzie mieć białe Przesilenie – odparła dźwięcznym, choć przyciszonym głosem, w którym pobrzmiewały łagodne tony. Pełnym szeptów i cieni. – Czasami zima bywa dość lekka.

No tak. Przesilenie Zimowe. Za tydzień. Wciąż jeszcze się przyzwyczajałam do obowiązków księżnej i nie miałam najmniejszego pojęcia, jak ma wyglądać moja rola podczas uroczystości. Czy wysoka kapłanka odprawi jakąś odrażającą ceremonię, tak jak rok temu Iantha…

Rok. Bogowie. Od czasu, gdy Rhys powołał się na nasz układ, pragnąc rozpaczliwie wyciągnąć mnie z zatrutego Dworu Wiosny, uratować przed całkowitym pogrążeniem się w rozpaczy, minął już prawie rok. Gdyby przybył minutę później, sama Matka tylko wiedziała, co mogłoby się stać. Gdzie bym teraz była.

Śnieg wirował i kłębił się w ogrodzie, oblepiał brązowe włókna płótna osłaniającego rośliny.

Mój towarzysz… dołożył tylu bezinteresownych starań, wyzbyty nadziei, że kiedykolwiek będziemy razem.

Oboje walczyliśmy o tę miłość, zapłaciliśmy za nią własną krwią. Rhys zapłacił za nią życiem.

Wciąż wracałam do tamtej chwili we śnie i na jawie. Do jego twarzy, nieruchomej piersi, porwanej na strzępy łączącej nas więzi. Wciąż to czułam, tę pustkę w piersi, gdzie niegdyś tkwił łączący nas pomost, gdzie niegdyś był on. Nawet teraz, gdy więź godowa ponownie płynęła między nami niczym rzeka nakrapianej gwiazdami nocy, wciąż pobrzmiewało echo jej utraty. Wyrywało mnie ze snu, odciągało od prowadzonej rozmowy, tworzonego obrazu, spożywanego posiłku.

Rhys dobrze wiedział, dlaczego w niektóre noce wtulałam się w niego mocniej, dlaczego czasem w jasnym blasku dnia nagle mocniej ściskałam jego dłoń. Wiedział, ponieważ i ja wiedziałam, czemu czasem jego oczy nagle stawały się nieobecne; czemu czasem jedynie przyglądał się nam niewidzącym wzrokiem i mrugał, jakby nie dowierzał w to, co widzi; czemu wtedy pocierał mocno pierś, jakby usiłował rozmasować jakiś ból.

Praca pomagała. Nam obojgu. Zajmowała nas, pozwalała się skupić. Czasem lękałam się spokojnych dni spędzanych na bezczynności, kiedy wszystkie te myśli ponownie mnie opadały. Kiedy byłam tylko ja i mój umysł, i to wspomnienie Rhysa leżącego bez życia na kamienistej ziemi; króla Hybernii skręcającego kark mojemu ojcu; niezliczonych Ilyrów strącanych z nieba i opadających na ziemię w postaci popiołu.

Może któregoś dnia nawet praca nie zdoła oddzielić mnie od tych wspomnień.

Szczęśliwie w dającej się przewidzieć przyszłości czekało mnie mnóstwo pracy. Odbudowa Velaris po hybernijskich atakach była tylko jednym z wielu monumentalnych zadań. Czekało też wiele innych, zarówno w Velaris, jak i w innych miejscach: w Górach Ilyryjskich, w Wykutym Mieście, na całych rozległych ziemiach Dworu Nocy. A przecież były też pozostałe dwory Prythianu. I nowy powstający od podstaw świat poza nim.

Ale na razie: Przesilenie. Najdłuższa noc w roku. Odwróciłam się od okna i spojrzałam na Nualę, która wciąż zajmowała się brzegami ciasta.

– Tutaj to również wyjątkowe święto, prawda? – zapytałam niby od niechcenia. – Nie tylko na Dworach Zimy i Dnia?

I Wiosny.

– O, tak – odparła zapytana, nachylając się nad blatem i przyglądając krytycznie swojemu dziełu. Świetna jako szpieg, wyszkolona przez samego Azriela, i wspaniała kucharka. –

Kochamy je niezmiernie. Jest rodzinne, ciepłe, cudowne. Prezenty, muzyka, jedzenie, czasem biesiadowanie pod gołym niebem w blasku gwiazd…

Przeciwieństwo wielkich, dzikich, trwających całe dnie zabaw, których byłam świadkiem w zeszłym roku. Ale… prezenty.

Musiałam kupić dla wszystkich podarki. Nie tylko musiałam, ale też chciałam.

Bo wszyscy moi przyjaciele, którzy teraz byli moją rodziną, też walczyli, krwawili i niemal zginęli.

Odepchnęłam obraz, który przemknął mi przez myśli: widok Nesty nachylającej się nad rannym Kasjanem, obojga szykujących się do wspólnej walki, do śmierci z rąk króla Hybernii. Widok zwłok mojego ojca za nimi.

Rozciągnęłam mięśnie szyi. Przydałoby się coś, co moglibyśmy świętować. Tak rzadko zbieraliśmy się wszyscy na dłużej niż godzinę czy dwie.

– Jest to też czas wypoczynku – ciągnęła Nuala. – I czas rozważań nad ciemnością. Nad tym, jak dzięki niej może lśnić światłość.

– Czy przewidziana jest jakaś uroczystość?

Półzjawa wzruszyła ramionami.

– Tak, ale żadne z nas na nią nie idzie. Jest bardziej dla tych, którzy chcą uczcić ponowne narodziny światła. Zwykle w tym celu siedzą całą noc w całkowitych ciemnościach. – Przez jej twarz przemknął nikły uśmiech. – To nic nowego dla mnie i mojej siostry. Ani dla księcia.

Kiwnęłam głową, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo mi ulżyło, że nie będę musiała godzinami sterczeć w świątyni.

Odstawiłam umyte naczynia do wyschnięcia na niewielkim drewnianym ociekaczu koło zlewu, życzyłam Nuali powodzenia z lunchem i ruszyłam na górę, by się przebrać. Cerridwena przyszykowała już ubrania, ale jej samej nigdzie nie było widać. W samotności założyłam ciężki, czarny jak smoła sweter, obcisłe czarne spodnie i wyłożone futrem buty, po czym zaplotłam włosy w luźny warkocz.

Rok temu byłam wciskana w przepiękne suknie i obwieszana wspaniałymi klejnotami, po czym zmuszana do paradowania przed puszącymi się dworzanami, którzy gapili się na mnie jak na cenną rozpłodową klacz.

Tu zaś… Spojrzałam z uśmiechem na srebrno-szafirową ozdobę na palcu lewej dłoni. Pierścień, który zdobyłam dla siebie w leśnym domu Tkaczki.

Mój uśmiech nieco przygasł.

Ona również wciąż mi się przypominała. Stojąca przed królem Hybernii, skąpana we krwi swoich ofiar; a potem on chwycił ją za głowę i skręcił kark, by następnie rzucić ciało swoim bestiom na pożarcie.

Zwinęłam palce w pięść i oddychałam ciężko – wdech przez nos, wydech przez usta – aż wróciło całkowicie czucie we wszystkich kończynach, aż ściany przestały na mnie napierać.

Potoczyłam wzrokiem po osobistych rzeczach porozkładanych w pokoju Rhysa – naszym pokoju. Nie była to w żadnym razie mała sypialnia, ale ostatnimi czasy zaczęła sprawiać wrażenie… ciasnej. Stojące pod ścianą biurko z drewna różanego było zasłane papierami i książkami pozostawionymi przez nas oboje. Swoją biżuterię i ubrania musiałam teraz trzymać częściowo tutaj, a częściowo w mojej starej sypialni. No i była jeszcze broń.

Sztylety i miecze, kołczany i łuki. Gdy mój wzrok padł na ciężką buławę o groźnym wyglądzie, którą Rhys jakoś zdołał szmyrgnąć obok biurka tak, że dopiero teraz ją zauważyłam, podrapałam się skonsternowana po głowie.

Nawet nie chciałam wnikać. Chociaż bez wątpienia był w to w jakiś sposób zamieszany Kasjan.

Oczywiście mogliśmy przechowywać wszystko w kieszeni między światami, ale… spojrzałam spod zmarszczonych brwi na moje ilyryjskie miecze oparte o wielką szafę.

Gdyby zasypał nas śnieg, pewnie bym skorzystała z okazji i zrobiła tu porządek. Znalazłabym miejsce na wszystko. Zwłaszcza na tę buławę.

Zadanie nie byłoby łatwe, ponieważ Elaina wciąż zajmowała trzecią sypialnię. Nesta przeniosła się na drugi koniec miasta do domu, o którym starałam się nie myśleć zbyt intensywnie. Dobrze, że chociaż Lucien po powrocie z wojny – i z Dworu Wiosny – wybrał eleganckie mieszkanie nad rzeką.

Nie pytałam go o wizytę na ziemiach Tamlina.

A Lucien nie uznał za stosowne komentować swojego podbitego oka i rozciętej wargi. Zapytał tylko Rhysa i mnie, czy nie znamy jakiegoś miejsca w Velaris, w którym mógłby się zatrzymać, ponieważ nie chciał nam się już narzucać i zajmować miejsca w naszym domu, a jednocześnie nie odpowiadała mu izolacja w Domu Wiatru.

Nie wspomniał ani o Elainie, ani o odległości od niej. Ona zaś ani nie prosiła go, żeby został, ani nie nalegała, żeby odszedł. A jeśli siniaki na jego twarzy wzbudziły w niej jakiekolwiek uczucia, nie dała tego po sobie poznać.

Jednak Lucien został w mieście i znajdywał sobie różne zajęcia, czasem na całe dnie lub tygodnie.

Ale nawet pomimo wyprowadzki Luciena i Nesty do własnych lokum nasz miejski dom sprawiał wrażenie nieco ciasnego. Zwłaszcza kiedy zjawiali się Mor, Kasjan i Azriel. Z kolei Dom Wiatru był zbyt wielki, zbyt formalny i zbyt oddalony od samego miasta. Można było w nim zostać na dzień lub dwa, ale… kochałam dom w mieście.

Czułam, że tu jest moje miejsce. Po raz pierwszy naprawdę czułam, że gdzieś przynależę.

I byłoby miło świętować tu Przesilenie. Z nimi wszystkimi, pomimo ciasnoty.

Skrzywiłam się, gdy mój wzrok padł na stos papierów, którymi musiałam się zająć: listy z innych dworów, prośby kapłanek ubiegających się o nowe stanowiska, noty z królestw ludzkich i fae. Od tygodni odkładałam udzielenie na nie wszystkie odpowiedzi, aż w końcu obiecałam sobie zrobić to dzisiejszego poranka.

Księżna Dworu Nocy, Obrończyni Tęczy i… biurko.

Parsknęłam i przerzuciłam warkocz przez ramię. Może z okazji Przesilenia w ramach prezentu dla samej siebie zatrudnię osobistego sekretarza. Kogoś, kto będzie to wszystko czytał i pisał odpowiedzi, kto oddzieli rzeczy ważne od mniej istotnych. Bo gdybym miała trochę więcej czasu dla siebie, dla Rhysa…

Przejrzałam finanse dworu, którymi Rhys nigdy się na dobrą sprawę nie zajmował, i sprawdziłam, jakie pieniądze można by było przesunąć, żeby pozwolić sobie na zatrudnienie takiej osoby. A raczej dwóch: dla mnie i dla niego.

Wiedziałam, że mamy dość zasobny skarbiec; wiedziałam, że mogliśmy bez problemu sobie na to pozwolić bez uszczerbku dla naszej fortuny, ale nie przeszkadzała mi dodatkowa praca. Kochałam pracować. Te ziemie, ich mieszkańcy – zajmowali w moim sercu miejsce nie gorsze niż mój towarzysz. Aż do wczoraj pomagałam im niemal cały czas od rana do nocy. Dopóki nie powiedziano mi uprzejmie, żebym poszła do domu i cieszyła się świętem.

Po zakończeniu wojny mieszkańcy Velaris zabrali się do odbudowy miasta i pomagania sobie wzajemnie. Zanim zdołałam wymyślić, jak ich mogę wesprzeć, powstało już wiele stowarzyszeń pomocowych. Zgłosiłam się zatem do kilku i zajmowałam wynajdowaniem domów dla tych, którzy stracili dach nad głową; odwiedzaniem rodzin poległych w walkach czy rozdawaniem jedzenia i ciepłych ubrań bezdomnym i ubogim, by pomóc im się przygotować na nadejście zimy.

Wszystko to było potrzebne. Moja praca była pożyteczna i przynosiła mi satysfakcję. A mimo to… wciąż miałam niedosyt. Czułam, że mogłabym zrobić więcej. Ja sama. Tylko jeszcze nie ustaliłam, co konkretnie.

Wyglądało na to, że nie ja jedna chciałam pomóc tym, którzy tyle stracili. W związku ze zbliżającym się świętem przybyło wielu ochotników i wypełniło szczelnie ratusz w pobliżu Pałacu Nici i Klejnotów, gdzie mieściło się wiele z nowo powstałych stowarzyszeń. „Twoja pomoc była nieoceniona, pani – powiedziała mi wczoraj jedna z kobiet koordynujących pomoc potrzebującym. – Jesteś tu niemal codziennie, pracowałaś aż do kresu sił. Odpocznij przez ten tydzień. Zasłużyłaś na to. Świętuj ze swym towarzyszem”.

Próbowałam nawet zaprotestować; nalegałam, że jest wciąż tyle ciepłych płaszczy do rozdania, tyle opału do rozdzielenia. Jednak ona tylko wskazała skłębiony tłum wokół nas wypełniający szczelnie sale ratusza. „Mamy teraz naprawdę więcej rąk do pomocy, niż potrzebujemy”.

Kiedy spróbowałam ponownie zaoponować, zwyczajnie wypchnęła mnie przez drzwi frontowe. I zamknęła je za mną.

Zrozumiałam, co chciała mi przekazać. To samo usłyszałam we wszystkich innych organizacjach, do których zajrzałam wczorajszego popołudnia. „Idź do domu i ciesz się świętem”.

Tak też zrobiłam. Przynajmniej jeśli chodzi o pierwszą część. Bo z tym cieszeniem się…

Przez naszą niewidzialną więź w końcu nadeszła – niesiona huczącą falą mrocznej i lśniącej mocy – odpowiedź Rhysa na moje wcześniejsze pytanie. „Jestem w obozie Devlona”.

„Czemu tak długo nie odpowiadałeś?”. Owszem, do Gór Ilyryjskich było daleko, ale powinien zareagować szybciej niż dopiero po paru minutach.

Stłumiony zmysłowy śmiech. „Kasjan wygłaszał tyradę. Nie robił przerwy na wzięcie oddechu”.

„Moje biedne ilyryjskie maleństwo. Bez wątpienia straszliwie cię dręczymy, czyż nie?”.

Rozbawienie Rhysa napłynęło rozedrganą falą i dłońmi spowitymi nocą popieściło najgłębszą część mojej jaźni. Ale po chwili pieszczota ustała i pierzchła równie nagle, jak się pojawiła. „Kasjan wdał się w kłótnię z Devlonem. Odezwę się później”.

I z czułym muśnięciem moich zmysłów oddalił się.

Wkrótce o wszystkim mi opowie, ale teraz…

Spojrzałam z uśmiechem na tańczący za oknem śnieg.

Rozdział 2

Rhysand

Dochodziła dziewiąta rano, a Kasjan już był wściekły.

Blade promienie zimowego słońca usiłowały bezskutecznie przebić się przez chmury wiszące nad górami, a między szarymi szczytami z wyciem hulał wiatr. Gwarny obóz był już zasypany głębokim na kilkanaście centymetrów śniegiem. Wkrótce Velaris pewnie będzie wyglądało podobnie.

Kiedy wyruszałem o świcie, już śnieżyło. Kiedy wrócę, ziemia może być już zasłana dość grubą warstwą białego puchu. W czasie odbytej przed chwilą krótkiej rozmowy przez naszą więź nie zdążyłem zapytać Feyry, czy nie zechciałaby się wybrać ze mną na spacer po zasypanych świeżym śniegiem ulicach. Żebym mógł jej pokazać, jak wtedy się skrzy Miasto Blasku Gwiazd.

Samo miasto i moja towarzyszka zdawały się niewiarygodnie daleko od rozgardiaszu w Cichej Stanicy, obozie usadowionym na szerokiej przełęczy wysoko w górach. Nawet orzeźwiający wiatr hulający między szczytami, przeczący nazwie obozowiska i podrywający z ziemi chmury wirującego śniegu, nie przeszkadzał Ilyrom w wykonywaniu codziennych obowiązków.

Wojownicy, którzy akurat nie wyruszyli na patrol, trenowali na ringach wychodzących na urwisko opadające ku niewielkiej dolince poniżej przełęczy. Mężczyźni, którzy nie zostali przyjęci w poczet wojowników, zajmowali się różnym rzemiosłem: handlem, kowalstwem, szewstwem. Kobiety zaś były pochłonięte swoją codzienną żmudną krzątaniną.

Ale one tego tak nie postrzegały. Żadna z nich. Niemniej jednak ich zadania były zawsze takie same, niezależnie od wieku: gotowanie, sprzątanie, doglądanie dzieci, szycie i pranie ubrań… Należyte wykonywanie tych zadań stawiały sobie za punkt honoru i powód do dumy. Gorzej, że od wszystkich kobiet oczekiwano zajmowania się wyłącznie tego typu zajęciami. A gdy któraś usiłowała stronić od takiej pracy, była karana przez jedną z pół tuzina obozowych matek albo jednego z kontrolujących ich życie mężczyzn.

Tak toczyło się życie ludu mojej matki, odkąd tylko go poznałem. Podczas wojny kilka miesięcy temu świat narodził się na nowo, dzielący go mur został doszczętnie zniszczony, ale niektóre rzeczy pozostały takie jak dawniej. Zwłaszcza tu, gdzie wszelkie zmiany zachodziły wolniej niż topnienie rozrzuconych wśród gór lodowców. Tradycje utrzymujące się od tysięcy lat pozostawały w większości niewzruszone.

Aż do naszego przyjścia. Aż do teraz.

Oderwałem uwagę od gwarnego obozu i wróciłem myślami do wysypanych kredą ringów, gdzie staliśmy. Przywołałem na twarz neutralny wyraz i ponownie skupiłem się na utarczce Kasjana z Devlonem.

– Dziewczęta są zajęte przygotowaniami do święta Przesilenia – mówił właśnie dowódca obozu stojący z ramionami skrzyżowanymi na szerokiej piersi. – Jeśli wszystko ma być gotowe na czas, żony potrzebują wszelkiej pomocy. Mogą wrócić do treningów w następnym tygodniu.

Straciłem już rachubę, ile razy odbywaliśmy podobną rozmowę przez kilkadziesiąt lat, jakie upłynęły, odkąd Kasjan zaczął naciskać na Devlona.

Wiatr chłostał twarz mojego przyjaciela ciemnymi włosami, ale jego rysy pozostawały jak wykute z granitu, gdy zwracał się do wojownika, który niegdyś niechętnie nas szkolił:

– Dziewczęta mogą pomóc swoim matkom, kiedy już skończą swój codzienny trening.

Ograniczymy ćwiczenia do dwóch godzin. Reszta dnia w zupełności wystarczy na pomoc w przygotowaniach.

Devlon przesunął spojrzenie piwnych oczu na mnie, stojącego obok, o kilka stóp od nich.

– Czy to rozkaz?

Nie odwróciłem wzroku. I pomimo korony, pomimo mojej mocy musiałem uważać, by nie stać się znowu tym przerażonym dzieciakiem, którym byłem pięć wieków temu, kiedy po raz pierwszy Devlon stanął nade mną i wrzucił na ring.

– Jeśli Kasjan mówi, że to jest rozkaz, tak właśnie jest.

Kiedyś, gdy po raz kolejny toczyliśmy z Devlonem i Ilyrami tę samą walkę, zrozumiałem, że mógłbym zwyczajnie wedrzeć się do jego umysłu, do myśli ich wszystkich i zmusić ich do zrobienia tego, czego od nich żądaliśmy. Były jednak pewne granice, których nie mogłem – nie chciałem przekroczyć. Do tego Kasjan by mi tego nigdy nie wybaczył.

Devlon warknął i wypuścił z ust obłoczek pary.

– Godzinę.

– Dwie godziny – odparł Kasjan i rozłożył nieco skrzydła. Nie zamierzał ustąpić ani o krok, dlatego zresztą poprosił mnie rano o pomoc.

Jeśli brat potrzebował mojego wsparcia, musiało być źle. Naprawdę cholernie źle. Może powinniśmy założyć tu stałe przedstawicielstwo, dopóki Ilyrowie nie przypomną sobie o czymś takim jak konsekwencje ich działań.

Jednak wojna odcisnęła piętno na nas wszystkich. Odbudowa, ludzkie królestwa stopniowo zmierzające nam na spotkanie, pozostałe królestwa fae spoglądające na świat bez przecinającego go muru i zachodzące w głowę, jakie podłości ujdą im na sucho… Nie mogliśmy wysyłać jeszcze kogoś na stałe tutaj. Jeszcze nie. Może następnego lata, jeśli w jakimś innym miejscu sprawy się nieco uspokoją.

Pomagierzy Devlona kręcili się w najbliższym ringu i mierzyli Kasjana i mnie wzrokiem w ten sam sposób, w jaki to robili przez całe moje życie. Wiele wieków temu wybiliśmy ich podczas rytuału krwi wystarczająco wielu, żeby trzymali się od nas na odległość, ale… Tego lata to Ilyrowie krwawili i walczyli. To oni ponieśli największe straty, gdy przyjęli na siebie główny impet uderzenia Hybernijczyków i Kotła.

To, że w ogóle ktokolwiek przeżył, zawdzięczali swoim umiejętnościom i zdolnościom przywódczym Kasjana. Ale teraz wśród odizolowanych od świata i bezczynnych Ilyrów ta strata zaczynała się przeradzać w coś paskudnego. Niebezpiecznego.

Żadne z nas nie zapomniało, że w czasach rządów Amaranthy kilka ilyryjskich band bardzo chętnie oddało się pod jej rozkazy. A ja dodatkowo wiedziałem, że wszyscy Ilyrowie doskonale pamiętali, jak pierwsze miesiące po jej śmierci poświęciliśmy na wytropienie tych grup. I wybicie ich do nogi.

Tak, potrzebowaliśmy tu przedstawiciela. Ale jeszcze nie teraz.

Devlon skrzyżował umięśnione ramiona i nie ustępował.

– Po tym wszystkim, co wycierpieli, chłopcy potrzebują miłego święta Przesilenia. Pozwólcie dziewczętom im je zapewnić.

Drań z pewnością wiedział, jakiej broni używać; zarówno fizycznej, jak i słownej.

– Dwie godziny w ringu każdego ranka – powiedział Kasjan tym samym twardym tonem, przy którym nawet ja wiedziałem, że nie powinienem dalej naciskać, jeśli nie miałem ochoty na bójkę. Wytrzymał spojrzenie Devlona. – Chłopcy mogą pomóc w dekorowaniu, sprzątaniu i gotowaniu. Mają po dwie ręce.

– Niektórzy tak – stwierdził Devlon. – Inni wrócili do domu z jedną.

Bardziej poczułem, niż zobaczyłem, jak dotkliwie ubódł tymi słowami Kasjana.

Taka była cena prowadzenia moich armii do bitwy: każda rana, każda śmierć, każda blizna – odbierał je jak własne porażki. A przebywanie teraz wśród tych wojowników, patrzenie na kikuty kończyn i poważne obrażenia, wciąż leczone lub wręcz takie, których już nigdy nie da się wyleczyć…

– Będą ćwiczyły przez półtorej godziny – powiedziałem, uspokajając ciemną moc, która zaczęła kipieć mi w żyłach, która szukała ujścia na świat, i wsunąłem zimne dłonie do kieszeni.

Kasjan – mądrze – udał oburzonego i rozpostarł szeroko skrzydła. Devlon już otwierał usta, ale nie dałem mu dojść do słowa, żeby nie wykrzyczał czegoś naprawdę głupiego.

– Półtorej godziny każdego ranka – powtórzyłem. – Potem mogą się zająć pracami domowymi. A mężczyźni będą im pomagali, kiedy tylko będą mogli. – Spojrzałem w stronę stałych namiotów i niewielkich domów z drewna i kamienia rozrzuconych po szerokiej przełęczy i wspinających się aż po porośnięte drzewami szczyty za naszymi plecami. – Nie zapominaj, Devlonie, że wiele kobiet również poniosło straty. Może żadna nie straciła ręki, ale na tamtych polach bitewnych byli ich mężowie, synowie i bracia. Wszyscy mają pomagać w przygotowaniach do święta i wszyscy mają trenować.

Skinąłem na Kasjana, by podążył za mną do domu stojącego na drugim krańcu obozu, który teraz stanowił naszą niemal stałą bazę operacyjną. Wewnątrz nie było powierzchni, na której bym nie posiadł Feyry – przy czym moją ulubioną był blat stołu kuchennego – w tych dzikich pierwszych dniach po naszym pierwszym spółkowaniu, kiedy ledwie mogłem znieść bycie obok niej, a nie w niej.

Jakże odległe zdawały się teraz tamte dni. Jakby upłynęło całe życie.

Potrzebowałem święta.

Ze skrzypieniem śniegu i lodu pod butami ruszyliśmy w stronę wąskiego, piętrowego kamiennego domu na skraju lasu.

Potrzebowałem nie święta do wypoczynku ani złożenia wizyty, ale spędzenia z moją towarzyszką więcej niż paru godzin w jednym łóżku.

Żeby mieć więcej niż kilka godzin snu, żeby się w niej zatopić. Obecnie musieliśmy wybierać: jedno albo drugie. To było stanowczo nie do przyjęcia. I sprawiało, że robiłem różne głupoty.

Zeszły tydzień był tak niemożebnie zapchany obowiązkami, a ja tak bardzo pragnąłem poczuć jej dotyk i smak, że posiadłem ją podczas lotu z Domu Wiatru do miasta. Wysoko nad Velaris, gdzie każdy mógłby nas zobaczyć – gdyby nie moje zaklęcie maskujące. Wymagało to bardzo uważnych manewrów, a do tego od miesięcy pragnąłem, by ta chwila była wyjątkowa, ale gdy tak przylegała do mnie, gdy byliśmy zupełnie sami w przestworzach, wystarczyło jedno spojrzenie w te szaroniebieskie oczy, bym zaczął rozwiązywać troczki jej spodni.

Chwilę potem byłem już w niej i niemal runęliśmy na czyjś dach niczym ilyryjski młokos. Feyra tylko się chrapliwie zaśmiała.

Doszedłem na sam ten dźwięk.

Nie było to najlepsze, na co mnie było stać, i nie miałem wątpliwości, że zanim Święto Przesilenia Zimowego przyniesie nam dzień wytchnienia, stoczę się jeszcze niżej.

Zdławiłem wzbierające pożądanie, aż pozostał tylko przytłumiony ryk gdzieś z tyłu głowy. Milczałem tak, aż doszliśmy z Kasjanem na próg domu.

– Czy powinienem wiedzieć coś jeszcze, skoro już tu jestem?

Obstukałem buty ze śniegu o framugę i wszedłem do środka. Tamten stół kuchenny stał równo na środku frontowego pomieszczenia. Odegnałem wizję opartej o niego Feyry.

Kasjan westchnął i zamknął za sobą drzwi, po czym oparł się o nie, złożywszy uprzednio skrzydła.

– Narasta sprzeciw. Gdy na Przesilenie zleci się tyle klanów, wichrzyciele będą mogli pozyskać kolejnych popleczników.

Iskierka mojej mocy przywołała buzujący ogień na palenisku i niewielkie pomieszczenie szybko się nagrzało. Był to ledwie szept magii, ale pomógł rozładować to niemal nieustanne napięcie towarzyszące utrzymywaniu na uwięzi wszystkiego, czym byłem, całej tej mrocznej mocy. Usiadłem przy tym przeklętym stole i skrzyżowałem ramiona.

– Już sobie z tym gównem radziliśmy. Poradzimy sobie ponownie.

Kasjan pokręcił głową. Długie do ramion ciemne włosy zalśniły we wnikającym przez frontowe okna rozproszonym świetle dnia.

– Jest inaczej niż kiedyś. Wtedy ty, ja i Az… Gardzili nami z powodu tego, czym byliśmy, kim byliśmy. Ale tym razem… wysłaliśmy ich na wojnę. Ja ich wysłałem, Rhys. I teraz narzekają nie tylko te kutafony wojownicy, ale też kobiety. Uważają, że zabraliśmy ich na południe z zemsty za to, jak nas traktowali za młodu. Ich zdaniem umieściliśmy część mężczyzn w pierwszych szeregach, by się na nich odegrać.

Nie było dobrze. Zdecydowanie nie było dobrze.

– Zatem musimy postępować ostrożnie. Musimy się dowiedzieć, skąd sączy się ta trucizna, i ją usunąć… pokojowo – wyjaśniłem, gdy dostrzegłem jego uniesione brwi. – Tym razem nie możemy po prostu wszystkich wybić.

Kasjan podrapał się po brodzie.

– Ano nie możemy.

To nie przypominałoby polowania na te zbuntowane bandy terroryzujące każdego, kogo napotkały. Byłoby zupełnie inaczej.

Rozejrzał się po skąpanym w półmroku domu, spojrzał na trzaskający na palenisku ogień, nad którym w czasie naszego szkolenia moja matka ugotowała tyle posiłków. W piersi poczułem stary, znajomy ból. Cały ten dom, każdy jego cal, był wypełniony wspomnieniami.

– Wielu przybywa na Przesilenie – kontynuował Kasjan. – Mogę tu zostać, mieć na wszystko oko. Może rozdam prezenty dzieciom, niektórym z żon. Rzeczy, których naprawdę potrzebują, ale o które duma nie pozwala im poprosić.

To był dobry pomysł. Ale...

– To może zaczekać. Podczas Przesilenia potrzebuję cię w domu.

– Nie przeszkadza mi…

– Chcę, żebyś był w domu. W Velaris – dodałem, kiedy otworzył usta, by wypluć z siebie te lojalistyczne bzdury, w które wciąż wierzył, chociaż przez całe życie Ilyrowie traktowali go najgorzej, jak mogli. – Spędzimy święto razem. Wszyscy.

Nawet jeśli będę musiał im to nakazać jako ich książę.

Kasjan przekrzywił głowę.

– Co cię dręczy?

– Nic.

Jeśli chodzi o wszystko inne, nie miałem w zasadzie na co narzekać. Regularne sypianie z towarzyszką nie było sprawą najwyższej wagi. Ani nie powinno obchodzić nikogo poza nami dwojgiem.

– Napięcie cię zżera, Rhys?

Oczywiście przejrzał mnie na wylot.

Westchnąłem i spojrzałem spod zmarszczonych brwi na stary, poplamiony sadzą sufit. Przesilenie też świętowaliśmy w tym domu. Matka zawsze miała prezenty dla Azriela i Kasjana. Ten drugi w nasze pierwsze zimowe święto tutaj dostał pierwszy w swoim życiu prezent – nie tylko na Przesilenie, lecz w ogóle. Widziałem w jego oczach łzy, które starał się ukryć podczas

rozpakowywania podarków, a także łzy w oczach przyglądającej mu się mojej matki.

– Chciałbym, żeby był już przyszły tydzień.

– Jesteś pewien, że nie potrafisz czegoś takiego dokonać tą swoją mocą?

Spojrzałem na niego ozięble. Kasjan tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Nigdy nie przestałem dziękować za nich losowi – za moich przyjaciół, moją rodzinę; za tych, którzy widzieli moją moc i nie wzdragali się, a w ich zapachu nie czuć było lęku. Owszem, może i czasem napędzałem im niezłego stracha, ale wszyscy sobie to nawzajem robiliśmy. Kasjan wzbudził we mnie przerażenie więcej razy, niż byłem gotów przyznać. Ostatni raz ledwie parę miesięcy temu.

Dwukrotnie. Dwa razy na przestrzeni paru tygodni.

Wciąż stawał mi przed oczami wynoszony przez Azriela z pola bitwy z krwią cieknącą po nogach i skapującą na błoto, z otwartą raną w udzie.

Widziałem go także takiego, jakim widziała go Feyra – odkąd mnie wpuściła do swoich myśli, by pokazać mi, co dokładnie się wydarzyło, gdy jej siostry spotkały króla Hybernii. Wciąż widziałem Kasjana pokonanego i wykrwawiającego się na ziemi, błagającego Nestę, by uciekała.

Jak dotąd Kasjan nie wspomniał o tym ani słowem. O tym, co się wtedy wydarzyło. Ani o Neście.

Oboje w ogóle ze sobą nie rozmawiali.

Siostra mojej towarzyszki zamknęła się w jakimś podrzędnym lokalu na drugim brzegu Sidry i odmawiała jakichkolwiek kontaktów z nami. Zgodziła się tylko na kilka krótkich wizyt Feyry w każdym miesiącu.

Temu też musiałem w jakiś sposób zaradzić.

Widziałem, jak to dręczy moją księżną. Wciąż ją uspokajałem, kiedy się budziła roztrzęsiona koszmarami o tamtym dniu na Hybernii, kiedy jej siostry zostały wbrew ich woli stworzone na nowo. O tej chwili, kiedy Kasjan leżał konający na posadzce, Nesta zasłaniała go przed śmiertelnym ciosem, a Elaina – *Elaina*! – chwyciła sztylet Azriela i zabiła króla.

Potarłem brwi palcami.

– Teraz jest ciężko. Wszyscy jesteśmy zajęci, wszyscy staramy się nad wszystkim zapanować. – Tej jesieni ponownie odłożyliśmy z Azem i Kasjanem nasz coroczny pięciodniowy wypad do domku w górach na polowanie. Odłożyliśmy na przyszły rok… znowu. – Kiedy wrócimy do domu na Przesilenie, usiądziemy i wymyślimy plan działania na wiosnę.

– Zapowiada się przednia zabawa.

Z moim Dworem Snów zawsze jest przednia.

Chociaż bałem się odpowiedzi, zapytałem jeszcze:

– Czy Devlon jest jednym z buntowników?

Modliłem się w duchu, by tak nie było. Nienawidziłem go i jego wstecznictwa, ale traktował Kasjana, Azriela i mnie sprawiedliwie. Nie odmawiał nam żadnego z praw przysługujących czystej krwi ilyryjskim wojownikom. Wciąż postępował tak samo z bękartami urodzonymi za jego rządów. Te jego idiotyczne wyobrażenia na temat roli kobiet sprawiały, że miałem ochotę go udusić. Przerobić na krwawą mgiełkę. Ale gdyby go zabrakło, jedna Matka wiedziała, kto by go zastąpił.

Kasjan pokręcił głową.

– Nie sądzę. Devlon ucina wszelkie takie rozmowy. Ale z tego samego powodu spiskowcy tylko bardziej się kryją, przez co trudniej jest ustalić, kto rozpowiada te bzdury.

Skinąłem głową i wstałem. Czekało mnie w Cesere spotkanie z dwiema kapłankami, które w zeszłym roku przeżyły rzeź urządzoną przez Hybernijczyków. Chciałem z nimi uzgodnić sposób postępowania z pielgrzymami spoza naszych ziem. Jeśli się spóźnię, będą mniej skłonne

mnie wysłuchać i zgodzić się na odłożenie otwarcia granic do wiosny.

– Popróbuj jeszcze przez kilka dni, a potem przyleć do domu. Chcę cię tam widzieć na dwie noce przed samym Przesileniem. I dzień po.

Na jego ustach zatańczył zawadiacki uśmiech.

– Zakładam zatem, że podtrzymujemy naszą przesileniową tradycję. Chociaż jesteś takim dorosłym samcem z partnerką… – Mrugnąłem do niego.

– Nie chciałbym, żebyście za mną tęsknili, moje ilyryjskie maluszki.

Kasjan zachichotał. Istotnie mieliśmy pewne tradycje, które nigdy nam się nie znudziły, nawet po tych wszystkich wiekach. Stałem już w drzwiach, kiedy Kasjan dodał:

– Czy…

Przełknął ślinę.

Oszczędziłem mu wstydu ukrywania swojego zainteresowania.

– Obie siostry będą w moim domu. Czy będą tego chciały, czy nie.

– Nesta może sprawić kłopoty, jeśli uzna, że nie ma ochoty tam przebywać.

– Będzie na miejscu – uciąłem i zazgrzytałem zębami. – I będzie się zachowywała. Choć tyle jest winna Feyrze.

Kasjan spojrzał na mnie bystro.

– Jak ona się miewa?

Nie zamierzałem owijać w bawełnę.

– Nesta to Nesta. Robi, co chce, nawet jeśli to rani jej siostrę. Proponowałem jej już wiele stanowisk, ale wszystkie odrzuciła. – Z sykiem wciągnąłem powietrze przez zęby. – Może ty zdołasz przemówić jej do rozumu w czasie Przesilenia.

Syfony na dłoniach Kasjana zalśniły jasno.

– To by się pewnie skończyło rękoczynami.

Zapewne.

– To nie odzywaj się do niej słowem. Mam to gdzieś. Tylko nie mieszaj do tego Feyry. To też jej święto.

Ponieważ w noc Przesilenia… obchodziła urodziny. Kończyła dwadzieścia jeden lat.

Zdałem sobie sprawę, jak młody był to wiek.

Moja piękna, silna, dzielna towarzyszka przykuta do mnie…

– Wiem, ty draniu, co znaczy ten wyraz oczu – powiedział ostro Kasjan. – Dajże już spokój. Ona cię kocha; w sposób, w jaki jeszcze nie widziałem, żeby ktoś kogoś kochał.

– Czasem jest ciężko – przyznałem, wpatrując się w pokryty śniegiem podwórzec przed domem, ringi treningowe i budynki za nimi. – Ciężko jest pamiętać, że ona to wybrała. Że wybrała mnie. Że to nie tak jak z moimi rodzicami, połączonymi siłą.

Twarz Kasjana przybrała niecodzienny dla niego poważny wyraz i przez kilka chwil mój przyjaciel milczał.

– Czasem robię się zazdrosny – wyznał w końcu. – Nigdy bym ci nie żałował szczęścia, ale Rhys: to, co macie wy dwoje… – Przeczesał dłonią włosy, a jego karmazynowy syfon zalśnił we wpadających przez okno promieniach słońca. – Jest jak z legend, z tych kłamstw, którymi nas karmią w dzieciństwie. O chwale i cudowności więzi godowej. Sądziłem, że to wszystko stek bzdur. Dopóki nie zobaczyłem was dwojga.

– Ona kończy dwadzieścia jeden lat. Dwadzieścia jeden, Kasjanie.

– No i? Twoja matka miała osiemnaście, a twój ojciec dziewięćset.

– I była nieszczęśliwa.

– Feyra nie jest twoją matką. A ty nie jesteś swoim ojcem. – Przyjrzał mi się uważnie. – Skąd w ogóle takie słowa? Czy między wami… coś jest nie tak?

Właściwie to wprost przeciwnie.

– Dręczy mnie uczucie, że to wszystko jest jakimś żartem – powiedziałem, postępując o krok. Stare deski podłogi zaskrzypiały pod moim butem, czułem, jak moc wije się i skręca w moich żyłach niczym żywa istota. – Jakiś kosmiczny psikus. Że nikt, naprawdę nikt nie może się cieszyć takim szczęściem i nie zapłacić za to wysokiej ceny.

– Ale ty już zapłaciłeś tę cenę, Rhys. Oboje zapłaciliście. Z naddatkiem.

Machnąłem ręką.

– Po prostu… – urwałem, nie znajdując słów.

Kasjan przyglądał mi się dłuższą chwilę w milczeniu.

Potem nagle pokonał dzielącą nas odległość i zamknął w uścisku tak mocnym, że ledwie mogłem oddychać.

– Udało ci się. Nam wszystkim się udało. Oboje przeżyliście tyle, że nikt nie miałby wam za złe, gdybyście odpłynęli ku zachodzącemu słońcu jak Miriam z Drakonem i nigdy już nie przejmowali się niczym innym. Ale wy się przejmujecie. Oboje wciąż staracie się, żeby ten pokój przetrwał. Pokój, Rhys. Mamy pokój. Prawdziwy. Ciesz się nim… Cieszcie się sobą nawzajem. Spłaciłeś swój dług, zanim go jeszcze zaciągnąłeś.

W gardle mnie ścisnęło i przygarnąłem go mocno razem ze skrzydłami, ignorując ból wywołany wbijającymi się w palce łuskami jego zbroi.

– A ty? – zapytałem po chwili, wyswobadzając go z objęć. – Czy jesteś… szczęśliwy?

Jego piwne oczy zaszły cieniem.

– Wkrótce będę.

Wymijająca odpowiedź.

Nad tym też będę musiał popracować. Może pociągnąć za parę nitek, spleść je ze sobą?

Kasjan wskazał skinieniem głowy drzwi.

– Idź już, cholerniku. Do zobaczenia za trzy dni.

Skinąłem głową i nacisnąłem klamkę, ale zatrzymałem się jeszcze w progu.

– Dziękuję, bracie.

Kasjan posłał mi szelmowski uśmiech; wesoły pomimo cieni, które jeszcze nie opuściły jego oczu.

– To dla mnie zaszczyt, mój panie.

Rozdział 3

Kasjan

Kasjan nie był całkowicie przekonany, czy zdoła poradzić sobie z Devlonem i jego wojownikami bez chwytania ich za gardło. Na pewno nie przez najbliższą godzinę.

A ponieważ to nie pomogłoby uciszyć pomruków niezadowolenia, Kasjan odczekał, aż Rhys przeskoczy wśród śniegu i wiatru, po czym sam też zniknął.

Nie potrafił przeskakiwać jak Rhys, chociaż bardzo by mu się to przydało w ogniu bitwy. Widział, jak Rhys potrafi to wykorzystać, i widział też krwawe rezultaty jego działań.

Podobnie rzecz się miała z Azem – choć ten dziwny sposób, w który Az potrafił przemieszczać się przez świat, technicznie nie był przeskakiwaniem. Nigdy go o to nie zapytał. A Azriel nigdy nie kwapił się do wyjaśnień.

Ale Kasjan nie narzekał na dostępną mu metodę przemieszczania się: latanie. Zdecydowanie przydawało się w walce.

Wyszedł przed stary drewniany dom, tak żeby Devlon i gnojki ćwiczące na ringach dobrze go widzieli, po czym przeciągnął się leniwie. Najpierw ramiona, muskularne i nieustannie gotowe, by rozkwasić kilka ilyryjskich nosów. Potem skrzydła, o wiele potężniejsze i bardziej rozłożyste niż u nich. Zawsze go za to nienawidzili, chyba z tego powodu właśnie najbardziej. Rozpostarł je szeroko, aż poczuł przyjemne ukłucie bólu w potężnych mięśniach i ścięgnach, i rzucił na śnieg dwa długie cienie.

Potem z potężnym uderzeniem wystrzelił w poszarzałe niebo.

Wiatr wył wokół niego, a mroźne powietrze wyciskało mu łzy z oczu. Spowijało. Wyzwalało. Wzleciał wyżej, po czym skręcił w lewo i skierował się ku szczytom majaczącym za przełęczą, na której znajdował się obóz. Nie zaprzątał sobie głowy wykonaniem ostrzegawczego przelotu nad Devlonem i ćwiczącymi.

Zignorował ich; dał im do zrozumienia, że nie są dość ważni, żeby ich uznał za zagrożenie. To o wiele skuteczniej grało im na nerwach. Dawno temu nauczył go tego Rhys.

Wykorzystał prąd wznoszący, by wzbić się ponad pobliskie szczyty, a potem zanurkował w nieskończony, pokryty śniegiem labirynt gór, który był ich domem. Nabrał powietrza głęboko do płuc. Dzięki skórzanemu ubraniu i rękawicom ciało mu nie marzło, ale skrzydła były wystawione na lodowaty wiatr… Zimno kłuło niczym ostry nóż…

Mógłby się osłonić syfonami, tak jak to robił już w przeszłości. Ale dziś, tego ranka, chciał poczuć kąsający mróz.

Zwłaszcza w obliczu tego, co miał zamiar zrobić. Dokąd zmierzał.

Trafiłby tam z zawiązanymi oczami, wsłuchując się jedynie w wiatr wiejący między górami, wdychając woń sosen porastających zbocza pod nim, aż do nagiej skały szczytów.

Rzadko wybierał się na tę eskapadę. Zwykle robił to, gdy był bliski utraty panowania nad sobą, ale zachowywał na tyle samokontroli, żeby wiedzieć, że musi koniecznie przez kilka godzin pobyć sam. Tak jak dzisiaj.

W oddali na tle nieba zamajaczyły niewielkie, ciemne kształty. Wojownicy na patrolu. Albo może zbrojna eskorta rodzin zmierzających na obchody Przesilenia.

Większość fae wysokiego rodu była zdania, że największą zarazą tych gór byli Ilyrowie.

Nie wiedzieli, że między tymi szczytami można było napotkać istoty o wiele gorsze. Część polowała niesiona wiatrem, inne wypełzały z głębokich jaskiń.

Feyra stawiła czoło niektórym z nich w sosnowym lesie na skraju stepów. Żeby ocalić Rhysa. Kasjan zastanawiał się, czy jego brat kiedykolwiek powiedział jej, co tak naprawdę zamieszkuje te góry. Większość tych istot zginęła z ręki Ilyrów albo została przepędzona na stepy. Ale te bardziej przebiegłe, te najstarsze… one wiedziały, jak się ukryć. A potem wychodziły na powierzchnię w bezksiężycowe noce, by żerować.

Nawet pięćset lat szkolenia nie wyeliminowało zimnego dreszczu, który przemknął mu wzdłuż pleców, gdy lustrował puste, ciche góry w dole i zastanawiał się, co drzemie pod pokrywą śniegu.

Po chwili odgonił te myśli i odbił na północ. Na horyzoncie zaczął się pojawiać znajomy kształt, rosnący z każdym uderzeniem skrzydeł.

Ramiel. Święta góra.

Serce nie tylko Ilyrii, ale też całego Dworu Nocy.

Nikomu nie wolno było dotknąć jej nagich skalnych zboczy – nikomu poza Ilyrami, którzy mogli to zrobić raz w roku. Podczas rytuału krwi.

Kasjan poszybował w stronę góry, nie mogąc się oprzeć jej pradawnemu zewowi. Inna… była tak inna od jałowej straszliwej obecności samotnego szczytu w samym środku Prythianu. Ramiel zawsze zdawał się w jakiś sposób żywy. Świadomy i czujny.

Tylko raz stanął na świętej skale, ostatniego dnia swojego rytuału. Kiedy pokrwawieni i poturbowani wspięli się razem po zboczu, by ostatecznie dotrzeć do onyksowego monolitu na szczycie. Wciąż czuł kruszejącą skałę pod butami, słyszał swój chrapliwy oddech, kiedy na wpół wciągał Rhysa stopa po stopie, podczas gdy Azriel zabezpieczał tyły. W końcu wszyscy trzej jak jeden mąż dotknęli kamienia – na zakończenie tego koszmarnego tygodnia dotarli na szczyt jako pierwsi. Niekwestionowani zwycięzcy.

Przez te wszystkie wieki rytuał pozostawał niezmieniony. Każdego roku wczesną wiosną setki młodych wojowników zostawiano w górach i lasach otaczających święty szczyt; na terenie, na który przez resztę roku wstęp był zakazany, żeby żółtodzioby nie mogły zawczasu sprawdzić najlepszych tras i najdogodniejszych miejsc do zastawienia pułapek. Przez cały rok organizowane były różne zawody, które miały wyłonić tych godnych przystąpienia do próby. W każdym obozie przebiegało to nieco inaczej, ale podstawowe zasady pozostawały takie same.

Wszyscy przystępowali do rytuału ze spętanymi skrzydłami i bez syfonów, bez zaklęć pętających magię, a także bez żadnych zapasów ani ekwipunku poza ubraniami na grzbietach. Cel: dotrzeć na szczyt góry przed końcem tygodnia i dotknąć kamienia. Przeszkody: odległość, naturalne utrudnienia i pozostali uczestnicy. To wtedy załatwiano stare porachunki. Wtedy też powstawały nowe zatargi.

Zdaniem Aza był to tydzień bezsensownego rozlewu krwi.

Rhys często się z nim zgadzał, chociaż zazwyczaj również przyjmował argument Kasjana: rytuał krwi pozwalał na kontrolowane ujście groźnych napięć i tarć w społeczności Ilyrów. Lepiej załatwić pewne sprawy podczas rytuału niż ryzykować wojnę domową.

Ilyrowie byli silni, dumni i nieustraszeni. Ale nie byli zbyt dobrymi rozjemcami.

Może mu się poszczęści. Może tej wiosny rytuał zmniejszy napięcie. Do diaska, sam by stanął ponownie do próby, gdyby to miało uciszyć coraz głośniejsze pomruki niezadowolenia.

Ledwie przetrwali tę wojnę. Nie potrzebowali nowej. Poza ich granicami gromadziło się zbyt wiele niewiadomych.

Ramiel wyrastał coraz wyżej; skalny odłamek drapiący szare niebo. Piękny i samotny. Wieczny i ponadczasowy.

Nic dziwnego, że pierwszy władca Dworu Nocy umieścił górę w swoim herbie. Towarzyszyły mu trzy gwiazdy pojawiające się co rok na krótki czas, by na kształt korony

otoczyć najwyższy szczyt Ramiela. To właśnie wtedy organizowano rytuał. Kasjan nie wiedział, co było pierwsze: herb czy tradycja Ilyrów. I nigdy nie uznał za istotne, by się tego dowiedzieć.

W dole lśniły pokryte świeżym śniegiem lasy iglaste i rozpadliny znaczące krajobraz u stóp góry. Pustka i czystość. Żadnego znaku zwiastującego rozlew krwi, który się tu rozegra z nadejściem wiosny.

Był coraz bliżej góry, potężnej i nieskończonej; tak olbrzymiej, że czuł się przy niej jak jętka na wietrze. Kasjan poszybował ku południowemu zboczu i wzniósł się na tyle, by dostrzec błysk lśniącego czarnego kamienia stojącego na szczycie.

Kto go tam umieścił? Tego również nie wiedział. Jeśli wierzyć legendzie, był tam jeszcze przed powstaniem Dworu Nocy, jeszcze zanim w góry napłynęli Ilyrowie, zanim pierwszy człowiek postawił nogę na ziemi. I chociaż skałę Ramiela otulał świeży śnieg, ani jeden płatek nie dotknął kamiennej kolumny.

Przez ciało przebiegł mu dreszcz – lodowaty, ale nie przykry.

Poza czasem rytuału rzadko ktoś przylatywał do monolitu. Kasjan potrafił wymienić tylko kilkunastu, którzy od czasu, kiedy on to zrobił ze swoimi braćmi pięć wieków temu, zdołali nie tylko dotrzeć do góry, ale też przeżyć wspinaczkę. Po tygodniu walki, biegania, wykonywania prowizorycznej broni i samodzielnego zdobywania jedzenia wspinaczka stanowiła największe wyzwanie. Prawdziwa próba woli i odwagi. Przeć naprzód, kiedy wyzbyło się już resztek sił. Nie ustępować, kiedy całe twoje ciało błagało o odpoczynek… To wtedy zazwyczaj młodzi się załamywali.

Jednak kiedy dotknął onyksowego monolitu, kiedy poczuł we krwi, w sercu śpiew pradawnej potęgi, która po chwili przeniosła go bezpiecznie do obozu Devlona… Cały wysiłek został wynagrodzony. Tym przelotnym uczuciem.

Kasjan skłonił uroczyście głowę Ramielowi i żywemu kamieniowi na jego szczycie, po czym uchwycił inny wartki prąd i poszybował na południe.

Po godzinie lotu dotarł do innego znajomego szczytu.

Tylko on i jego bracia tu przybywali. Tu znajdowało się to, co tak bardzo pragnął dziś zobaczyć, poczuć.

Kiedyś życie tętniło tu tak samo żywo jak w obozie Devlona.

Kiedyś. Zanim w mroźnym samotnym namiocie na obrzeżu wioski przyszedł na świat bękart. Zanim wyrzucili młodą, niezamężną matkę na śnieg ledwie kilka dni po rozwiązaniu – z dzieckiem w rękach. A potem kilka lat później wzięli to dziecko i cisnęli je w błoto w obozie Devlona.

Kasjan wylądował na płaskiej przełęczy. Pokrywa śniegu była tu grubsza niż w Cichej Stanicy. Całkowicie skrywała przed wzrokiem wszelkie ślady po wiosce, która tu niegdyś stała.

Ale i tak pozostały tylko zgliszcza.

Dopilnował tego.

Kiedy odpowiedzialni za cierpienie i udrękę zapłacili za swoje zbrodnie, nikt nie chciał tu dłużej pozostawać. Patrzeć na strzaskane kości i krew pokrywające każdy cal ziemi, plamiące każde pole i plac ćwiczebny. Przenieśli się więc do różnych obozów, niektórzy rozpoczęli nowe życie w zupełnie nowym miejscu. Nikt nigdy tu nie wrócił.

Minęły wieki, a on nigdy tego nie żałował.

Stał teraz pośród śniegu i wiatru i rozglądał się po tym pustkowiu pozostałym po miejscu, w którym przyszedł na świat. Kasjan nie żałował tamtej rzezi ani przez chwilę.

Jego matka cierpiała w każdej minucie swojego zbyt krótkiego życia. Po wydaniu go na świat było tylko gorzej. Zwłaszcza w latach, które przyszły po tym, kiedy go zabrano.

A kiedy był już dość silny i dojrzały, by móc wrócić i jej poszukać, już nie żyła.

Nie chcieli mu powiedzieć, gdzie ją pochowano. Czy w ogóle doczekała się pogrzebu, czy też cisnęli jej zwłoki w jakąś rozpadlinę, by zgniły na dnie.

Wciąż tego nie wiedział. Nawet gdy ci, którzy dopilnowali, by nigdy nie zaznała szczęścia, wydawali ostatnie chrapliwe tchnienia, uparcie nie chcieli mu tego wyjawić. Spluwali mu w twarz i opowiadali o wszystkich podłościach, które jej wyrządzili.

Chciał ją pochować w Velaris. W miejscu jasnym i ciepłym, wśród dobrych ludzi. Daleko od tych gór.

Kasjan rozejrzał się po pokrytej śniegiem przełęczy. Jego wspomnienia były niewyraźne: błoto, zimno i zbyt małe ogniska. Ale pamiętał jej melodyjny, łagodny głos i smukłe delikatne dłonie.

Tylko tyle mu po niej pozostało.

Przeczesał palcami splątane wiatrem włosy.

Wiedział, dlaczego tu przybył; dlaczego ciągle tu przybywał. Amrena nieustannie drwiła z niego, mówiąc, że jest ilyryjskim prostakiem. Ale on znał siebie, znał swoje serce.

Devlon był jednym z bardziej sprawiedliwych wodzów. Ale kobiety, którym się mniej poszczęściło, nad którymi pastwiono się lub które przepędzano, rzadko doczekiwały się litości.

Dlatego szkolenie ich w walce, zapewnienie im możliwości i pewności siebie wystarczających, by walczyć o swoje, by spojrzeć dalej niż obozowe ognisko… Robił to wszystko dla niej. Dla matki pogrzebanej w tej okolicy lub może niepogrzebanej nigdzie. Żeby nic takiego nie miało już nigdy miejsca. Żeby jego lud, który wciąż kochał pomimo jego wad, kiedyś mógł stać się czymś… innym. Czymś lepszym.

Nieoznaczony, nieznany grób na tej przełęczy zawsze mu o tym przypominał.

Kasjan stał w milczeniu przez długie minuty, po czym spojrzał na zachód. Tak jakby mógł stąd zobaczyć odległe Velaris.

Rhys chciał, by wrócił na Przesilenie do domu, więc tak zrobi.

Nawet jeśli Nesta…

Nesta.

Nawet w jego myślach jej imię brzmiało głucho i chłodno.

To nie był dobry czas, by o niej myśleć. To nie było dobre miejsce.

Poza tym i tak bardzo rzadko sobie na to pozwalał. Zazwyczaj nie kończyło się to dobrze dla nieszczęśnika, z którym akurat ćwiczył.

Rozpostarł szeroko skrzydła i rozejrzał się ostatni raz po obozie, który kiedyś zrównał z ziemią. Kolejna rzecz, która miała przypominać, do czego jest zdolny, kiedy zostaje doprowadzony do ostateczności.

Musiał zachować powściągliwość, nawet jeśli przez Devlona i innych miał często ochotę wyć. On i Az byli najpotężniejszymi Ilyrami w ich długiej i krwawej historii. Obaj nosili niespotykany dotąd zestaw siedmiu syfonów, żeby zapanować nad potężną falą kotłującej się w nich czystej morderczej potęgi. To był zarazem dar i ciężar, którego nigdy nie lekceważył.

Trzy dni. Miał trzy dni, zanim będzie musiał udać się do Velaris.

Postara się wykorzystać je jak najlepiej.

Rozdział 4

Feyra

Tęcza tętniła życiem nawet mimo sunących przez powietrze śnieżnych zasłon.

Fae wszelkiego rodzaju krążyły licznie między różnorodnymi sklepami i pracowniami. Niektórzy wspinali się po drabinach, by zamocować do latarń girlandy z sosnowych gałązek i ostrokrzewu; inni zmiatali śnieg sprzed progów; jeszcze inni – bez wątpienia artyści – zwyczajnie stali na bladym bruku i kręcili się z twarzami uniesionymi ku szaremu niebu, z włosami, skórą i ubraniami pokrytymi drobnymi białymi płatkami.

Wyminęłam jednego z nich na środku ulicy – fae o skórze przypominającej lśniący onyks i oczach niczym wirujące gromady gwiazd – i skierowałam się do niewielkiej, ślicznej galerii sztuki, gdzie w szklanej witrynie znajdowały się różne obrazy i wyroby garncarskie. Idealne miejsce na kupowanie prezentów na Przesilenie. Na świeżo pomalowanych na niebiesko drzwiach wisiał wieniec z zimozielonych gałęzi, z mosiężnymi dzwonkami zawieszonymi w samym środku.

Nowe drzwi. Nowa witryna.

Jeszcze parę miesięcy temu jedno i drugie było strzaskane i zachlapane krwią. Cała ulica tak wyglądała.

Ciężko było nie zerkać na pokryty białym puchem bruk ulicy opadającej stromo wprost ku wijącej się w dole Sidrze. Kończyła się na nadrzecznym bulwarze zapełnionym teraz gośćmi restauracji i artystami, gdzie nie tak dawno jeszcze stałam i przyzywałam z drzemiącej wody wilki. Wtedy po kamieniach bruku spływała krew, a ulic nie wypełniały śpiew i śmiech, lecz krzyki i błagania o litość.

Nabrałam szybko powietrza przez nos. Mróz połaskotał mnie w nozdrza. Powoli wypuściłam powietrze z płuc przez usta i przyjrzałam się powstałemu obłoczkowi. A potem spojrzałam na własne odbicie w witrynie galerii: z nieobecnym wzrokiem, w ciężkim szarym płaszczu i czerwono-szarym szalu podwędzonym z szafy Mor byłam ledwo rozpoznawalna.

Chwilę później zrozumiałam, że nie tylko ja patrzę na siebie.

Wewnątrz była co najmniej piątka przeglądających towary fae, którzy usilnie starali się na mnie nie gapić.

Policzki zapłonęły mi rumieńcem, serce przyśpieszyło bicie, a ja sama uśmiechnęłam się niepewnie i ruszyłam dalej ulicą.

Chociaż w witrynie dostrzegłam coś wartego uwagi. Chociaż chciałam wejść do środka.

Trzymając dłonie w rękawiczkach wetknięte głęboko w kieszenie płaszcza, ruszyłam stromą ulicą, uważnie stawiając stopy na śliskim bruku. Mimo że Velaris było obłożone wieloma zaklęciami mającymi utrzymywać zimą ciepło w pałacach, kawiarniach i na placach, to jednak wyglądało na to, że na ten pierwszy śnieg wiele z tych czarów zdjęto, tak jakby wszyscy chcieli poczuć jego chłodny pocałunek.

Sama również przeszłam na piechotę całą drogę od domu Rhysa, choć mogłam zwyczajnie przeskoczyć lub przylecieć do celu. Pragnęłam bowiem nie tylko pooddychać rześkim powietrzem, ale też chłonąć to radosne podniecenie tryskające z fae czyniących przygotowania do święta Przesilenia.

Chociaż Rhys i Azriel wciąż uczyli mnie, kiedy tylko mogli, a ja naprawdę pokochałam latanie, na samą myśl o wystawieniu wrażliwych skrzydeł na to zimno przeszywały mnie

dreszcze.

Bardzo niewiele osób mnie poznało. Swoją moc trzymałam spętaną wewnątrz, a poza tym wszyscy byli zbyt zajęci dekorowaniem i pierwszym śniegiem, żeby zauważać mijających ich fae.

Przyjęłam to z pewną ulgą, chociaż zdecydowanie nie przeszkadzało mi, gdy do mnie podchodzili. Jako księżna co tydzień odbywałam z Rhysem otwarte audiencje w Domu Wiatru. Otrzymywaliśmy prośby drobne – jak naprawa zepsutej latarni z czarodziejskim światłem – ale też bardziej złożone – jak petycja o zaprzestanie importowania towarów z innych dworów, co wpływało negatywnie na położenie miejscowych rzemieślników.

Z częścią problemów Rhys musiał się borykać już od wieków, ale nigdy dotąd nie postępował w ten sposób.

Nie, teraz wysłuchiwał każdego, zadawał szczegółowe pytania, a potem odsyłał petenta z obietnicą rychłej odpowiedzi. Dopiero po kilku takich audiencjach zrozumiałam jego metodę – pytania, które zadawał, sam sposób, w jaki słuchał innych. Nie zmuszał mnie do włączenia się w rozmowę, jeśli nie było to konieczne; pozwolił mi samodzielnie wyczuć rytm i styl prowadzenia tych spotkań, aż sama byłam gotowa zadawać pytania. A potem pisać odpowiedzi na petycje. Rhys na każdą odpowiadał osobiście.

Teraz ja też to robiłam.

I stąd właśnie wzięły się coraz większe stosy papierów w tak wielu pokojach domu w mieście.

Nie miałam pojęcia, jak udało mu się wytrzymać tak długo bez całego zastępu sekretarzy.

Gdy tak szłam po stromej ulicy, gdy mijałam pomalowane na jaskrawe kolory budynki Tęczy otaczające mnie niczym lśniące wspomnienie lata, ponownie poczęłam to roztrząsać.

Velaris w żadnym wypadku nie było biedne, jego mieszkańcy w większości sprawiali wrażenie zadbanych, a budynki i ulice – dobrze utrzymanych. Wyglądało na to, że moja siostra zdołała znaleźć jedyną okolicę, którą można było ewentualnie nazwać slumsami. I uparła się, by tam zamieszkać. W budynku starszym od Rhysa, a do tego pilnie wymagającym remontu.

W całym mieście podobnie wyglądało zaledwie kilka kwartałów. Kiedy zapytałam Rhysa, dlaczego nie zostały wyremontowane, odparł jedynie, że próbował to zrobić. Ale wymuszenie na wielu rodzinach przeprowadzki na czas wyburzenia domów i wybudowania ich na nowo było… kłopotliwe.

Nie zdziwiło mnie, gdy dwa dni temu Rhys podał mi kartkę papieru i zapytał, czy chciałabym dodać coś jeszcze. Była to lista organizacji charytatywnych, na które przekazywał pieniądze w czasie Przesilenia; zajmowały się opieką nad biednymi, chorymi i starszymi lub udzielaniem subwencji młodym matkom, żeby mogły założyć własny interes. Dopisałam tylko dwie nazwy organizacji, o których słyszałam w czasie wolontariatu. Dla ludzi przesiedlonych w wyniku wojny z Hybernią oraz dla ilyryjskich wdów wojennych i ich rodzin. Zapisane kwoty były znaczne, przekraczały sumy, o jakich kiedykolwiek marzyłam.

Kiedyś jedyną rzeczą, której pragnęłam, był dostatek jedzenia, pieniędzy i czasu, bym mogła zająć się malowaniem. Nie zależało mi na niczym więcej. Z chęcią przyjęłabym śluby moich sióstr, żeby móc się samodzielnie zająć ojcem.

Jednak teraz − poza moim towarzyszem, moją rodziną, pozycją księżnej – delektowałam się samym faktem mieszkania tutaj, w tym miejscu; możliwością krążenia do woli po dzielnicy pełnej artystów…

Skręciłam w kolejną alejkę przecinającą ulicę wpół, w poprzek stoku, i ruszyłam między równymi rzędami domów, minigalerii i pracowni, które w padającym śniegu zdawały się zaokrąglone. Ale nawet wśród jaskrawych kolorów zdarzały się plamy szarości, pustki.

Podeszłam do jednego z takich pustych miejsc. Budynek był na wpół zawalony. Pokrywająca niegdyś ściany miętowa farba teraz poszarzała, tak jakby wraz ze skruszeniem budynku z barwy wyciekło całe światło. Okoliczne budynki też miały wyblakłe i popękane ściany, a okna galerii po drugiej stronie uliczki zabito deskami.

Kilka miesięcy temu zaczęłam przekazywać część mojego miesięcznego wynagrodzenia – chociaż sam pomysł otrzymywania czegoś takiego wciąż wydawał mi się całkowicie niedorzeczny – na odbudowę Tęczy i pomaganie artystom, ale blizny pozostały. Zarówno na budynkach, jak i w sercach ich mieszkańców.

Spojrzałam na stertę pokrytych śniegiem gruzów przede mną: kto tu mieszkał, kto tu pracował? Przeżyli czy też zostali wyrżnięci podczas ataku?

W Velaris było wiele podobnych miejsc. Widziałam je podczas wydawania zimowych płaszczy i spotkań z rodzinami w ich domach.

Ponownie ciężko westchnęłam. Wiedziałam, że zbyt często i na zbyt długo zatrzymywałam się przy takich miejscach. Wiedziałam, że powinnam iść dalej, uśmiechać się, jakby nic mnie nie dręczyło, jakby wszystko było w porządku. A jednak...

– Uciekli zawczasu. – Kobiecy głos dobiegał zza moich pleców.

Obróciłam się i poślizgnęłam na wytartym bruku. Wyrzuciłam rękę w bok, by utrzymać równowagę, i chwyciłam pierwszą rzecz, którą poczułam pod palcami: kamień ze ściany zniszczonego domu.

Jednak na widok tej, która stała za mną i wpatrywała się w rumowisko, odpłynęło ze mnie całe zażenowanie.

Nie zapomniałam jej przez te wszystkie miesiące od ataku.

Nie zapomniałam, jak stała przed tym sklepem ze wzniesioną nad głową zardzewiałą rurą, stawiającą czoło hybernijskim żołnierzom, gotowa umrzeć z improwizowaną bronią w ręce dla przerażonych fae stłoczonych wewnątrz.

Lekki rumieniec rozświetlał uroczo bladozieloną skórę, a czarne włosy spływały falami z ramion. Dla ochrony przed zimnem otuliła się brązowym płaszczem, a szyję i dolną część twarzy przysłoniła różowym szalem. Na dłoniach o delikatnych palcach nie miała jednak rękawiczek.

Należała do rodzaju fae, którego nie widywałam zbyt często. Z twarzy i postury przypominała fae wysokiego rodu, chociaż uszy miała smuklejsze i dłuższe niż moje. Ciało również miała szczuplejsze, co było widać nawet pod grubym płaszczem.

Spojrzałam w jej jaskrawe oczy o barwie ochry i zastanowiłam się, jakie farby musiałabym wymieszać, by uchwycić i oddać je wiernie na płótnie. Uśmiechnęłam się lekko.

– Cieszy mnie to.

Zapadła cisza przerywana tylko radosnym śpiewem paru osób gdzieś dalej w uliczce i szumem wiatru wiejącego od Sidry.

Nieznajoma tylko przechyliła głowę na bok.

– Pani.

Brakowało mi słów, nie przychodziło mi na myśl nic godnego księżnej, a jednocześnie nie nazbyt pretensjonalnego. Miałam tak wielką pustkę w głowie, że tylko wykrztusiłam:

– Pada śnieg.

Tak jakby sunące w powietrzu białe zasłony mogły się składać z czegokolwiek innego. Moja rozmówczyni ponownie przechyliła głowę.

– Istotnie. – Spojrzała w niebo i uśmiechnęła się. Płatki śniegu osiadały na jej smoliście czarnych włosach. – Wspaniały pierwszy śnieg.

Przyjrzałam się rumowisku za moimi plecami.

– Czy… czy znałaś mieszkańców?

– Owszem. Teraz przenieśli się do gospodarstwa krewniaka na nizinie.

Wskazała gestem dłoni równinę między Velaris a brzegiem odległego morza.

– Ach – odparłam, po czym wskazałam głową zabite deskami okna po drugiej stronie ulicy. – A tych?

Fae obejrzała się na wskazany przeze mnie budynek. Zacisnęła mocniej pomalowane na owocowy róż wargi.

– Obawiam się, że ta opowieść nie kończy się szczęśliwie.

Ukryte w wełnianych rękawiczkach dłonie pokryły mi się potem.

– Rozumiem.

Wróciła do mnie wzrokiem, a jej jedwabiste włosy zafalowały wokół niej.

– Nazywała się Polina. To była jej galeria. Od wieków.

A teraz pozostała tylko mroczna i milcząca skorupa.

– Przykro mi – rzuciłam, niepewna, co innego mogłabym powiedzieć.

Nieznajoma zmarszczyła wąskie, ciemne brwi.

– Dlaczego miałoby być ci przykro? – zapytała, po czym dodała: – Moja pani.

Przygryzłam wargę. Rozmowa o takich sprawach z kimś obcym… To chyba nie był dobry pomysł. Zignorowałam zatem jej pytanie i zadałam własne:

– Czy miała jakąkolwiek rodzinę?

Żywiłam cichą nadzieję, że chociaż oni przeżyli.

– Też mieszkają na nizinie. Jej siostra, siostrzenice i siostrzeńcy. – Kobieta ponownie spojrzała na zabite deskami okna. – Teraz budynek jest na sprzedaż.

Zamrugałam. Dopiero po chwili pojęłam sugestię.

– Och… Och, nie pytałam z *tego* powodu.

Nawet przez myśl mi to nie przeszło.

– Dlaczego nie?

Szczere, proste pytanie. Była w stosunku do mnie bardziej bezpośrednia niż większość innych, zwłaszcza obcych.

– Bo… co bym z tym zrobiła?

Wskazała mnie ruchem dłoni ze swobodnym wdziękiem.

– Jeśli wierzyć pogłoskom, jesteś uzdolnioną artystką. Przychodzi mi na myśl wiele zastosowań dla tego miejsca.

Trochę wbrew sobie odwróciłam wzrok.

– Obawiam się, że niczego nie szukam.

Nieznajoma wzruszyła jednym ramieniem.

– Cóż, niezależnie od tego nie musisz się tędy przekradać. Wszystkie drzwi stoją dla ciebie otworem.

– Jako księżnej? – zapytałam.

– Jako jednej z nas – odparła z prostotą.

Znaczenie jej słów docierało do mnie przez dłuższą chwilę. Uczucie było dziwne, tak jakbym dostała kawałek układanki, o którym nie wiedziałam, że mi go brakuje. Wyciągnęła ku mnie rękę. Dopiero teraz zrozumiałam, jak bardzo pragnęłam ją przyjąć.

– Jestem Feyra – powiedziałam, po czym zdjęłam rękawiczkę i podałam jej dłoń.

Kobieta ścisnęła moje palce. Pomimo smukłej budowy miała stalowy uścisk.

– Ressina.

Nie uśmiechała się zbyt często, ale mimo to przepełniało ją autentyczne ciepło.

Dzwony na wieży stojącej na skraju Tęczy wybiły południe. Po chwili zawtórowały im

głosy siostrzanych wież w całym mieście.

– Powinnam już iść – rzuciłam, uwalniając dłoń z uścisku Ressiny i cofając się o krok. – Miło było cię poznać.

Włożyłam na powrót rękawiczkę. Palce już zdążyły mi trochę skostnieć z zimna. Może tej zimy poświęcę nieco czasu na lepsze panowanie nad moimi ognistymi darami. Umiejętność ogrzewania ubrań i skóry bez powodowania poparzeń byłaby niezmiernie przydatna.

Ressina wskazała budynek stojący nieco dalej, zaraz za skrzyżowaniem, które przed chwilą minęłam. Ten sam, którego broniła – z malinowymi ścianami, framugami drzwi i okien w jasnym kolorze turkusowym przypominającym wodę w Adriacie.

– Jestem jedną z artystek korzystających z tamtej pracowni. Jeśli będziesz kiedykolwiek potrzebowała przewodniczki albo towarzystwa, zazwyczaj mnie tam znajdziesz. Mieszkam nad pracownią.

Zgrabnym ruchem ręki wskazała niewielkie okrągłe okienka na piętrze.

Przyłożyłam dłoń do piersi.

– Dziękuję.

Ponownie zapadła cisza. Omiotłam wzrokiem budynek, drzwi, przed którymi Ressina stała, gdy broniła swojego domu i schronionych w nim fae.

– Wiesz, pamiętamy o tym – powiedziała cicho kobieta. Spojrzałam na nią. Patrzyła na rumowisko za moimi plecami, na pracownię z zabitymi oknami, na ulicę, tak jakby ona też przebijała wzrokiem śnieg i widziała krew spływającą między kamienie bruku. – Że wtedy przybyłaś nam pomóc.

Nie wiedziałam, co zrobić z ciałem, z dłońmi, więc wybrałam bezruch.

Ressina w końcu spojrzała mi w oczy. Tęczówki barwy ochry zalśniły jasno.

– Trzymamy się z dala, żeby uszanować twą prywatność, ale pamiętaj, że wszyscy wiemy i pamiętamy, że wszyscy jesteśmy wdzięczni za to, że się tu zjawiłaś i walczyłaś dla nas.

Mimo wszystko to nie wystarczyło. Zniszczony budynek za mną był tego dowodem. Wielu fae zginęło mimo moich starań.

Ressina zrobiła kilka nieśpiesznych kroków w stronę swojej pracowni, po czym przystanęła.

– Jest nas kilkoro, malujemy razem u mnie. Raz w tygodniu. Następne spotkanie mamy za dwa dni. Bylibyśmy zaszczyceni, gdybyś do nas dołączyła.

– Co malujecie? – zapytałam z łagodnością prószącego wokół nas śniegu.

Ressina uśmiechnęła się lekko.

– To, o czym trzeba opowiedzieć.

***

Chociaż lada chwila na Velaris miał opaść mroźny wieczór, na ulicach wciąż było tłoczno. Wszyscy nieśli torby i pudła, niektórzy dźwigali wielkie kosze z owocami kupionymi na jednym z licznych stoisk rozstawionych we wszystkich pałacach.

Z naciągniętym na głowę podbitym futrem kapturem chroniącym mnie przed zimnem przeglądałam towary wyłożone na wózkach i w witrynach sklepowych Pałacu Nici i Klejnotów. Najuważniej przyglądałam się tym drugim.

Niektóre miejsca publiczne były nadal ogrzewane, ale wystarczająco duża część Velaris została wystawiona tymczasowo na kąsający wiatr, żebym rano zdecydowała się włożyć grubszy sweter. Opanowanie sztuki ogrzewania się bez przywoływania płomieni istotnie byłoby przydatne. Jeśli kiedykolwiek znajdę na to czas…

Właśnie wracałam do wystawy jednego ze sklepów pod wykuszami wyższych budynków,

kiedy ktoś wsunął dłoń w zgięcie mojej ręki. Chwilę potem usłyszałam głos Mor:

– Amrena pokochałaby cię dozgonnie, gdybyś jej kupiła tak wielki szafir.

Zaśmiałam się i odsunęłam brzeg kaptura na tyle, żeby przyjrzeć się przyjaciółce. Jej policzki były zarumienione od zimna, a zaplecione w warkocz złociste włosy wypływały na białe futro, którym miała obszyty płaszcz.

– Niestety nasz skarbiec chyba nie podzieliłby jej entuzjazmu – rzuciłam.

Mor uśmiechnęła się filuternie.

– Zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy bardzo zamożni, prawda? Mogłabyś wypełnić całą wannę tymi, o. – Skinęła głową w stronę wyeksponowanych w oknie wystawowym sklepu jubilerskiego szafirów wielkości kurzych jaj. – I nawet taki zakup byłby ledwo odczuwalny dla naszych finansów.

Wiedziałam o tym. Widziałam wykaz majątku. Wciąż nie potrafiłam objąć myślami ogromu bogactwa Rhysa. Mojego bogactwa. Te wszystkie liczby zdawały się nierzeczywiste. Tak jakby to były tylko zabawkowe pieniądze. Zwykle kupowałam tylko to, czego mi było trzeba.

Ale teraz...

– Szukam dla niej czegoś na Przesilenie.

Mor przyjrzała się wyłożonym klejnotom. Wybór był przebogaty, od kamieni w ogóle nieobrobionych po pięknie oszlifowane i oprawione. Niektóre lśniły jak gwiazdy, które spadły z nieba. Inne dymiły, jakby zostały wycięte z gorejącego serca świata.

– Amrena istotnie zasłużyła w tym roku na porządny prezent, prawda? – zagaiła.

Po tym, co zrobiła podczas ostatecznej bitwy, w której zniszczyliśmy armie Hybernii, po tym, jak wybrała pozostanie tu z nami…

– Jak my wszyscy.

Mor trąciła mnie łokciem, a jej brązowe oczy zalśniły.

– A jak myślisz, czy Varian do nas dołączy?

Parsknęłam.

– Kiedy wczoraj zapytałam o to Amrenę – odparłam – odpowiedziała wymijająco.

– To chyba znaczy „tak”. A przynajmniej, że ją odwiedzi.

Uśmiechnęłam się na tę myśl i pociągnęłam Mor do następnego okna wystawowego, przytulając się do jej boku, by się ogrzać. Amrena i książę Adriaty niczego oficjalnie nie oświadczyli, ale czasem też o tym śniłam… o tej chwili, kiedy odrzuciła swoją nieśmiertelną skórę, a Varian padł na kolana.

Istota z płomieni i żaru, stworzona w innym świecie, by wymierzać sprawiedliwość okrutnego boga, żeby być katem dla niezliczonych rzesz bezradnych śmiertelników. Tkwiła uwięziona w tym świecie przez piętnaście tysięcy lat.

I w tym czasie nigdy nie kochała – nie w sposób potrafiący zmieniać bieg historii, odmieniać losy. Dopóki nie poznała srebrnowłosego księcia Adriaty. Oczywiście przy założeniu, że Amrena była zdolna cokolwiek czy kogokolwiek naprawdę pokochać.

Rzeczywiście żadne z nich oficjalnie się nie zadeklarowało. Ale wiedziałam, że ją odwiedza – potajemnie, w tym mieście. Poznałam to głównie po tym, że w niektóre poranki Amrena wpadała do miejskiego domu Rhysa z uśmiechem kota, który właśnie pożarł mysz.

Ale z racji tego, co porzuciła, żeby móc nas uratować…

Obie z Mor jednocześnie spojrzałyśmy na ten sam klejnot na wystawie.

– Ten – oznajmiła.

Zanim skończyła wymawiać tę sylabę, już otwierałam przeszklone frontowe drzwi. Srebrny dzwoneczek radośnie oznajmił nasze przybycie.

Sklepikarka spojrzała na nas rozszerzonymi oczami. Kiedy wskazałyśmy klejnot, cała się rozpromieniła i prędko położyła go na poduszeczce z czarnego aksamitu. Następnie przeprosiła nas uprzejmie pod pretekstem odszukania czegoś na zapleczu i pozostawiła nas samym sobie przed wypolerowanym drewnianym kontuarem, byśmy mogły w spokoju przyjrzeć się kamieniowi.

– Jest idealny – wyszeptała Mor.

Kamienie ułożone wokół głównego klejnotu rozszczepiały światło i zdawały się płonąć własnym wewnętrznym ogniem. Przesunęłam palcem po chłodnej srebrnej oprawie.

– A co ty byś chciała w prezencie?

Mor wzruszyła ramionami. Ciężki brązowy płaszcz podkreślał szlachetną barwę jej oczu.

– Mam wszystko, czego potrzebuję.

– Spróbuj to powiedzieć Rhysowi. Jego zdaniem w świętowaniu Przesilenia nie chodzi o to, jakich prezentów potrzebujesz, ale raczej o to, jakich sama byś sobie nie kupiła. – Mor przewróciła oczami. I chociaż sama miałam ochotę zrobić to samo, naciskałam dalej: – No, to co *ty* byś chciała dostać?

Przesunęła palcem po oszlifowanym kamieniu.

– Nic. Niczego nie chcę.

Poza tym, nie była jeszcze gotowa na to, by wiedzieć, o co prosić i czego poszukiwać. Przyjrzałam się klejnotowi jeszcze raz i spytałam niby od niechcenia:

– Ostatnio często bywasz u Rity. Czy jest może ktoś, kogo chciałabyś zaprosić na przesileniową wieczerzę?

Mor spojrzała mi ostro w oczy.

– Nie.

To była jej sprawa, kiedy i w jaki sposób poinformuje innych o tym, co mnie powiedziała podczas wojny. A zwłaszcza kiedy i w jaki sposób powie to Azrielowi.

Do mnie należało jedynie trwać u jej boku i wspierać ją, kiedy będzie tego potrzebowała. Wróciłam więc do poprzedniego tematu.

– A co masz zamiar kupić pozostałym?

Skrzywiła się.

– Po stuleciach wzajemnego obdarowywania się znalezienie czegoś nowego dla nich wszystkich jest cholernie uciążliwe. Mam podejrzenie graniczące z pewnością, że Azriel ma całą szufladę sztyletów, które mu regularnie kupowałam, a których nigdy nie użyje, ale jednocześnie ich nie wyrzuci, bo jest na to zbyt dobrze wychowany.

– Naprawdę sądzisz, że kiedykolwiek mógłby porzucić Prawdomówcę?

– Dał go Elainie – skwitowała Mor, podziwiając leżący w szklanej gablotce na kontuarze naszyjnik z kamieniami księżycowymi.

– Oddała go – poprawiłam ją, bezowocnie usiłując odpędzić wizję czarnego ostrza przebijającego gardło króla Hybernii.

Istotnie Elaina oddała nóż. Wcisnęła go w dłoń Azriela po bitwie, tak samo jak wcześniej on wcisnął go w jej dłoń. A następnie odeszła, nawet się za siebie nie oglądając.

Mor zamruczała pod nosem. Chwilę później wróciła jubilerka i podpisałam czek obciążający mój osobisty rachunek, starając się nie krzywić na widok niebotycznej kwoty, którą właśnie wydałam jednym pociągnięciem złotego pióra.

– A skoro o ilyryjskich wojownikach mowa – podjęłam rozmowę, gdy wyszłyśmy na zatłoczony plac pałacowy i skręciłyśmy za pomalowanym na czerwono wózkiem z kubkami parującej gorącej czekolady – to co, na demony, mam im kupić?

Nie miałam odwagi zapytać, co powinnam sprawić Rhysowi, ponieważ chociaż

uwielbiałam Mor, pytanie kogoś innego o radę w sprawie prezentu dla mojego towarzysza wydawało się zwyczajnie niewłaściwe.

– Kasjanowi mogłabyś po prostu kupić nowy nóż, a on cię wycałuje z radości. Ale Az wolałby zapewne nie dostać nic, żeby inni nie patrzyli na niego, kiedy będzie otwierał pakunek.

Zaśmiałam się.

– Prawda.

Szłyśmy przed siebie pod rękę. Wypełniający zazwyczaj ulice zapach soli i miłowonki zastąpił aromat prażonych orzechów laskowych, szyszek i gorącej czekolady.

– Zamierzasz podczas Przesilenia odwiedzić Viviane?

W miesiącach po wojnie Mor utrzymywała kontakt z panią Dworu Zimy, może wkrótce też księżną, jeśli Viviane miała w tym temacie coś do powiedzenia. Przyjaźniły się od wieków i kontakt straciły dopiero za sprawą rządów Amaranthy. Chociaż wojna z Hybernią była wyjątkowo krwawa, przyniosła parę dobrych rzeczy, takich jak odnowienie ich przyjaźni. Rhysa i Kalliasa łączył wciąż chłodny sojusz, ale wyglądało na to, że relacje Mor z towarzyszką księcia Zimy stworzą pomost między naszymi dworami.

Moja przyjaciółka uśmiechnęła się ciepło.

– Może na dzień czy dwa po święcie. U nich wszystko trwa cały tydzień.

– Byłaś tam już?

Pokręciła głową, a jej złociste włosy zalśniły w blasku czarodziejskiego światła latarń.

– Nie. Zwykle zamykają swoje granice; nawet dla przyjaciół. Ale skoro teraz Kallias ma pełnię władzy, zwłaszcza z Viviane u boku, ponownie stopniowo się otwierają.

– Chciałabym zobaczyć, jak obchodzą Przesilenie.

Oczy jej błysnęły.

– Viviane kiedyś mi o tym opowiadała. Przy nich nasze zwyczaje zdają się nudne. Tańce i picie, uczty i prezenty. Buzujące ogniska zbudowane z całych pni i kotły pełne grzanego wina; śpiew tysiąca minstreli niosący się korytarzami pałacu; wtórujące im dzwonki na wielkich saniach ciągniętych przez te piękne białe niedźwiedzie.

Westchnęła.

Zrobiłam to samo, a namalowany przez nią obraz zawisł między nami w mroźnym powietrzu.

Tutaj, w Velaris, będziemy świętowali najdłuższą noc w roku. Na ziemiach Kalliasa najwyraźniej celebrowali samą zimę.

Uśmiech Mor zblakł.

– Nie odnalazłam cię przypadkiem.

– I nie chodziło tylko o zakupy?

Szturchnęła mnie łokciem.

– Dzisiaj mamy się udać do Wykutego Miasta.

Wzdrygnęłam się.

– *My*? W sensie wszyscy?

– Przynajmniej ty, ja i Rhys.

Zdusiłam w sobie jęk.

– Dlaczego?

Mor przystanęła przy stoisku i przyjrzała się starannie złożonym szalom.

– Tradycja. W okresie Przesilenia składamy wizytę na Dworze Koszmarów, żeby złożyć im życzenia.

– Naprawdę?

Mor skrzywiła się, skinęła głową sprzedawcy i ruszyłyśmy dalej.

– Jak mówiłam: tradycja. Jako znak dobrej woli. A przynajmniej tych resztek, jakie dla nich mamy. Po walkach tego lata na pewno nie zaszkodzi.

Istotnie Keir i jego Niosący Mrok walczyli u naszego boku.

Przecisnęłyśmy się przez zatłoczone serce pałacu i przeszłyśmy pod kratownicą z budzącymi się dopiero czarodziejskimi światłami. Z uśpionego, cichego zakamarka moich myśli wyfrunął tytuł obrazu. *Mróz i gwiazdy*.

– Zamierzaliście mi z Rhysem powiedzieć o tym na kilka godzin przed wyruszeniem?

– Rhysa cały dzień nie było. To ja zdecydowałam, że zrobimy to dzisiaj. Nie chcę psuć sobie właściwego Przesilenia, więc najlepiej załatwić to teraz.

Od wigilii Przesilenia dzieliło nas jeszcze wiele dni. Ale Mor starannie utrzymywała beztroski wyraz twarzy.

– Przecież to ty nadzorujesz Wykute Miasto i cały czas masz z nimi do czynienia – naciskałam.

Pod nieobecność Rhysa na dobrą sprawę nimi rządziła. I wiele razy musiała znosić swojego ojca.

Mor wyczuła pytanie ukryte w moim stwierdzeniu.

– Dzisiaj będzie tam Eris. Az mi powiedział rano.

Zachowałam milczenie, czekałam.

Kasztanowe oczy Mor pociemniały.

– Chcę zobaczyć na własne oczy, jak bardzo zbliżyli się do siebie z moim ojcem.

Taki powód w zupełności mi wystarczał.

Rozdział 5

Feyra

Kiedy Rhys w końcu wrócił do domu o zmroku, leżałam zwinięta na kocach i kołdrach na łóżku, w przyjemnym, działającym usypiająco cieple.

Na długo przedtem, zanim doszedł do drzwi frontowych, poczułam jego moc wzywającą mnie niczym mroczna melodia niosąca się przez świat.

Mor zapowiedziała, że do Wykutego Miasta wyruszymy za mniej więcej godzinę. Czasu było dość, bym zrezygnowała z ruszenia stosu papierów zalegającego na stojącym po drugiej stronie sypialni sekretarzyku z drewna różanego na rzecz zanurzenia się w lekturze. Ledwie zdołałam przebrnąć przez dziesięć stron, kiedy Rhys otworzył drzwi do pokoju.

Jego ilyryjska skórznia lśniła od roztopionego śniegu, którego jeszcze więcej miał na swoich ciemnych włosach i skrzydłach. Cicho zamknął za sobą drzwi.

– Tam, gdzie cię zostawiłem.

Uśmiechnęłam się i odłożyłam książkę na bok. Niemal całkowicie zapadła się w miękką pierzynę koloru kości słoniowej.

– Czy nie tylko do tego się nadaję?

Rhys uśmiechnął się szelmowsko półgębkiem, po czym przystąpił do zdejmowania pasów z bronią, a następnie ubrań. Pomimo rozbawienia rozświetlającego mu oczy każdy jego ruch był powolny i okupiony wysiłkiem – tak jakby z każdym oddechem walczył z wyczerpaniem.

– Może Mor powinna przełożyć wizytę na Dworze Koszmarów – zasugerowałam, marszcząc brwi.

Zrzucił z siebie kurtę. Twarda skóra wylądowała z hukiem na krześle stojącym przy biurku.

– Dlaczego? Jeśli Eris istotnie tam będzie, chciałbym go zaskoczyć swoją wizytą.

– Bo wyglądasz na wyczerpanego, dlatego.

Położył dłoń na sercu w dramatycznym geście.

– Twoja troska ogrzewa mnie lepiej niźli ogień w środku zimy, miła ma.

Przewróciłam oczami i usiadłam na łóżku.

– Zjadłeś coś chociaż?

Wzruszył ramionami. Materiał ciemnej koszuli rozciągnął się na szerokich barkach.

– Czuję się dobrze.

Przesunął wzrokiem po moich nagich nogach, a ja oparłam się o spiętrzoną pościel.

Poczułam bijący ze środka mnie żar, ale przemogłam się i wsunęłam stopy w kapcie.

– Przyniosę ci coś do jedzenia.

– Nie chcę…

– Kiedy ostatnio jadłeś?

Odpowiedziała mi ponura cisza.

– Tak myślałam. – Narzuciłam na ramiona podszytą wełną podomkę. – Umyj się i przebierz. Wyruszamy za czterdzieści minut. Zaraz wracam.

Złożył ciasno skrzydła. Wieńczące je szpony zalśniły w czarodziejskim świetle.

– Nie musisz…

– Chcę i tak zrobię.

Z tymi słowy wyszłam na korytarz o ścianach pomalowanych na błękitno.

Pięć minut później ubrany w samą bieliznę Rhys przytrzymał mi otwarte drzwi, bym mogła wejść z wyładowaną tacą.

– Zważywszy na to, że przyniosłaś całą cholerną kuchnię – mruknął, kiedy niosłam jedzenie w stronę biurka, oczywiście wciąż nieubrana i niegotowa na czekającą nas wizytę – mogłem po prostu zejść na dół.

Pokazałam mu język, a chwilę potem zmarszczyłam w przypływie irytacji brwi, szukając na blacie biurka choć kawałka miejsca na postawienie tacy. Na próżno. Nawet stolik przy oknie był zasłany jakimiś rzeczami. Oczywiście ważnymi i niezbędnymi. Stanęło na łóżku.

Rhys usiadł, złożył skrzydła za sobą i chciał przyciągnąć mnie do siebie na kolana, ale wymknęłam mu się i stanęłam w bezpiecznej odległości.

– Najpierw zjedz.

– Potem schrupię ciebie – rzucił i posłał mi szelmowski uśmiech, ale już chwilę potem pochłaniał posiłek.

Na widok szybkości i łapczywości, z jakimi to robił, gorąc wzbierający we mnie na jego słowa zastygł.

– Czy ty cokolwiek dzisiaj jadłeś?

Błysk fioletowych oczu, między kęsem chleba a pieczystego.

– Rano zjadłem jabłko.

– Rhys.

– Byłem zajęty.

– Rhys!

Odłożył widelec, a na usta zaczął się wkradać uśmiech.

– Feyro.

Skrzyżowałam ramiona.

– Nikt nie jest zbyt zajęty, żeby coś zjeść.

– Zanadto się przejmujesz.

– To moje zadanie. Poza tym to ty jesteś w tym najlepszy. Martwisz się o bardziej błahe rzeczy.

– Twój cykl nie jest rzeczą błahą.

– Bolało mnie tylko trochę…

– Miotałaś się po łóżku, jakby ktoś cię właśnie patroszył.

– A *ty* się zachowywałeś jak przewrażliwiona kwoka.

– Jakoś nie zauważyłem, żebyś krzyczała na Kasjana, Mor czy Aza, kiedy oni się o ciebie martwili.

– Nie próbowali karmić mnie łyżeczką, jakbym była niedołężna!

Rhys zachichotał i dokończył posiłek.

– Będę jadał regularnie, jeśli pozwolisz mi dwa razy w roku zachowywać się jak przewrażliwiona kwoka.

No tak… w nowym ciele cykl był zupełnie inny. Comiesięczne dolegliwości poszły w zapomnienie. Uważałam to za wspaniały dar.

Aż do jakichś dwóch miesięcy temu, kiedy dostałam okresu po raz pierwszy jako fae.

Comiesięczny ludzki dyskomfort został zastąpiony występującym co pół roku tygodniem rozdzierających męczarni. Nawet Madja, ulubiona uzdrowicielka Rhysa, niewiele potrafiła pomóc na ból poza propozycją odebrania mi przytomności. W tamtym tygodniu raz nawet to poważnie rozważałam. Rozdzierający ból zaczynał się od pleców i brzucha i sięgał aż do ud i ramion. Czułam się, jakby co rusz przeszywały mnie pioruny. Niestety nawet w ludzkiej postaci nigdy nie miałam łagodnego okresu; bywały dni, kiedy nie mogłam zwlec się z łóżka. Wyglądało

na to, że nowe wcielenie spotęgowało nie tylko moją siłę i urodę. Niestety.

Mor nie mogła mi zaoferować wiele oprócz współczucia i herbaty imbirowej. Pocieszała mnie, że przynajmniej to się dzieje tylko dwa razy w roku. Osobiście uważam, że to o dwa razy za dużo.

Rhys cały czas był przy mnie, gładził mnie po włosach, wymieniał przepocone prześcieradła, a nawet pomagał mi się obmywać. Kiedy nie chciałam, żeby widział, jak odklejam od skóry przesiąkniętą bieliznę, powiedział tylko: „Krew to krew". Wtedy już ledwo mogłam wykonać ruch bez jęku bólu, zatem jego słowa nie do końca do mnie dotarły.

Tak samo jak wzmianka o krwi. Przynajmniej ten wywar, który pił na osłabienie płodności, działał. Chociaż wśród fae poczęcie dziecka było tak rzadkie i trudne, że czasem się zastanawiałam, czy czekanie, aż będę gotowa na macierzyństwo, ostatecznie się na mnie nie zemści.

Nie zapomniałam wizji u Rzeźbiącego w Kościach; tego, w jakiej postaci mi się ukazał. Wiedziałam też, że Rhys również o tym pamiętał.

Ale nie nalegał, nie prosił. Raz mu oznajmiłam, że zanim się zdecydujemy na dzieci, chcę z nim pobyć, zażyć z nim życia. I tego nadal się trzymałam. Było tyle do zrobienia. Codziennie mieliśmy zbyt wiele obowiązków, żeby choć móc pomyśleć o sprowadzeniu na świat potomka. Życie miałam tak wypełnione różnymi sprawami, że chociaż dziecko byłoby ze wszech miar wielkim błogosławieństwem, na razie zdecydowałam się ścierpieć męczarnie dwa razy w roku. I pomóc z nimi moim siostrom.

Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad menstruacją u fae i wyjaśnienie wszystkiego Neście i Elainie było – oględnie mówiąc – krępujące.

Nesta tylko patrzyła na mnie tym swoim chłodnym wzrokiem, niemal nie mrugając. Elaina spłoniła się rumieńcem i wymamrotała coś o zdrożności takich rzeczy. Ale obie zostały stworzone blisko pół roku temu. Ich okresy nadchodziły wielkimi krokami. O ile Kocioł tego w jakiś sposób nie zakłócił.

Musiałam jakoś przekonać Nestę, żeby mnie powiadomiła, kiedy zaczną się bóle. Nie miałam zamiaru pozwolić jej cierpieć w samotności. Nie byłam przekonana, czy zdoła wytrzymać taki ból bez nikogo przy sobie.

Elaina przynajmniej była zbyt uprzejma, żeby odesłać Luciena, kiedy chciał jej pomóc. Była zbyt uprzejma, żeby odesłać go w zwykły dzień. Zwyczajnie ignorowała go lub ledwie się do niego odzywała, aż ten pojmował sugestię i odchodził. Wedle mojej wiedzy od ostatecznej bitwy z Hybernią ani razu nie zbliżył się do niej na wyciągnięcie ręki. Moja młodsza siostra zajmowała się swoim ogrodem i w milczeniu opłakiwała utracone ludzkie życie. Utraconego Graysena.

Nie miałam pojęcia, jak Lucien to znosił. Choć nie zauważyłam, by próbował zasypać dzielącą ich przepaść.

– Gdzie byłaś? – zapytał Rhys, po czym dopił wino i odstawił tacę na bok.

Gdybym miała ochotę na rozmowę, wysłuchałby mnie. Jeśli nie będę miała – nie będzie naciskał. Taki mieliśmy od samego początku niepisany układ – słuchać, kiedy drugie tego potrzebuje, i dawać więcej swobody, kiedy to ona jest potrzebna. Wciąż nie opowiedział mi jeszcze o wszystkim, czego doświadczył, czego był świadkiem pod Górą. Dodawał nowe szczegóły stopniowo, co jakiś czas. Wciąż zdarzały się noce, podczas których scałowywałam z jego policzków łzy – jedna po drugiej.

Ten temat nie był jednakże tak trudny do omówienia.

– Myślałam o Elainie – powiedziałam, opierając się o bok biurka. – I Lucienie.

Rhys uniósł brew, a ja mu wszystko wyjawiłam.

Kiedy skończyłam, zamyślił się.

– Czy Lucien dołączy do nas na Przesilenie? – zapytał.

– Źle się stanie, jeśli tak będzie?

Rhys mruknął pod nosem i przycisnął skrzydła jeszcze mocniej do ciała. Nie wiedziałam, jak znosił zimno podczas lotu, nawet z magiczną barierą. Ja w ostatnich tygodniach ledwie wytrzymywałam więcej niż kilka minut. Tylko raz wytrwałam dłużej – w zeszłym tygodniu, kiedy podczas naszego pamiętnego lotu z Domu Wiatru temperatura mocno wzrosła.

– Mogę znieść jego obecność – stwierdził w końcu Rhys.

– Jestem przekonana, że z przyjemnością usłyszy o tak gorącej aprobacie.

Posłał mi półuśmiech, na widok którego podeszłam do łóżka i zatrzymałam się między jego nogami. Położył dłonie na moich biodrach.

– Mogę ignorować jego zaczepki – powiedział, przyglądając się uważnie mojej twarzy. – I zapomnieć o tym, że wciąż zachowuje cień nadziei na pogodzenie się kiedyś z Tamlinem. Ale nie mogę mu wybaczyć tego, jak traktował cię pod Górą.

– Ja mogę. Już mu to wybaczyłam.

– Zatem wybacz mi, że nie mogę zrobić tego samego.

Lodowaty gniew przyćmił blask gwiazd w jego fioletowych oczach.

– Wciąż ledwie potrafisz rozmawiać z Nestą – powiedziałam. – Za to konwersacja z Elainą idzie ci doskonale.

– Elaina to Elaina.

– Jeśli obwiniasz jedną, drugą też musisz.

– Nie, nie muszę. Elaina to Elaina – powtórzył. – Nesta jest… jest Ilyryjką. Mówię to jako komplement, w sercu jest Ilyryjką. Dlatego dla jej zachowania nie ma żadnego usprawiedliwienia.

– Rhys, tego lata zadośćuczyniła za to z nawiązką.

– Nie mogę wybaczyć nikomu, przez kogo cierpiałaś.

Zimne, bezwzględne słowa wypowiedziane jakby od niechcenia.

Ale wciąż nie dbał o tych, przez których on sam cierpiał. Przesunęłam dłonią po zawijasach tatuaży pokrywających jego muskularny tors, powiodłam palcami po ich misternych liniach. Zadrżał pod moim dotykiem i poruszył nerwowo skrzydłami.

– To moja rodzina. Kiedyś musisz wybaczyć Neście.

Oparł czoło między moimi piersiami i objął mnie w pasie. Przez dłuższą chwilę tylko wdychał mój zapach.

– Czy taki właśnie prezent mam ci dać z okazji Przesilenia? – zapytał cicho. – Wybaczyć Neście, że pozwoliła swojej czternastoletniej siostrze iść w te lasy?

Wsunęłam mu palec pod brodę i uniosłam jego głowę.

– Jeśli nie przestaniesz się tak zachowywać, ode mnie nie dostaniesz żadnego prezentu.

Uśmiechnął się zawadiacko.

– Kutas – syknęłam i już chciałam się cofnąć, ale on tylko mocniej mnie ścisnął.

Oboje w milczeniu wpatrywaliśmy się w siebie. Aż w końcu Rhys odezwał się przez naszą więź: „Myśl za myśl, droga Feyro?”.

Uśmiechnęłam się na tę prośbę, na naszą starą zabawę. Ale uśmiech uleciał, gdy odpowiedziałam: „Byłam dzisiaj w Tęczy”.

„Ach?”. Trącił nosem mój brzuch.

Przeczesałam palcami jego ciemne włosy, rozkoszując się dotykiem jedwabistych kosmyków na moich zgrubiałych dłoniach. „Jest tam pewna artystka, Ressina. Zaprosiła mnie na wspólne malowanie za dwa dni z nią i paroma innymi”.

Rhys odchylił się, by przyjrzeć się mojej twarzy, po czym uniósł brew.

– Dlaczego nie brzmi to, jakbyś się cieszyła na tę okazję?

Wskazałam ręką naszą sypialnię, cały dom i westchnęłam ciężko.

– Od dłuższego czasu nic nie namalowałam.

Od dnia powrotu z bitwy. Rhys zamilkł, pozwolił mi uporządkować splątane słowa.

– To by było samolubne – wyznałam. – Marnować czas dla siebie, kiedy jest tyle do zrobienia i…

– To nie jest samolubne. – Zacisnął dłonie na moich biodrach. – Feyro, jeśli chcesz malować, to maluj.

– Wiele osób w mieście wciąż nie ma domu.

– Kilka godzin każdego dnia poświęcone na malowanie tego nie zmieni.

– Nie chodzi tylko o to. – Pochyliłam się do przodu i wsparłam czoło o jego głowę. Jego cytrusowo-morski zapach wypełnił moje płuca, moje serce. – Jest ich zbyt wiele. Rzeczy, które chcę namalować. Które muszę namalować. Wybranie jednej… – Odetchnęłam z drżeniem i wyprostowałam się. – Chyba nie jestem gotowa zobaczyć, co się pojawi na płótnie, kiedy namaluję część z nich.

– Ach. – Kreślił dłońmi kojące, czułe linie. – Czy dołączysz do nich w tym tygodniu, czy za dwa miesiące, moim zdaniem powinnaś pójść. Spróbować. – Rozejrzał się po sypialni. Spojrzał na gruby dywan w taki sposób, jakby przenikał wzrokiem przez podłogę. – Jeśli chcesz, możemy zamienić twój stary pokój na pracownię…

– Nie trzeba – weszłam mu w słowo. – To… Światło tam nie jest najlepsze. – Gdy uniósł pytająco brwi, wyznałam: – Sprawdzałam. Do malowania nadaje się tylko pokój dzienny, a chciałabym raczej uniknąć wypełniania całego domu smrodem farb.

– Nie sądzę, żeby komukolwiek to przeszkadzało.

– *Mnie* by przeszkadzało. Poza tym lubię prywatność. Ostatnie, czego potrzebuję, to Amrena stojąca mi za plecami i krytykująca właśnie powstający obraz.

Rhys zachichotał.

– Z Amreną można sobie poradzić.

– Nie jestem pewna, czy mówimy o tej samej Amrenie.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu, ponownie przyciągnął mnie blisko do siebie i wymruczał prosto w mój brzuch:

– W dzień Przesilenia masz urodziny.

– No i?

Starałam się o tym zapomnieć. I pozwolić zapomnieć innym.

Uśmiech Rhysa nieco przygasł i stał się koci.

– No i to znaczy, że dostaniesz dwa prezenty.

Jęknęłam.

– Nie powinnam była się przyznawać.

– Urodziłaś się w najdłuższą noc roku. – Ponownie pogładził palcami moje plecy. I niżej. – Od samego początku było ci przeznaczone być u mego boku.

Powolnym, leniwym ruchem przeciągnął dłonią wzdłuż mojego kręgosłupa. Stałam tak blisko niego, że mógł natychmiast wyczuć zmianę w moim zapachu, gdy we wnętrzu rozpalał mi się ogień.

Póki jeszcze potrafiłam składnie myśleć, pchnęłam przez naszą więź: „Twoja kolej. Myśl za myśl”.

Pocałował skórę tuż nad moim pępkiem.

– Mówiłem ci o tym pierwszym razie, kiedy przeskoczyłaś i powaliłaś mnie na śnieg?

Uderzyłam go w ramię. Mięśnie pod skórą miał twarde jak kamień.

– To ma być twoja myśl na wymianę?

Uśmiechnął się z ustami wciąż przyciśniętymi do mojego brzucha, a jego palce wciąż błądziły, wciąż nęciły.

– Powaliłaś mnie jak Ilyryjka. Idealna postawa, prosto do celu. A chwilę potem leżałaś na mnie, ciężko dysząc. Pragnąłem wtedy tylko zedrzeć ubranie z nas obojga.

– Dlaczego mnie to nie dziwi?

Przeczesałam palcami jego włosy.

Moja cienka podomka ledwie rozdzielała nasze ciała. Zaśmiał się cicho, nie odrywając twarzy ode mnie. Nie chciało mi się zakładać niczego pod spód.

– Z twojego powodu postradałem zmysły. Przez te wszystkie miesiące. Wciąż nie mogę do końca uwierzyć, że w końcu to mam. Że mam ciebie.

Ścisnęło mnie w gardle. To była ta myśl, którą chciał się podzielić, którą potrzebował się podzielić.

– Pragnęłam cię, nawet pod Górą – powiedziałam łagodnie. – Początkowo spisywałam to na karb tych okropnych okoliczności, ale gdy ją zabiliśmy, kiedy nie mogłam powiedzieć nikomu, jak się czuję… jak źle ze mną jest, powiedziałam właśnie tobie. Zawsze mogłam z tobą porozmawiać. Moje serce chyba wiedziało, że należysz do mnie. Na długo przedtem, zanim ja to zrozumiałam.

Oczy mu zalśniły i ponownie zatopił twarz między moimi piersiami, i znowu zaczął gładzić moje plecy.

– Kocham cię – wyszeptał. – Bardziej niż życie, bardziej niż moje ziemie, bardziej niż koronę.

Wiedziałam o tym. Oddał to życie, by naprawić Kocioł, osnowę całego świata, żebym mogła przeżyć. Nie umiałabym złościć się na niego za to – ani wtedy, ani przez te wszystkie miesiące. Przeżył – to był dar, za który nigdy nie przestanę być wdzięczna. A po prawdzie koniec końców ocaliliśmy się nawzajem. Wszyscy.

Pocałowałam go w czubek głowy.

– Kocham cię – wyszeptałam w niebieskoczarne włosy.

Rhys zacisnął dłonie na tylnej części moich ud. To było jedyne ostrzeżenie, zanim zwinnie obrócił mnie i przycisnął do łóżka, po czym począł wodzić nosem po mojej szyi.

– Tydzień – powiedział prosto w moją skórę, jednocześnie płynnie składając skrzydła za plecami. – Tydzień z tobą w tym łóżku. Tylko o to proszę z okazji Przesilenia.

Zaśmiałam się bezgłośnie, a on poruszył biodrami i naparł na mnie. Rozdzielały nas tylko spłachetki cienkich tkanin. Musnął wargami moje usta. Jego skrzydła przypominały ciemny mur wyrastający nad jego ramionami.

– Myślisz, że żartuję.

– Jesteśmy silni nawet jak na fae wysokiego rodu – powiedziałam, starając się zebrać myśli, podczas gdy on pociągnął mnie zębami za płatek ucha – ale cały tydzień nieprzerwanych igraszek? Chyba nie mogłabym chodzić. A ty straciłbyś władanie w członkach, a przynajmniej w swoim ulubionym.

Uszczypnął zębami delikatną krzywiznę ucha, aż mimowolnie podkurczyłam palce u stóp.

– Zatem będziesz musiała po prostu pocałować mnie w niego, żeby go uleczyć.

Wsunęłam dłoń między nas w poszukiwaniu tego ulubionego – mojego ulubionego – i ścisnęłam go przez jego bieliznę. Jęknął, naparł na moją dłoń i nagle ten ostatni element jego garderoby zniknął, przez co moja dłoń objęła jego aksamitną twardość.

– Musimy się ubrać – zdołałam powiedzieć, chociaż jednocześnie gładziłam dłonią jego nabrzmiały członek.

– Później – wychrypiał i zaczął ssać moją dolną wargę.

W rzeczy samej. Rhys odchylił się i ujął mnie wytatuowanymi ramionami za głowę. Na jednym miał ilyryjski tatuaż, a na drugim bliźniaczy wzór do tego na mojej ręce: znak naszej ostatniej umowy. Że zostaniemy razem niezależnie od tego, co nas czeka.

Poczułam pulsowanie między nogami wtórujące szaleńczemu łomotaniu serca, pragnienie przyjęcia go w siebie, żeby…

Niczym kpina z bliźniaczych rytmów wybijanych przez nasze ciała rozległo się pukanie do drzwi.

– Chciałam tylko przypomnieć – zaszczebiotała z korytarza Mor – że musimy koniecznie wkrótce wyruszyć.

Rhys warknął gardłowo, przyprawiając mnie o gęsią skórkę. Gdy obrócił głowę w stronę drzwi, włosy zsunęły mu się na czoło. W przesłoniętych mgłą oczach lśnił czysty instynkt drapieżcy.

– Mamy jeszcze trzydzieści minut – powiedział nadspodziewanie łagodnym głosem.

– A ubranie się zabiera ci dwie godziny – odcięła się zza drzwi Mor. Zawiesiła na chwilę głos. – I nie mówię teraz o Feyrze.

Rhys zaśmiał się burkliwie i oparł czoło o moją głowę. Zamknęłam oczy, wdychałam jego zapach, ale jednocześnie oderwałam od niego dłonie.

– Jeszcze nie skończyliśmy – obiecał mi chrapliwym głosem, po czym pocałował skórę u zbiegu obojczyków i odsunął się. – Idź dręczyć kogoś innego – zawołał do Mor i zatoczył koło głową. Jego skrzydła zniknęły, a on sam ruszył w stronę łazienki. – Muszę się wyszykować.

Mor zachichotała, a wkrótce odgłos jej lekkich kroków ucichł.

Opadłam bezwładnie na poduszki i wzięłam głęboki oddech, by schłodzić krążące we mnie pragnienie. Z łazienki dobiegł bulgot wody, a chwilę potem zduszony okrzyk.

Najwyraźniej nie tylko ja potrzebowałem obniżenia temperatury.

W rzeczy samej kiedy kilka minut później weszłam do łazienki, Rhys wciąż dygotał, obmywając się w wannie.

Zanurzyłam czubki palców w wodzie z mydlinami. Moje podejrzenia się potwierdziły: była lodowata.

Rozdział 6

Morrigan

Nie było tu żadnego światła.

Nigdy go nie było.

Nawet girlandy z iglastych gałęzi, wieńce z ostrokrzewu z okazji Święta Przesilenia Zimowego i ogień trzaskający na brzozowych bierwionach nie potrafiły rozwiać wieczystej ciemności zalegającej Wykute Miasto.

To nie był ten rodzaj mroku, który Mor pokochała w Velaris, ten stanowiący część Rhysa równie nieodłączną co krążąca w jego żyłach krew.

Nie, to była ciemność zgnilizny i rozkładu. Dławiąca ciemnica niszcząca wszelkie życie.

A złotowłosy mężczyzna stojący przed nią w sali tronowej, wśród wysokich kolumn pokrytych rzeźbami wijących się łuskowatych bestii – on został z tej ciemności utkany. On w niej rozkwitał.

– Wybacz, jeśli przerwaliśmy wam świętowanie – zwrócił się do niego miękkim głosem Rhysand.

Swoje słowa kierował do Keira. I do stojącego obok niego mężczyzny.

Do Erisa.

Komnata była teraz pusta. Wystarczyło jedno słowo Feyry, by wszyscy jedzący, tańczący i knujący zniknęli. Zostali tylko Keir i najstarszy syn władcy Dworu Jesieni.

Pierwszy odezwał się Eris, poprawiając klapy swojego czarnego kaftana.

– Czemu zawdzięczamy tę przyjemność?

Szyderczy ton. Wciąż słyszała w tle wysyczane obelgi, które wyszeptał dawno temu w prywatnych komnatach jej rodziny; które szeptał na każdym spotkaniu i zebraniu, na którym jej kuzyn nie był obecny. „Pokraka półkrwi. Hańba dla całej rodziny”.

– Książę.

Wypowiedziała to słowo bez udziału świadomości. A jej głos… nie należał do niej. Nigdy nie mówiła własnym głosem, nie tu, z nimi, w tej ciemności. Mor starała się mówić tonem tak lodowatym i bezwzględnym, jak tylko potrafiła.

– Czemu zawdzięczamy tę przyjemność, *książę*?

Nie próbowała się nawet powstrzymać przed wyszczerzeniem zębów.

Keir ją zignorował.

To była jego ulubiona metoda obrażania innych: zachowywać się tak, jakby dana osoba nie była warta powietrza potrzebnego, by się do niej odezwać.

„Spróbuj czegoś nowego, ty żałosny łajdaku”.

Rhys przemówił, zanim Mor zdążyła rozważyć możliwość wypowiedzenia tej myśli na głos. Jego mroczna moc wypełniła całą komnatę, całą górę.

– Oczywiście przybyliśmy, by złożyć tobie i twoim poddanym życzenia udanego Przesilenia. Ale zdaje się, że masz już gościa.

Informacje Aza sprawdziły się w zupełności, jak zawsze. Kiedy tego ranka odszukał ją w bibliotece Domu Wiatru czytającą o zwyczajach Dworu Zimy, Mor nie pytała, w jaki dokładnie sposób dowiedział się, że Eris ma przybyć właśnie dziś. Już dawno zrozumiała, że Az jej tego nie zdradzi.

To książątko z Dworu Jesieni stojące obok Keira… Mor zmusiła się do spojrzenia na

Erisa. Prosto w jego bursztynowe oczy.

Zimniejsze niż jakakolwiek komnata dworu Kalliasa. Patrzył tak na nią od ich pierwszego spotkania pięć stuleci temu.

Eris przyłożył bladą dłoń do piersi opiętej kaftanem w kolorze cyny; doskonały przykład galanterii Dworu Jesieni.

– Zapragnąłem sam złożyć życzenia z okazji Przesilenia.

Ten głos. Ten jedwabisty, arogancki głos. On również nie zmienił się pomimo upływu lat – ani w tonie, ani w tembrze. Nie zmienił się nic a nic od tamtego dnia.

Ciepłe rozmyte światło dnia przenikało między liśćmi, sprawiając, że te lśniły niczym rubiny i cytryny. Ziemista woń zgnilizny pod opadłym listowiem, między korzeniami, na których leżała. Na które została rzucona, na których ją zostawili.

Wszystko ją bolało. Wszystko. Nie mogła się poruszyć. Nie mogła zrobić nic oprócz przyglądania się, jak słońce przesuwa się za gęstymi gałęziami gdzieś wysoko w górze, poza wsłuchiwaniem się w wiatr przemykający między srebrzystymi pniami.

A w samym środku tego bólu promieniującego z każdym nierównym, chrapliwym oddechem na całe ciało niczym rozprzestrzeniający się żywy ogień…

Lekkie, równe kroki, chrzęst liści. Kroki sześciu par stóp. Straż graniczna, patrol.

Pomoc. Ktoś, kto jej pomoże…

Męski głos, nieznany i głęboki. Przekleństwo. Potem cisza.

Cisza przerwana zbliżającymi się kolejnymi krokami jednej osoby. Nie mogła obrócić głowy, nie mogła znieść tego bólu. Mogła tylko oddychać ze świstem.

– Nie dotykajcie jej.

Kroki ustały.

To nie była zachęta, by ją chronić. By jej bronić.

Znała ten głos. Lękała się go usłyszeć.

Teraz poczuła, jak się zbliża. Czuła każde drgnięcie liści, mchu, korzeni. Tak jakby drżała przed nim sama ziemia.

– Nikomu nie wolno jej dotknąć – powiedział Eris. – W chwili, gdy któryś z nas to zrobi, odpowiedzialność za nią spadnie na nas.

Zimne, nieczułe słowa.

– Ale… Ale oni przybili…

– Nikomu nie wolno jej dotknąć.

Przybili.

Wbili w nią gwoździe.

Unieruchomili ją, a ona wrzeszczała. Przytrzymywali, a ona wyła, błagała. I wtedy wyciągnęli te długie, okropne żelazne gwoździe. I młotek.

Trzy.

Trzy uderzenia młotka zagłuszone jej krzykami, zagłuszone bólem.

Zaczęła się trząść, nienawidząc tego równie mocno jak błagania o litość. Jej ciało ryczało z wszechogarniającego bólu, bezlitosne gwoździe w jej brzuchu.

Blada, piękna twarz pojawiła się nad nią, przesłaniając przypominające klejnoty liście. Niewzruszona. Beznamiętna.

– Zakładam, Morrigan, że nie masz ochoty tu zamieszkać.

Wolałaby już tu umrzeć, wykrwawić się na śmierć. Wolałaby umrzeć i powrócić – jako coś plugawego i bezlitosnego, żeby rozedrzeć ich na strzępy.

Musiał to wyczytać w jej oczach. Wykrzywił usta w lekkim uśmiechu.

– Tak myślałem.

Wyprostował się i odwrócił. Zacisnęła palce na liściach i wilgotnej ziemi.

Żałowała, że nie potrafi tak jak Rhys wysunąć pazurów, żeby wyrwać gardło z tej bladej szyi. Ale nie taki był jej dar. Jej dar… to przez swój dar znalazła się w tym położeniu. Połamana i krwawiąca.

Eris odsunął się o krok.

Ktoś za jego plecami wyrzucił z siebie:

– Nie możemy tak po prostu jej zostawić na…

– Możemy i tak właśnie zrobimy – odparł beznamiętnie Eris i z kamienną twarzą zaczął odchodzić. – Zdecydowała się pokalać samą siebie, a jej rodzina zdecydowała się wyrzucić ją jak śmiecia. Już im przekazałem swoją decyzję w tej kwestii.

Dłuższa przerwa, najbardziej okrutna z wszystkich dotychczasowych.

– Poza tym nie mam w zwyczaju pieprzyć resztek po Ilyrach.

Nie mogła ich wtedy powstrzymać. Łez, które popłynęły, gorących i palących skórę.

Sama. Chcieli ją tam zostawić samą. Jej przyjaciele nie wiedzieli, dokąd się udała. Sama ledwie wiedziała, gdzie teraz jest.

– Ale… – Głos sprzeciwu nie dawał za wygraną.

– Ruszamy.

Po tym słowie nikt już się nie odezwał.

A kiedy ich kroki się oddaliły, a potem ucichły, powróciła cisza.

Słońce, wiatr i liście.

Krew, żelazo i ziemia pod jej paznokciami.

Ból.

Lekki dotyk dłoni Feyry na jej ręce wyrwał ją z zalewu wspomnień, z tamtej zakrwawionej polany tuż za granicą Dworu Jesieni.

Mor posłała księżnej pełne wdzięczności spojrzenie, które Feyra mądrze zignorowała, by ponownie skupić swoją uwagę na toczonej rozmowie. Właściwie to nigdy nie oderwała od niej uwagi.

Feyra weszła w rolę władczyni tego okropnego miasta z dużo większą łatwością niż ona kiedyś. Ubrana w lśniącą onyksową suknię, z półksiężycowym diademem na włosach… Jej przyjaciółka emanowała władczością. Należała do tego miejsca tak samo jak zwinięte wężowe stwory wyrzeźbione i wykute wszędzie wokół. Możliwe, że kiedyś Keir właśnie taką sobie wyobrażał Mor.

Nie w czerwonej sukni, którą teraz miała na sobie, jaskrawej i odważnej, nie ze złotą biżuterią na nadgarstkach i w uszach, migoczącą w tym mroku niczym światło słońca.

– Jeśli chciałeś to małe spotkanie utrzymać w tajemnicy – powiedział ze śmiertelnym spokojem Rhys – być może oficjalne przyjęcie nie było najmądrzejszym wyborem.

Istotnie.

Rządca Wykutego Miasta machnął ręką.

– Czemu mielibyśmy cokolwiek ukrywać? Po wojnie wszyscy żyjemy w tak wielkiej przyjaźni.

Często fantazjowała o wypatroszeniu go. Czasem nożem, a czasem gołymi rękami.

– A jak się, Erisie, wiedzie na dworze twojego ojca? – zapytała łagodnym, znudzonym głosem Feyra.

W jego bursztynowych oczach płonęła wyłącznie odraza.

Na widok tego spojrzenia głowę Mor wypełnił dziki ryk. Ledwie dosłyszała jego niedbałą odpowiedź. A także uwagę Rhysa.

Kiedyś rozkoszowała się prowokowaniem Keira i jego dworzan, żeby nie pozwolić im ani na chwilę odpocząć. Na demony, tej wiosny nawet złamała kilka kości swego ojca – kiedy już Rhys całkowicie strzaskał jego ramiona. Sprawiło jej to przyjemność po tym, co Keir powiedział Feyrze. A potem nie posiadała się z radości, kiedy matka wyrzuciła ją z ich prywatnych komnat.

Zakaz wstępu do nich dalej ją obowiązywał. Ale odkąd kilka miesięcy temu Eris wszedł do sali rady…

„Masz ponad pięćset lat” – musiała sobie często przypominać. Mogła temu stawić czoło, poradzić sobie z tym lepiej niż teraz.

„Nie mam w zwyczaju pieprzyć resztek po Ilyrach”.

Nawet teraz, po tym jak Azriel znalazł ją w tamtych lasach, jak Madja ją wyleczyła, aż nie było ani śladu po gwoździach wbitych w brzuch… Nie powinna była tu dziś przychodzić.

Własna skóra zdała jej się zbyt ciasna, żołądek się skręcił. „Tchórz”.

Stawała twarzą w twarz z wrogami, walczyła w wielu wojnach, a mimo to widok tych dwóch mężczyzn razem…

Mor bardziej poczuła, niż zobaczyła, jak Feyra sztywnieje z powodu czegoś, co powiedział Eris.

Jej księżna odpowiedziała Beronowemu synowi:

– Twój ojciec ma zakaz przekraczania granicy ziem ludzi. − Ton jej głosu, stalowe spojrzenie nie pozostawiały miejsca na negocjacje.

Eris jedynie wzruszył ramionami.

– Nie sądzę, aby ta decyzja należała do ciebie.

Rhys wsunął dłonie do kieszeni; ucieleśnienie niewymuszonego wdzięku. Jednak to cienie i nakrapiany gwiazdami mrok, który się nad nim unosił i od którego sama góra drżała przy każdym jego kroku – to było prawdziwe oblicze księcia Dworu Nocy. Najpotężniejszego w historii.

– Sugeruję przypomnieć Beronowi, że powiększenie terytorium nie wchodzi w rachubę. Dla żadnego z dworów.

Eris trwał niewzruszony. Nic nigdy nie wytrącało go z równowagi, nie mąciło jego spokoju. Mor znienawidziła go za to już podczas pierwszego spotkania – za ten dystans, ten chłód. Za ten brak zainteresowania światem, brak jakichkolwiek uczuć dla innych.

– Zatem ja sugeruję tobie, książę, pomówienie o tym z twoim drogim przyjacielem Tamlinem.

– Dlaczego? – zapytała głosem ostrym jak sztylet Feyra.

Eris wykrzywił usta w uśmiechu jadowitego węża.

– Ponieważ jego ziemie jako jedyne graniczą z terytorium ludzi. Tak mi się zdaje, że każdy pragnący powiększyć swoje władztwo musiałby najpierw przejść przez Dwór Wiosny. Albo przynajmniej uzyskać jego zgodę.

Kolejna osoba, którą kiedyś zabije. Jeśli Feyra i Rhys jej nie ubiegną.

Bez znaczenia będzie to, co Tamlin zrobił podczas wojny, że sprowadził Berona i armię ludzi. Że wywiódł Hybernijczyków w pole.

Chodziło o inny dzień, o inną kobietę leżącą na ziemi. Tego Mor nie mogła zapomnieć, nie mogła wybaczyć.

Jednak wyraz twarzy Rhysa z chłodnego zmienił się w zamyślony. Z łatwością wyczytała w jego oczach niechęć, irytację tym, że to Eris go przestrzegał, ale informacja pozostawała informacją.

Mor zerknęła na Keira i dostrzegła, że ten się jej przygląda.

Poza wcześniejszym poleceniem nie odezwała się ani słowem. Niczego nie wniosła do tego spotkania. Nie wyszła z inicjatywą.

Widziała to w oczach Keira. Tę satysfakcję.

„Powiedz coś. Wymyśl coś, co mogłabyś powiedzieć. *Żeby odrzeć go z resztek zadowolenia”.*

Ale Rhys uznał, że już tu skończyli. Podał ramię Feyrze i powiódł ich delegację ku wyjściu, a góra naprawdę drżała pod ich krokami. Mor nie miała pojęcia, co powiedział Erisowi.

„Beznadziejna. Tchórzliwa i żałosna”.

„Prawda jest twoim darem. Prawda jest twoim przekleństwem”.

„Powiedz coś”.

Ale słowa mogące ugodzić jej ojca nie nadeszły.

Czerwona suknia płynęła za nią. Mor odwróciła się do niego plecami, do niego i uśmiechającego się szyderczo następcy tronu Dworu Jesieni, po czym podążyła za swoim księciem i swoją księżną przez mrok i z powrotem ku światłu.

Rozdział 7

Rhysand

Az, naprawdę umiesz dawać prezenty z okazji Przesilenia.

Odwróciłem się od przeszklonej ściany mojego prywatnego gabinetu w Domu Wiatru i od panoramy skąpanego w barwach wczesnego poranka Velaris.

Mój naczelny szpieg i brat stał po drugiej stronie wielkiego dębowego biurka zasłanego mapami i dokumentami, które właśnie przyniósł. Twarz mógł mieć równie dobrze wykutą z kamienia. Nie zmienił jej wyrazu od chwili, kiedy tuż po świcie zapukał do podwójnych drzwi tego pokoju. Tak jakby wiedział, że ostatniej nocy, po usłyszeniu od Erisa niezbyt subtelnego ostrzeżenia na temat Tamlina i jego granic, nie mogłem zasnąć.

Kiedy wróciliśmy do domu, Feyra nie wspomniała o tym ani słowem. Chyba nie była gotowa mówić o tym; jak poradzić sobie z księciem Dworu Wiosny. Bardzo szybko zasnęła, a ja siedziałem w ponurym nastroju przed kominkiem w pokoju dziennym.

Nie pozostawało mi nic innego jak przylecieć tu przed świtem. Potrzebowałem kąsającego zimna, by przegoniło ze mnie zmęczenie bezsenną nocą. Skrzydła wciąż miałem tu i ówdzie odrętwiałe.

– Chciałeś informacji – powiedział łagodnie Az.

Obsydianowa rękojeść przytroczonego do boku Prawdomówcy zdawała się zasysać pierwsze promienie słońca.

Przewróciłem oczami, oparłem się o biurko i wskazałem dłonią rozrzucone papierzyska.

– Nie mogłeś z tym zaczekać do zakończenia święta Przesilenia? – Zerknąłem na nieodgadnioną twarz Azriela i dodałem: – Pytam retorycznie.

Kącik ust szpiega drgnął ku górze, a kłębiące się wokół niego cienie przesuwały się po jego szyi niczym żywe tatuaże, bliźniaczo podobne do tych ilyryjskich, które nosił na skórze pod pancerzem.

Te cienie różniły się od wszystkiego, co potrafiłem przywołać, z czym potrafiłem rozmawiać. Zrodzone w pozbawionej światła i powietrza celi, która miała go złamać.

Jednak on nauczył się władać jej mową.

Chociaż kobaltowe syfony dowodziły prawdziwości jego ilyryjskiego dziedzictwa, to wśród licznych przekazów słownych tego wojowniczego ludu − mojego wojowniczego ludu − nie było niczego, co by wyjaśniało pochodzenie darów pieśniarza cieni. Zdecydowanie nie były powiązane z syfonami, z tą nieokiełznaną morderczą siłą, którą posiadała większość Ilyrów i którą przekierowywali przez te kamienie, aby nie zniszczyć wszystkiego na swojej drodze. Włącznie z władającym.

Oderwałem wzrok od kamieni przymocowanych do wierzchów jego dłoni i spojrzałem spod zmarszczonych brwi na stos papierów, które Az parę chwil temu rozłożył przede mną.

– Mówiłeś Kasjanowi?

– Przyszedłem prosto do ciebie – odparł. – Poza tym i tak wkrótce się tu zjawi.

Przygryzłem wargę, studiując mapę Ilyrii.

– Więcej klanów, niż się spodziewałem – przyznałem i posłałem stado cieni po podłodze gabinetu, żeby ukoić moc kłębiącą się niespokojnie w moich żyłach. – Nawet w najgorszym możliwym scenariuszu.

– Nie chodzi o wszystkich członków każdego z tych klanów – doprecyzował Az, chociaż

jego ponura mina niweczyła próbę złagodzenia tego ciosu. – Ogólna liczba obejmuje wszystkie miejsca, gdzie narasta bunt, a nie tylko te, w których wichrzyciele przekonali większość. – Wskazał pobliźnionym palcem jeden z obozów. – Tutaj tylko dwie kobiety zdają się jątrzyć w sprawie wojny. Jedna wdowa i jedna matka żołnierza.

– Nie ma dymu bez ognia – skontrowałem.

Azriel przyglądał się przez dłuższą chwilę mapie. Pozwoliłem mu myśleć w ciszy, wiedząc, że i tak odezwie się dopiero wtedy, kiedy będzie wiedział, co powiedzieć. Kiedy byliśmy z Kasjanem jeszcze małymi chłopcami, wiele godzin poświęciliśmy na okładaniu Aza, usiłując go zmusić, by coś powiedział. Ani razu się nie udało.

– Ilyrowie to kupa gówna – powiedział ledwie słyszalnie.

Otworzyłem usta, ale zaraz potem je zamknąłem.

Cienie zebrały się wokół jego skrzydeł, po czym opadły w dół na gruby czerwony dywan.

– Ćwiczą i ćwiczą, żeby zostać wojownikami, a kiedy nie wracają do domu, ich rodziny winią *nas* za posłanie ich do walki?

– Te rodziny straciły coś, czego nie da się zastąpić – powiedziałem ostrożnie.

Azriel machnął pobliźnioną dłonią. Jego kobaltowy syfon zalśnił, gdy palce przecinały powietrze.

– Hipokryci.

– Co zatem mam twoim zdaniem zrobić? Rozpuścić największą armię w Prythianie?

Az nie odpowiedział.

Spojrzałem mu prosto w oczy. Nie odwróciłem wzroku, chociaż jego lodowate spojrzenie czasem mnie przerażało. Widziałem wieki temu, co zrobił swoim przyrodnim braciom. Wciąż wracało to do mnie w snach. Nie sam akt mnie niepokoił. Zasłużyli sobie na ten los. Od początku do końca.

Z odmętów wspomnień nawiedzała mnie ta lodowata przepaść, w którą runął Az.

Pierwsze oznaki tego mrozu trzeszczały teraz nad jego oczami. Nie pozostając więc wiele miejsca na dyskusję, wyjaśniłem spokojnie:

– Nie rozpuszczę Ilyrów. I tak nie mieliby dokąd pójść. A jeśli spróbujemy ich wygonić z tych gór, możemy przyśpieszyć wybuch, któremu staramy się zapobiec.

Az nie odezwał się ani słowem.

– Ale być może bardziej niepokojące jest to – podjąłem, dźgając palcem olbrzymią połać kontynentu zaznaczonego na mapie – że ludzkie królowe nie wróciły na swoje ziemie. Siedzą w tym swoim wspólnym pałacu. Poza tym ogół mieszkańców Hybernii nie jest zachwycony przegraną wojną. A skoro muru już nie ma, kto wie, jakie inne krainy fae mogą sięgnąć po ziemie zamieszkane przez ludzi? – Zacisnąłem mocno zęby. – Ten pokój jest nietrwały.

– Wiem – odezwał się w końcu Az.

– To oznacza, że możemy znowu potrzebować Ilyrów, zanim się to wszystko skończy. Będziemy znowu potrzebowali, by przelali dla nas krew.

Feyra też o tym wiedziała. Informowałem ją o wszystkich sprawozdaniach i spotkaniach. Ale to teraz…

– Będziemy mieć oko na podżegaczy – postanowiłem, pozwalając Azowi poczuć pomruk czającej się we mnie mocy i zrozumieć, że mówię naprawdę poważnie. – Kasjan wie, że w obozach wzrastają niepokoje, i jest gotowy zrobić wszystko, co będzie konieczne, żeby temu zaradzić.

– Nie wie, ilu ich naprawdę jest.

– I może nie powinniśmy mu tego teraz mówić. Dopóki nie skończą się obchody Przesilenia.

Az zamrugał, a ja dodałem cicho:

– Będzie miał dość własnych kłopotów. Pozwólmy mu cieszyć się świętami, póki jeszcze może.

Razem z Azem postanowiliśmy nie wspominać o Neście. Przemilczaliśmy ją w rozmowach między sobą, a przede wszystkim w obecności Kasjana. Sam też starałem się o niej nie myśleć. Mor chyba postanowiła to samo, zważywszy na jej niecodzienne milczenie w tej kwestii od zakończenia wojny.

– Będzie na nas wściekły, że trzymaliśmy go w niewiedzy.

– I tak już wiele z tego sam podejrzewa, tak więc na dobrą sprawę tylko potwierdzimy jego domysły.

Az przesunął kciukiem po rękojeści Prawdomówcy. Srebrne runy na ciemnej pochwie zalśniły w promieniach słońca.

– A co z ludzkimi królowymi?

– Będziemy dalej je obserwować. Ty będziesz je obserwować.

– Vassa i Jurian wciąż są z Graysenem. Wtajemniczamy ich?

Dziwne zgromadzenie na ludzkich ziemiach. Skrawek lądu na południowym krańcu Prythianu nigdy nie był rządzony przez królową. Władała nim rada bogatych wielmoży i kupców, a Jurian jakoś zdołał stanąć na ich czele. Wykorzystywał posiadłość rodziny Graysena jako swoją siedzibę.

A Vassa… po prostu została. Jej „opiekun” tymczasowo zwolnił ją z ciążącej na niej klątwy, która sprawiała, że kobietą była tylko nocą, a za dnia zmieniała się w ognistego ptaka. I która przywiązała ją do zamieszkanego przez czarownika jeziora w głębi kontynentu.

Nigdy wcześniej nie spotkałem się z takim zaklęciem. Wysłałem nad nią swoją moc, tak samo uczynił Helion. Szukaliśmy punktu zaczepienia, by ją uwolnić. Nie znalazłem nic. Tak jakby klątwa została wtopiona w krew krążącą w jej żyłach.

Ale kiedyś wolność Vassy się skończy. Lucien zapowiedział to te wszystkie miesiące temu, a ponieważ wciąż bardzo często ją odwiedzał, było jasne, że nic się pod tym względem nie zmieniło. Kiedyś będzie musiała wrócić do jeziora, do trzymającego ją w niewoli czarnoksiężnika, któremu sprzedały ją te same królowe, które teraz ponownie zebrały się w ich wspólnym zamku. Tym samym, który kiedyś był też zamkiem Vassy.

– Ona wie, że dopóki się nie uporamy z królowymi, będą stanowiły zagrożenie – powiedziałem w końcu. Kolejny skrawek informacji, który przekazał nam Lucien. A przynajmniej mnie i Azowi. – Ale dopóki nie przekroczą pewnej granicy, nie są naszym kłopotem. Jeśli teraz wkroczymy, nawet po to, by zapobiec rozpętaniu przez nie kolejnej wojny, wyjdziemy na agresorów, nie bohaterów. Jeśli chcemy kiedykolwiek doczekać trwałego pokoju, musimy sprawić, by ludzie zamieszkujący pozostałe krainy nam zaufali.

– Zatem może Jurian i Vassa powinni stawić im czoła. Póki Vassa jest wolna i może to zrobić.

Zastanawiałem się nad tym. Omawiałem to z Feyrą do późnej nocy. Wiele razy.

– Musimy dać ludziom szansę sprawowania samodzielnych rządów. Podejmowania samodzielnych decyzji. Nawet naszym sojusznikom.

– Wyślij zatem Luciena. Jako naszego wysłannika do krain ludzi.

Azriel był cały spięty, a jego cienie nie dopuszczały promieni słońca do połowy jego ciała.

– Luciena nie ma.

Az uniósł brwi.

– A gdzie jest?

Mrugnąłem do niego.

– Jesteś moim naczelnym szpiegiem. Czy nie powinieneś tego wiedzieć?

Az skrzyżował ramiona i przybrał minę równie elegancką i chłodną jak legendarny sztylet u jego pasa.

– Nie uważam za stosowne śledzenia jego poczynań.

– Dlaczego?

Ani cienia emocji.

– Jest towarzyszem Elainy.

Czekałem.

– Śledzenie go naruszałoby jej prywatność.

Wiedza, czy i kiedy Lucien jej szukał. Co robili razem.

– Jesteś pewien? – zapytałem cicho.

Syfony Azriela zgasły. Stały się złowieszczo czarne niczym największe morskie głębiny.

– Dokąd udał się Lucien?

Wyprostowałem się na tak bezpośrednie pytanie. Ale odpowiedziałem, przeciągając lekko sylaby:

– Udał się na Dwór Wiosny. Spędzi tam noc Przesilenia.

– Ostatnim razem Tamlin go wykopał.

– Owszem. Ale zaprosił go na święto.

Prawdopodobnie kiedy do niego dotarło, że w przeciwnym razie spędzi je sam w tej swojej rezydencji. Czy też w tym, co z niej zostało.

Nie znalazłem w sobie ani trochę współczucia dla niego.

Wciąż czasem czułem czyste przerażenie Feyry, gdy książę Dworu Wiosny niszczył swój gabinet. Kiedy zamknął ją w tym domu.

A Lucien pozwolił mu to zrobić. Ale z nim się pogodziłem. A przynajmniej próbowałem.

Z Tamlinem sprawy były nieco bardziej złożone. Na tyle, że starałem się o tym zbyt wiele nie myśleć.

Wciąż kochał Feyrę. Nie mogłem go za to winić. Nawet jeśli przez to miałem ochotę wyrwać mu gardło.

Odegnałem tę myśl.

– Kiedy Lucien wróci, omówię z nim kwestię Vassy i Juriana. Przekonam się, czy jest skłonny złożyć im kolejną wizytę. – Przechyliłem głowę na bok. – Sądzisz, że zdzierży obecność Graysena?

Twarz Aza była całkowicie pozbawiona wyrazu. To dlatego nigdy nie przegrał z nami w karty.

– Czemu miałbym to oceniać?

– Chcesz powiedzieć, że naprawdę nie blefowałeś, kiedy twierdziłeś, że nie śledzisz każdego ruchu Luciena?

Nic. Absolutna pustka na jego twarzy, w jego zapachu. Cienie, czymkolwiek, do wszystkich demonów, były, doskonale wszystko ukrywały. Za dużo.

– Jeśli Lucien zabije Graysena, nie będę rozpaczał – powiedział krótko lodowatym tonem.

Byłem skłonny się z nim zgodzić. Tak samo jak Feyra… i Nesta.

– Trochę mnie kusi, by zezwolić Neście na polowanie w noc Przesilenia.

– Szykujesz dla niej prezent?

Nie. Tak jakby.

– Sądzę, że opłacanie jej mieszkania i pijackich długów wystarczy za prezent.

Az przeczesał dłonią ciemne włosy.

– Czy… – Nie zwykło brakować mu słów. – Czy powinniśmy kupić siostrom prezenty?

– Nie – powiedziałem szczerze. Zdało mi się, że Az odetchnął z ulgą. Tylko zdało, bo z jego ust uleciało tyle samo powietrza co przy zwykłym wydechu. – Nie sądzę, żeby Nesta w najmniejszym stopniu o to dbała. A Elaina moim zdaniem nie oczekuje czegokolwiek od nas. Pozwoliłbym siostrom wymienić jedynie prezenty między sobą.

Az skinął głową z nieobecnym wyrazem oczu.

Postukałem palcami w mapę w miejscu, w którym zaznaczony był Dwór Wiosny.

– Za dzień lub dwa sam mogę powiedzieć to Lucienowi. O wizycie w rezydencji Graysena.

Azriel uniósł pytająco brew.

– Masz zamiar odwiedzić Dwór Wiosny?

Chciałbym móc zaprzeczyć. Zamiast tego powiedziałem mu, co zasugerował Eris: że Tamlin może albo nie dbać o należyte zabezpieczenie swoich granic z ludzkimi ziemiami, albo może wręcz je otworzyć dla każdego chętnego. A ja nie zmrużę oka, dopóki sam tego nie zbadam.

Kiedy skończyłem wyjaśnienia, Az zdjął niewidzialny pyłek ze skórzanych łusek rękawicy. To była jedyna oznaka jego irytacji.

– Mogę udać się z tobą.

Pokręciłem głową.

– Lepiej będzie, jeśli załatwię to sam.

– Masz na myśli spotkanie z Lucienem czy z Tamlinem?

– Jedno i drugie.

Luciena mogę znieść. A co do Tamlina… Może nie chciałem mieć świadków tego, co może zostać powiedziane. Albo uczynione.

– Zapytasz Feyrę, czy będzie ci towarzyszyła?

Jedno spojrzenie w piwne oczy Azriela wystarczyło – doskonale wiedział, dlaczego chcę to zrobić sam.

– Zapytam ją za kilka godzin – odparłem. – Ale wątpię, że będzie chciała. Wątpię też, żebym bardzo się starał przekonać ją do zmiany zdania.

Pokój. Mieliśmy pokój na wyciągnięcie ręki. Ale pozostały długi do spłacenia, których nie mogłem puścić w niepamięć.

Az pokiwał głową. Zawsze najlepiej mnie rozumiał – lepiej niż pozostali. Poza moją towarzyszką. Czy to jego dary mu to umożliwiały, czy też działo się tak dlatego, że byliśmy do siebie bardziej podobni, niż większość podejrzewała… tego nigdy nie udało mi się ustalić.

Azriel jednak wiedział to i owo o spłacaniu dawnych długów. O nieprawości, którą trzeba naprostować.

Tak samo jak chyba cały mój wewnętrzny krąg.

– Ani słowa od Bryaksis, jak rozumiem.

Zerknąłem na marmur pod moimi nogami, tak jakby można było przeniknąć wzrokiem kamień aż do znajdującej się w sercu góry biblioteki i niegdyś zajętych, a teraz pustych dolnych poziomów.

Az również przyjrzał się podłodze.

– Ani jednego szeptu. Ani krzyku, skoro już o tym mowa.

Zachichotałem. Mój brat miał szelmowskie, wykręcone poczucie humoru. Od miesięcy zamierzałem znaleźć Bryaksis. Zabrać ze sobą Feyrę i pozwolić jej wyśledzić tę istotę, która – z braku lepszego wytłumaczenia – zdawała się ucieleśnieniem strachu. Ale jak to było z wieloma moimi planami dotyczącymi mojej towarzyszki, na drodze stanęło mi kierowanie dworem

i zajmowanie się światem dokoła.

– Chcesz, żebym ją znalazł? – zapytał z niezmąconym spokojem.

Machnąłem ręką. Moja obrączka godowa zalśniła w świetle poranka. Brak informacji od Feyry był dla mnie wystarczającą informacją: wciąż spała. I jakkolwiek myśl o obudzeniu jej tylko po to, żeby usłyszeć jej głos, była niezmiernie kusząca, nie uśmiechało mi się skończenie z jądrami przybitymi do ściany w ramach kary za przerwanie jej snu.

– Niech Bryaksis też się cieszy Przesileniem – odparłem.

Az wykrzywił usta w rzadkim u niego uśmiechu.

– To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony.

Przesadnie skłoniłem głowę w parodii szczodrego monarchy, po czym opadłem na krzesło i oparłem nogi na blacie biurka.

– Kiedy ruszasz do Różanego Dworu?

– Z samego rana po nocy Przesilenia – odpowiedział i odwrócił się twarzą w stronę migoczącego w oddali Velaris. Skrzywił się lekko. – Ale zanim wyruszę, muszę zrobić trochę zakupów.

Uśmiechnąłem się kpiąco.

– Kup jej coś ode mnie, co? I tym razem niech to zapiszą na mój rachunek.

Wiedziałem, że Az tego nie zrobi, ale mimo to skinął głową.

Rozdział 8

Kasjan

Nadciągała burza.

Akurat na Przesilenie. Nie miała uderzyć jeszcze przez dzień czy dwa, ale Kasjan wyczuwał ją już w wietrze. Pozostali w obozie na przełęczy również ją wyczuwali. Zwyczajowa krzątanina teraz przyspieszyła. Sprawdzano domy i namioty, przygotowywano potrawki i pieczenie, Ilyrowie odlatywali lub przybywali wcześniej, żeby zdążyć przed nawałnicą.

Kasjan dał z tego powodu dziewczętom dzień wolny. Nakazał wstrzymanie wszelkich treningów i ćwiczeń, także mężczyznom, aż do zakończenia burzy. Zredukowane patrole nadal wyruszały w teren, ale uczestniczyli w nich tylko chętni, którzy potrafili sprostać potężnym wichrom i skrajnie niskim temperaturom, które lada chwila miały nadejść. Wróg mógł uderzyć nawet w środku burzy.

Jeżeli ta była tak silna, jak podpowiadał mu nos, cały obóz zostanie zasypany śniegiem na dobre kilka dni.

Dlatego właśnie stał teraz w części rzemieślniczej obozu znajdującej się za namiotami i garstką stałych domów. Po obu stronach niewybrukowanej drogi, tak naprawdę wydeptanej ścieżki widocznej tylko w cieplejsze miesiące, stało zaledwie kilka budynków. Skład ogólny, na którym wisiał już szyld z napisem „Wyprzedane”, warsztaty dwóch kowali, szewca, snycerza i sukiennika.

Drewniany dom tego ostatniego był dość nowy. Przynajmniej wedle miary Ilyrów – stał tu może z dziesięć lat. Nad składem na parterze znajdowało się mieszkanie, w którym teraz mocno świeciły lampy. A za szklaną witryną: właśnie to, czego szukał.

Gdy Kasjan wszedł do środka, składając ciasno skrzydła pomimo szerszych niż zwykle framug, zadźwięczał dzwonek zawieszony nad wejściem. Uderzyła go fala ciepła, miła i rozkoszna. Szybko zamknął za sobą drzwi z szybami z ołowiowego szkła.

Smukła młoda kobieta stała nieruchomo za ladą z sośniny. Przyglądała mu się z uwagą.

Kasjan najpierw zauważył ślady na jej skrzydłach. Brzydkie blizny po precyzyjnych cięciach w poprzek środkowych ścięgien.

Poczuł wzbierające mdłości, ale zdołał nad nimi zapanować, uśmiechnął się i podszedł do wypolerowanego kontuaru. Podcięte. Podcięli jej skrzydła.

– Szukam Proteusa – powiedział, spoglądając w brązowe oczy kobiety.

Były bystre i przenikliwe. Widać w nich było zaskoczenie jego wizytą, ale nie lęk. Ciemne włosy zaplotła w prosty warkocz, odsłaniając ogorzałą, wąską, trójkątną twarz. Nie była piękna, ale wyróżniała się. Była ciekawa.

Nie spuściła wzroku, jak instruowano i trenowano wszystkie ilyryjskie kobiety. Pomimo blizn po podcięciu skrzydeł, które dowodziły silnego przywiązania do bestialskich tradycji w jej rodzinie, nie odwróciła wzroku.

Jej spojrzenie przypominało mu Nestę. Spojrzenie bezpośrednie i niepokojące.

– Proteus był moim ojcem – odparła, rozwiązała biały fartuch, pod którym miała prostą brązową sukienkę, i wyszła zza lady.

Był.

– Przykro mi – powiedział.

– Nie wrócił z wojny.

Kasjan zmusił się, żeby nie spuścić głowy.

– Tym bardziej jest mi przykro.

– A niby dlaczego? – zapytała obojętnym tonem. Podała mu smukłą dłoń. – Nazywam się Emerie. Teraz to mój skład.

Przekraczała pewną granicę. I to bardzo niezwykłą. Kasjan uścisnął jej dłoń. Nie zdziwiło go, że chwyt miała mocny i pewny.

Znał Proteusa. Zdziwiło go, kiedy dołączył do oddziału wyruszającego na wojnę. Kasjan wiedział, że miał jedną córkę i ani jednego syna. Do tego żadnych żyjących bliskich męskich krewnych. Gdyby jakiegoś miał, po jego śmierci skład z pewnością trafiłby w jego ręce. Ale że sprawy przejęła jego córka, która twardo obstawała, że teraz skład należy do niej, że go cały czas prowadziła… Rozejrzał się po niewielkim, zadbanym pomieszczeniu.

Spojrzał przez frontowe okno na budynek po drugiej stronie ulicy, na szyld z napisem „Wyprzedane".

Półki Emerie uginały się pod towarem. Tak jakby miała właśnie świeżą dostawę. Albo nikt nie raczył do niej zaglądać. Nigdy.

Jeśli Proteus zdołał zbudować to i utrzymać w obozie, do którego idea składów zawitała ledwie jakieś pół wieku temu, musiał być naprawdę zamożny. Może na tyle, żeby Emerie miała jeszcze z czego żyć. Ale kiedyś pieniądze się skończą.

– Zdecydowanie wygląda na twój skład – powiedział w końcu, skupiając uwagę ponownie na niej.

Emerie cofnęła się o parę kroków i stanęła wyprostowana, z uniesioną głową.

Widywał już taką pozę u Nesty. Nazwał to jej postawą „zgładzę wrogów swych".

Jak dotąd Kasjan nazwał już ponad dwadzieścia postaw typowych dla Nesty. Od „zjem twoje oczy na śniadanie" po „nie chcę, żeby Kasjan się dowiedział, że czytam erotyki". Tę ostatnią lubił najbardziej.

Walcząc z uśmiechem pchającym się na usta, Kasjan wskazał równe stosy rękawic na owczej wełnie i grubych szali ułożonych na wystawie.

– Wezmę całe zimowe ubranie, jakie masz.

Brwi powędrowały jej w górę.

– Naprawdę?

Wsunął dłoń do kieszeni, wydobył z niej sakiewkę i podał jej.

– To powinno wystarczyć.

Emerie zważyła zawiniątko w dłoni.

– Nie potrzebuję jałmużny.

– Zatem zatrzymaj należność za rękawice, buty, szale i płaszcze, a potem oddaj mi resztę.

Nie odpowiedziała, tylko rzuciła niedbale sakiewkę na ladę i ruszyła energicznie w stronę wyłożonego towaru. Wkrótce zebrała wszystko, o co prosił, w starannych stosach na kontuarze, po czym udała się na zaplecze i przyniosła jeszcze więcej towaru. Układała i układała, aż na wypolerowanym drewnie nie zostało ani trochę wolnego miejsca. Wtedy sklep wypełnił się brzękiem monet.

Na koniec bez słowa oddała mu sakiewkę. Nie wspomniał, że była jedną z niewielu wśród Ilyrów, którzy w ogóle przyjmowali od niego pieniądze. Większość spluwała na nie albo ciskała na ziemię. Nawet kiedy Rhys został księciem dworu.

Emerie przyjrzała się rzeczowo piętrzącym się na ladzie stosom zimowych ubrań.

– Czy mam znaleźć jakieś torby i skrzynie?

Pokręcił głową.

– To nie będzie potrzebne.

Ponownie uniosła ciemne brwi.

Kasjan sięgnął do sakiewki i położył na ostatnim skrawku wolnego miejsca na kontuarze jeszcze trzy ciężkie monety.

– Na pokrycie kosztów dostawy.

– Dokąd? – wykrztusiła Emerie.

– Mieszkasz na piętrze nad tym składem, prawda?

Skinęła sztywno głową.

– Zatem zakładam, że wiesz dość o tym obozie; kto ma mnóstwo, a kto nie ma nic. Za kilka dni nadejdzie burza. Chciałbym, żebyś rozdała te rzeczy tym, których jej skutki mogą dotknąć najmocniej.

Zamrugała. Widział wyraźnie, że dokonuje w myślach ponownych przeliczeń. Przyjrzała się równym stosom.

– Oni… wielu z nich za mną nie przepada – powiedziała o wiele łagodniejszym głosem niż dotychczas.

– Za mną też nie przepadają. Jesteś w doborowym towarzystwie.

Na te słowa niechętnie wykrzywiła lekko usta. Grymas nie zasługiwał na miano uśmiechu. Zdecydowanie nie uśmiechnęłaby się do nieznanego mężczyzny.

– Uznaj to za dobrą reklamę swojego składu – dodał. – Powiedz im, że to prezent od ich księcia.

– Dlaczego nie od ciebie?

Nie chciał odpowiadać na to pytanie. Nie dzisiaj.

– Mnie lepiej do tego nie mieszaj.

Emerie przyglądała mu się dłuższą chwilę, po czym skinęła głową.

– Dopilnuję, aby do zmierzchu trafiły do najbardziej potrzebujących.

Kasjan skłonił głowę w podzięce i ruszył do szklanych drzwi. One same wraz z oknami w tym budynku zapewne kosztowały więcej, niż większość Ilyrów potrafiłaby uzbierać w kilka lat.

Proteus był bardzo zamożny – rasowy kupiec. Przyzwoity wojownik. Żeby zaryzykować to wszystko i ruszyć na wojnę… musiał mieć jakiś strzęp dumy.

Ale blizny na skrzydłach Emerie, przez które nigdy już nie posmakuje wiatru…

Po części pragnął, by Proteus wciąż żył. Nawet jeśli tylko po to, by mógł go własnoręcznie zabić.

Kasjan położył dłoń na zimnej mosiężnej klamce.

– Lordzie Kasjanie.

Obejrzał się przez ramię na stojącą za ladą Emerie. Nie chciało mu się jej poprawiać; mówić, że nie chciał i nigdy się nie zgodzi, by tytułować go lordem.

– Wesołego Przesilenia – powiedziała krótko.

Kasjan posłał jej uśmiech.

– Tobie też. Powiadom mnie, gdybyś natrafiła na jakiekolwiek problemy z dostarczeniem prezentów.

Uniosła dumnie głowę.

– Na pewno nie będę musiała.

W tych słowach był ogień. Emerie zmusi rodziny, by przyjęły dary, nawet jeśli nie będą ich chciały.

Widział już wcześniej ten ogień – stalową hardość. Przyłapał się na myśli, co by się mogło stać, gdyby się wcześniej spotkali. Co by mogło z tego wyniknąć.

Kasjan wyszedł na mroźne powietrze. Dzwonek ponownie zadźwięczał, tym razem na

pożegnanie. Zwiastun nadchodzącej burzy.

Nie tylko tej, która nadciągała nad te góry.

Ale może i tej, która tutaj zbierała siły od bardzo, bardzo dawna.

Rozdział 9

Feyra

Nie powinnam była jeść kolacji.

Taka właśnie myśl kłębiła mi się w głowie, gdy dobrze po zmroku zbliżałam się do pracowni Ressiny, gdy dojrzałam światło wylewające się na zasypaną śniegiem ulicę, gdzie mieszało się z blaskiem latarń.

O tej porze, na trzy dni przed nocą Przesilenia, było tu bardzo tłoczno. Zakupy robili nie tylko mieszkańcy dzielnicy, ale też osoby z innych części miasta i z okolicznych wiosek. Tyle fae wysokiego rodu i zwykłych, w tym rodzajów, których nigdy dotąd nie widziałam. Wszyscy się uśmiechali, każdy zdawał się aż jaśnieć radością i życzliwością. Nie sposób było nie czuć pod skórą mrowienia tej pozytywnej energii, chociaż byłam tak zdenerwowana, że miałam ochotę polecieć natychmiast do domu, nie zważając na lodowaty wiatr.

Przytargałam tu plecak wypakowany pędzlami i farbami, a pod pachą niosłam płótno. Nie byłam pewna, czy dostałabym je na miejscu ani też czy nie wyszłabym na arogantkę, gdybym zjawiła się bez niego i oczekiwała, że wszystkie przybory będą na mnie czekały. Przyszłam tu z naszego domu na piechotę. Nie chciałam przeskakiwać z tyloma rzeczami, a jednocześnie nie chciałam zgubić płótna przy jakimś porywie przenikliwego wiatru podczas lotu.

Pomijając kwestię ciepła, jeszcze nie potrafiłam – pomimo okazjonalnych lekcji latania z Rhysem czy Azrielem – osłaniać się od wiatru i jednocześnie wykorzystywać go do lotu. A przy dodatkowym obciążeniu, przy tej temperaturze… Nie miałam pojęcia, jak radzili sobie Ilyrowie w tych swoich górach, gdzie przecież było zimno przez cały rok.

Może wkrótce się przekonam, jeśli pomruki niezadowolenia rozprzestrzenią się na więcej obozów.

Jednak nie miałam zamiaru teraz tego roztrząsać. Już i tak ściskało mnie w żołądku.

Przystanęłam przy domu naprzeciwko pracowni Ressiny. Ukryte w rękawicach dłonie miałam całe zlane potem.

Nigdy wcześniej nie malowałam w grupie. W ogóle nie bardzo lubiłam pokazywać komukolwiek swoich obrazów.

A jeszcze teraz, pierwszy raz od dłuższego czasu przed płótnem, niepewna tego, co może ze mnie wypłynąć…

Poczułam lekkie pociągnięcie za więź.

„Wszystko w porządku?”.

Swobodne, łagodne pytanie. Brzmienie głosu Rhysa ukoiło niespokojne nerwy.

Powiedział mi, dokąd zamierza jutro się udać. O co zamierzał zapytać.

Spytał, czy chcę mu towarzyszyć.

Odmówiłam.

Może i zawdzięczałam Tamlinowi życie mojego towarzysza, może i życzyłam mu spokoju i szczęścia, ale nie miałam ochoty go widzieć. Rozmawiać z nim. Znosić go. Jeszcze przez dłuższy czas. Może na zawsze.

Być może to z tego powodu, z poczucia winy, że odrzucam zaproszenie Rhysa, wyruszyłam dzisiaj do Tęczy.

Ale teraz, gdy stałam przed gościnną pracownią Ressiny, gdy słyszałam śmiech dobiegający z pomieszczenia, w którym zebrano się na cotygodniowe wspólne malowanie, moje

postanowienie osłabło.

„Nie wiem, czy zdołam to zrobić”.

Przez chwilę Rhys milczał. „Chciałabyś, bym poszedł z tobą?”.

„Malować?”.

„Byłbym doskonałym modelem do aktów”.

Uśmiechnęłam się, nie zważając na to, że oto stoję samotnie na ulicy wśród niezliczonych fae. Kaptur i tak przesłaniał mi większość twarzy. „Wybacz, jeśli nie mam ochoty dzielić się twoją wspaniałością z nikim innym”.

„Może zatem zapozuję później dla ciebie”. Zmysłowe muśnięcie posłane wzdłuż naszej więzi rozgrzało mi krew. „Trochę czasu już minęło od ostatniego razu, kiedy robiliśmy to z farbami”.

Przed oczami stanęła mi tamta chatka i stół kuchenny. Zaschło mi trochę w ustach. „Drań”.

Zachichotał. „Jeśli chcesz wchodzić, to wejdź. Jeśli nie chcesz, to tego nie rób. Decyzja należy do ciebie”.

Zmarszczyłam brwi i spojrzałam na płótno pod pachą, poprawiłam plecak wyładowany farbami. A potem przeniosłam wzrok na oddaloną ode mnie jakieś trzydzieści stóp pracownię. Między mną a tym złotym potokiem światła kładły się gęste cienie.

„Wiem, co chcę zrobić”.

***

Nikt nie zauważył, kiedy przeskoczyłam do zabitej deskami galerii i pracowni przy tej samej ulicy, tylko kawałek dalej.

Ponieważ okna były szczelnie zasłonięte, nikt nie zauważył kul czarodziejskiego światła, które rozpaliłam i posłałam wokół na łagodnym wietrze.

Oczywiście ponieważ nikt tu nie mieszkał od miesięcy, a do tego w oknach nie było szyb, w środku przywitał mnie lodowaty chłód. Odstawiłam przyniesione rzeczy i próbując się rozgrzać, zaczęłam rytmicznie podskakiwać, jednocześnie rozglądając się po pomieszczeniu.

Przed atakiem było tu zapewne uroczo: jedno duże okno wychodziło na południe, by wpuszczać dużo słońca, a w sklepionym łukowo suficie rozmieszczono świetliki – teraz również zabite deskami. Galeria od frontu miała może trzydzieści stóp szerokości i pięćdziesiąt długości. W połowie pomieszczenia pod jedną ze ścian znajdował się kontuar, a z tyłu – drzwi, które zapewne prowadziły do pracowni lub składziku. Po szybkich oględzinach okazało się, że miałam częściowo rację: z tyłu był składzik, ale brakowało naturalnego światła, by dało się tam malować. Tylko wąskie okna nad rzędem popękanych zlewów, kilka metalowych blatów wciąż poplamionych farbą, jakieś stare środki czystości.

I farba. Nie same pigmenty, lecz ich zapach.

Wciągnęłam powietrze głęboko do płuc i poczułam, jak wnika we mnie aż do szpiku kości. Pozwoliłam ciszy tego miejsca wypełnić mnie bez reszty.

Galeria od frontu musiała zatem pełnić funkcję pracowni. Polina zapewne malowała w trakcie rozmów z klientami oglądającymi rozwieszone obrazy; na białych ścianach dostrzegłam ślady po płótnach. Posadzkę wyłożono szarym kamieniem. W szczelinach wciąż lśniły odłamki strzaskanego szkła.

Nie chciałam, by ten pierwszy od dłuższego czasu kontakt z malowaniem odbył się na oczach innych.

Ledwie miałam odwagę zrobić to w samotności. Kiedy sobie to uświadomiłam, prysło poczucie winy z powodu zignorowania zaproszenia Ressiny. W końcu niczego jej nie

obiecywałam.

Przywołałam płomień, by zacząć ogrzewać pomieszczenie, i rozmieściłam niewielkie jego kulki w powietrzu w różnych miejscach galerii, przy okazji dodatkowo ją rozświetlając. Przywracając ciepłem do życia.

Gdy skończyłam, wyruszyłam na poszukiwanie jakiegoś stołka.

Rozdział 10

Feyra

Malowałam, malowałam i malowałam.

Cały czas serce łomotało mi bez ustanku niczym bęben wojenny.

Malowałam, aż dostałam skurczów w plecach, a żołądek domagał się głośno gorącego kakao i deseru.

Od razu, gdy zasiadłam na chwiejnym stołku, który znalazłam na zapleczu, wiedziałam, co muszę z siebie wyrzucić na płótno.

Przy pierwszych ruchach pędzla z ledwością zdołałam go utrzymać w palcach. Ze strachu, owszem. Byłam ze sobą na tyle szczera, żeby się do tego przyznać.

Ale również z powodu euforii, jaką muszą czuć konie wyścigowe wypuszczone z boksu. Obraz w mojej głowie był mknącą opętańczo wizją, za którą musiałam biec, by mi nie uciekła.

Jednak w końcu poczęła się wyłaniać. Zaczynała przybierać właściwe kształty.

A za nią nadciągnęła swoista cisza, która okryła mnie niczym śnieżna pierzyna ziemię. I obmyła to, co tkwiło pod spodem.

Te chwile były bardziej oczyszczające, bardziej kojące niż każda z długich godzin poświęconych na odbudowę miasta. Satysfakcja była podobna, ale malowidło, wyrzucenie z siebie emocji i stanięcie z nimi twarzą w twarz, stanowiło wyzwolenie. Pierwszy szew rozpoczynający zamykanie rany.

Zanim skończyłam, dzwony Velaris wyśpiewały godzinę dwunastą.

Opuściłam pędzel i wpatrzyłam się w swoje dzieło.

Na to, co odwzajemniło moje spojrzenie.

Na siebie samą.

A przynajmniej taką, jaką ujrzałam w Uroborosie; na tę pokrytą łuskami, uzbrojoną w pazury i spowitą mrokiem bestię; na furię, radość i chłód. Wszystko, czym byłam. Co czaiło się pod moją skórą.

Nie uciekłam od tego. I nie miałam zamiaru robić teraz tego.

Tak – zadzierzgnęłam pierwszy szew rozpoczynający zamykanie rany. Tak właśnie się czułam.

Z pędzlem zwisającym luźno między kolanami, z tą bestią uwiecznioną na płótnie, opadłam nagle z sił. Jak wiotka szmaciana lalka.

Rozejrzałam się po galerii, wyjrzałam na ulicę przez szpary między deskami w oknach. Przez te wszystkie spędzone tu godziny nikt nie przyszedł zaciekawiony światłami.

W końcu wstałam i przeciągnęłam się z jękiem. Nie mogłam ze sobą zabrać swego dzieła. Obraz musiał wyschnąć, a wilgotne nocne powietrze ciągnące od rzeki i odległego morza by mu zaszkodziły.

Zdecydowanie nie zamierzałam go zabierać do domu w mieście, gdzie ktoś mógłby go znaleźć. Nie mogłam go pokazać nawet Rhysowi.

Ale tu… Jeśli nawet ktoś tu wejdzie, nigdy się nie dowie, kto to namalował. Nie podpisałam obrazu. Nie chciałam.

Jeśli zostawię tu obraz do wyschnięcia przez noc, jeśli wrócę po niego jutro… z pewnością w Domu Wiatru znajdzie się jakaś szafa, w której mogłabym go ukryć.

Zatem jutro. Wrócę po niego jutro.

Rozdział 11

Rhysand

Była to wiosna, ale jednocześnie jakby nie ona.

Nie była to ta sama kraina, którą odwiedzałem w minionych wiekach; nawet nie ta sama, którą widziałem w zeszłym roku.

Słońce grzało mile, niebo pozostawało bezchmurne, odległe derenie i bzy wciąż tkwiły w wiecznym rozkwicie.

Odległe – gdyż na terenie posiadłości nie kwitł ani jeden kwiat.

Po pnączach różanych o różowym kwieciu, które niegdyś wspinały się po jasnym kamieniu ścian rozległej rezydencji księcia, teraz pozostała jedynie plątanina ciernistych pędów.

Fontanny wyschły, żywopłoty były niestrzyżone i bezkształtne.

Sam dom wyglądał lepiej nawet tuż po zdemolowaniu przez sługusów Amaranthy.

Nie chodziło o widoczne oznaki zniszczenia, lecz o wszechobecną ciszę.

Brak oznak życia.

Chociaż niezaprzeczalnie najgorzej wyglądały stare dębowe drzwi. Pokrywały je głębokie, długie ślady pazurów.

Stanąłem na ostatnim stopniu marmurowych schodów prowadzących do głównego wejścia i przyjrzałem się uszkodzeniom. Zgadywałem, że Tamlin zrobił je zaraz po tym, kiedy Feyra okpiła jego i jego dwór.

Niepohamowany temperament zawsze był jego największą wadą. Drzwi mógł zniszczyć w dowolny gorszy dzień.

Może dzisiaj zrobi nowe ślady.

Bez trudu przywołałem na usta kpiący uśmieszek. Tak samo jak niedbałą postawę, z dłonią wsuniętą do kieszeni czarnego kaftana. Bez skrzydeł ani ilyryjskich skór. Zapukałem do zniszczonych drzwi.

Cisza.

A potem…

Tamlin sam otworzył.

Nie miałem pewności, co powinienem skomentować: zaniedbanego gospodarza przede mną czy mroczne wnętrze domu za nim.

To było proste. Zbyt proste, zakpić z niegdyś wspaniałych ubrań, które pilnie wymagały wyprania, czy też zmierzwionych włosów, które domagały się fryzjera. Pusty dom, ani jednego służącego w zasięgu wzroku, ani jednej świątecznej dekoracji.

Także zielone oczy, które napotkały mój wzrok, nie były tymi, do których przywykłem. Udręczone, ponure. Bez życia.

Mógłbym w parę chwil wypatroszyć jego ciało i duszę. Dokończyć to, co niechybnie zaczęło się w dniu niedoszłego ślubu, kiedy Feyra wołała bezgłośnie o pomoc, a ja przybyłem jej udzielić.

Ale… pokój. Mieliśmy pokój na wyciągnięcie ręki.

Rozerwę go na strzępy, kiedy już osiągniemy nasz cel.

– Lucien twierdził, że się pojawisz – powiedział zamiast powitania Tamlin głosem równie pozbawionym wyrazu i życia co jego oczy. Jedną ręką wciąż przytrzymywał drzwi.

– Zabawne, myślałem, że to jego towarzyszka widzi przyszłość.

Tamlin tylko się we mnie wpatrywał. Dowcip albo całkowicie zignorował, albo go w ogóle nie dostrzegł.

– Czego chcesz?

Zza jego pleców nie docierał nawet najlżejszy szmer. Panowała niezmącona cisza. Nie zaśpiewał nawet jeden ptak.

– Przybyłem tu porozmawiać. – Uśmiechnąłem się półgębkiem w sposób, o którym wiedziałem, że doprowadza go do szewskiej pasji. – Czy sprawiłbym ci wielki kłopot, gdybym poprosił o filiżankę herbaty?

***

Korytarze były skąpane w półmroku, wszystkie haftowane zasłony zaciągnięte na oknach.

Grobowiec.

Ten dom był grobowcem.

Z każdym krokiem w stronę pomieszczenia, które niegdyś było biblioteką, coraz bardziej napierały na mnie kurz i cisza.

Tamlin zachowywał milczenie, ani słowem nie wyjaśnił pustek w swoim domu. Niektóre rzeźbione drzwi do mijanych pokoi były uchylone na tyle, żebym mógł dojrzeć dzieło zniszczenia w każdym z nich.

Strzaskane meble, podarte obrazy, spękane ściany.

Kiedy Tamlin otworzył drzwi do ciemnej biblioteki, zrozumiałem, że Lucien nie przybył tu na Przesilenie, by pogodzić się ze starym przyjacielem.

Przybył tu wiedziony współczuciem. Z litości.

Zanim Tamlin zdążył machnąć ręką i zapalić czarodziejskie światła w szklanych kulach, mój wzrok przystosował się do panującego tu mroku.

Tego pomieszczenia jeszcze nie zniszczył. Prawdopodobnie zaprowadził mnie w jedyne miejsce w całym domu, w którym meble wciąż nadawały się do użytku.

Nie odezwałem się ani słowem i podążyłem za moim gospodarzem do dużego biurka stojącego na środku pomieszczenia. Tamlin usiadł przy nim na bogato zdobionym wyściełanym fotelu. Najbliższy tronu mebel, jakim obecnie dysponował.

Zasiadłem na bliźniaczym siedzeniu naprzeciw księcia Dworu Wiosny. Jasne drewno zaskrzypiało w proteście. Foteliki zapewne były przeznaczone dla rozchichotanych dworzan, a nie potężnie zbudowanych wojowników.

Zapadła cisza równie gęsta jak pustka w tym domu.

– Jeśli przybyłeś się chełpić, możesz sobie darować.

Przyłożyłam dłoń do piersi.

– Dlaczegóż miałbym sobie zawracać tym głowę?

Całkowity brak humoru.

– O czym chciałeś porozmawiać?

Ostentacyjnie przyjrzałem się najpierw grzbietom książek, potem łukowemu sklepieniu pokrytemu malowidłami.

– Gdzie jest mój drogi przyjaciel Lucien?

– Poluje na nasz obiad.

– Nie masz już ochoty na takie rozrywki?

Oczy Tamlina pozostawały matowe.

– Wyruszył, kiedy jeszcze spałem.

Poluje na obiad. Bo nie było żadnej służby; nikogo, kto mógłby przygotować posiłek. Albo chociaż go kupić.

Nie mogłem powiedzieć, że mu współczułem.

Żałowałem tylko Luciena, że znowu tu utknął w roli książęcego kamrata.

Założyłem nogę na nogę i odchyliłem się na oparcie.

– Czemu dobiegają mnie słuchy, jakobyś nie strzegł swoich granic?

Chwila milczenia. Potem Tamlin wskazał gestem drzwi.

– A widzisz tu jakichś strażników, którzy mogliby to robić?

Nawet oni go opuścili. Ciekawe.

– Feyra była bardzo dokładna, czyż nie?

Obnażone zęby, błysk w oku.

– Bez wątpienia dzięki twoim naukom.

Uśmiechnąłem się.

– Och, nie. Wszystko zaplanowała całkiem sama. Pomysłowa jest, czyż nie?

Tamlin zacisnął dłoń na giętym oparciu fotela.

– Sądziłem, że książę Dworu Nocy nie zawracałby sobie głowy chełpieniem się.

Tym razem się nie uśmiechnąłem.

– Podejrzewam, że w twoim mniemaniu powinienem ci podziękować za twoją pomoc w przywróceniu mnie do życia.

– Dobrze wiem, Rhysandzie, że dzień, w którym mi za cokolwiek podziękujesz, będzie też tym, w którym zgasną wszystkie podziemne ognie.

– Poetyckie.

Warknął głucho.

To było zbyt proste. Nazbyt łatwo było go podjudzić, rozdrażnić. I chociaż sam siebie upominałem, przypominałem o murze i o pokoju, którego potrzebowaliśmy, powiedziałem:

– Kilkakrotnie uratowałeś życie mojej towarzyszki. Będę ci za to wdzięczny aż do śmierci.

Wiedziałem, że te słowa ubodą go do żywego. *Mojej towarzyszki.*

To było podłe. Cios poniżej pasa. Miałem wszystko, naprawdę wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem, o czym marzyłem, o co błagałem gwiazdy.

On z kolei nie miał nic. Dostał wszystko i to roztrwonił. Nie zasługiwał na moją litość, na moje współczucie.

Nie, Tamlin zasłużył na to, co na siebie sprowadził, na to puste życie.

Zasłużył na każdy pusty pokój, na każdą plątaninę cierni, na każdy posiłek, który sam musiał sobie upolować.

– Czy ona wie, że tu jesteś?

– Och, oczywiście, że tak.

Kiedy zaprosiłem ją, by wyruszyła tu ze mną, jedno spojrzenie na jej twarz dało mi odpowiedź, zanim ją wypowiedziała: nie miała najmniejszej ochoty już nigdy więcej widzieć twarzy mężczyzny siedzącego teraz naprzeciw mnie.

– Ponadto – podjąłem – była równie zaniepokojona wieściami, że twoje granice nie są strzeżone tak, jak mieliśmy nadzieję.

– Bez muru potrzebowałbym do tego armii.

– To się da załatwić.

Tamlin wydał z siebie gardłowy pomruk, a na palcach pojawiły się lśniące czubki pazurów.

– Nie mam zamiaru wpuścić na swoje ziemie tobie podobnych.

– Mnie podobni, jak ich nazywasz, walczyli w większości bitew wojny, którą ty pomogłeś rozpętać. Jeśli potrzebujesz wojowników do zasilenia patroli, ja ich zapewnię.

– Żeby chronić ludzi przed nami? – zapytał kpiąco.

Ręce mnie świerzbiły, by chwycić go za gardło. Wokół czubków moich palców zaczęły tańczyć cienie, zwiastuny kryjących się tuż pod skórą szponów.

Ten dom… nienawidziłem go. Nienawidziłem od chwili, gdy stanąłem w nim tamtej nocy, kiedy popłynęła krew Dworu Wiosny w ramach zapłaty za dług, który nigdy nie mógł zostać w pełni spłacony. Zapłaty za dwie pary skrzydeł przybite do ściany gabinetu.

Feyra mi powiedziała, że Tamlin już dawno je spalił. Ale to było nieistotne. Był tam tamtego dnia.

Powiedział swojemu ojcu i swoim braciom, gdzie moja siostra i matka będą na mnie czekały. I nie kiwnął palcem, by im pomóc, kiedy je mordowali.

Wciąż stawały mi przed oczami ich głowy w koszach, z twarzami wykrzywionymi ze strachu i bólu. Zobaczyłem je ponownie, gdy się przyglądałem księciu Dworu Wiosny; obaj zostaliśmy ukoronowani tej samej krwawej nocy.

– Owszem, żeby chronić ludzi przed nami – przytaknąłem złowieszczo cichym głosem. – Żeby podtrzymać pokój.

– Jaki pokój? – Tamlin wsunął pazury z powrotem pod skórę i skrzyżował ramiona; mniej umięśnione niż ostatnim razem, kiedy go widziałem na polu bitwy. – Nic się nie zmieniło. Po prostu mur zniknął.

– Możemy sprawić, żeby się zmieniło. Żeby było lepiej. Ale do tego musimy zacząć tak jak trzeba.

– Nie wpuszczę na swoje ziemie nawet jednego zwierzęcia z Dworu Nocy.

Wyglądało na to, że jego lud już go wystarczająco znienawidził.

Ale to słowo – „zwierzę”… Miałem dość. Wkraczaliśmy na grząski grunt.

Przynajmniej ja. Traciłem panowanie nad sobą. Przynajmniej w tej chwili.

Wstałem z fotela. Tamlin nawet nie drgnął.

– Sam na siebie to wszystko sprowadziłeś – powiedziałem wciąż łagodnym tonem.

Nie musiałem krzyczeć, by dać wyraz swojemu gniewowi. Nie miałem zamiaru.

– Wygrałeś – prychnął i wychylił się do przodu. – Masz swoją *towarzyszkę*. Czy to nie wystarczy?

– Nie. − Ostatnie słowo poniosło się echem przez bibliotekę. – Niemal ją zniszczyłeś. W każdy możliwy sposób.

Tamlin obnażył zęby. Odpowiedziałem tym samym, niech demony porwą panowanie nad sobą. Pozwoliłem części mojej mocy przetoczyć się z łoskotem przez pomieszczenie, dom, okoliczne ziemie.

– Ale mimo to przetrwała. Przetrwała pomimo twoich starań. Ale ty i tak pragnąłeś ją upokorzyć, umniejszyć. Jeśli chciałeś ją odzyskać, stary przyjacielu, to nie wybrałeś najmądrzejszego sposobu.

– Wynoś się.

Nie skończyłem. Dopiero się rozkręcałem.

– Zasługujesz na wszystko, co cię spotkało. Zasługujesz na ten żałosny pusty dom, na swoje zniszczone ziemie. Mam gdzieś, że ofiarowałeś okruch swojego życia, by ocalić moje. Mam gdzieś, czy nadal kochasz moją towarzyszkę. Mam gdzieś, że uratowałeś ją przed Hybernijczykami czy choćby przed tysiącem wrogów wcześniej. – Słowa wypływały ze mnie lodowatym i równym strumieniem. – Mam nadzieję, że resztę swojego żałosnego życia spędzisz tu całkiem sam. To o wiele bardziej satysfakcjonujący los od zaszlachtowania cię.

Feyra kiedyś doszła do tego samego wniosku. Zgodziłem się z nią wtedy, nadal uważałem, że wybrała mądrze, ale dopiero teraz prawdziwie ją zrozumiałem.

Zielone oczy Tamlina rozbłysły dziką furią.

Przygotowałem się na atak… wręcz go pragnąłem. Chciałem, żeby wyskoczył z tego fotela i rzucił się na mnie, żeby skoczył na mnie z obnażonymi pazurami.

Krew dudniła mi w żyłach, moc wiła się pod skórą.

Nasze starcie zrównałoby ten dom z ziemią. Obróciłoby go w stertę gruzu. A potem kamienie i drewno obróciłyby się w drobny czarny pył.

Ale Tamlin tylko wpatrywał się we mnie. A po chwili spuścił wzrok na blat biurka.

– Wynoś się.

Zamrugałem. Jedyna oznaka zaskoczenia.

– Nie masz nastroju na bójkę?

Teraz już nawet na mnie nie spojrzał.

– Wynoś się – rzucił tylko.

Wydawał się całkowicie pokonany.

Pokonany, zniszczony własnym działaniem, własnymi wyborami.

To nie była moja sprawa. Nie zasługiwał na moje współczucie.

Ale kiedy przeskakiwałem, kiedy mroczny wiatr zawirował wokół mnie, poczułem w brzuchu dziwne ssanie.

Tamlin nie obłożył domu zaklęciami ochronnymi. Nic nie stało na przeszkodzie, by ktokolwiek tu przeskoczył. By wrogowie pojawili się w jego sypialni i poderżnęli mu gardło.

Niemal jakby tylko czekał, żeby ktoś to w końcu zrobił.

***

Feyrę znalazłem wracającą do domu zapewne z jakichś zakupów, ponieważ w ukrytych w ciepłych rękawicach dłoniach niosła kilka toreb.

Jej uśmiech, kiedy wylądowałem obok niej, wzbijając wokół nas tumany śniegu, uderzył mnie w serce niczym cios pięścią.

Ale szybko zniknął z jej ust, kiedy przyjrzała się mojej twarzy.

I chociaż staliśmy na środku ruchliwej ulicy, odstawiła torby i przyłożyła mi dłoń do policzka.

– Tak źle?

Skinąłem i przytuliłem twarz do jej dłoni. Na nic więcej nie miałem siły.

Złożyła pocałunek na moich ustach. Wargi miała ciepłe; wtedy zorientowałem się, jak bardzo zmarzłem.

– Przespaceruj się ze mną do domu – zaproponowała, wsunęła mi rękę pod ramię i przylgnęła do mojego boku.

Zebrałem torby z zakupami i posłusznie ruszyłem przed siebie. Gdy mijaliśmy kolejne kwartały, pokonaliśmy most nad lodowatą Sidrą, a następnie wspinaliśmy się na strome wzgórza, opowiedziałem jej wszystko. Wszystko, co powiedziałem Tamlinowi.

– Biorąc pod uwagę, jak podobno zwyzywałeś Kasjana, powiedziałabym, że teraz postąpiłeś dość łagodnie – zauważyła, gdy skończyłem mówić.

Parsknąłem.

– Tutaj inwektywy nie były potrzebne.

Rozważyła moje słowa.

– Udałeś się tam, bo martwisz się murem, czy tylko dlatego, że chciałeś mu to wszystko wygarnąć?

– Jedno i drugie. – Nie potrafiłem skłamać jej w tej sprawie. – I może po to, żeby go zarżnąć.

W jej oczach zalśnił błysk zaniepokojenia.

– Skąd takie myśli?

Nie wiedziałem.

– Po prostu… – Zabrakło mi słów.

Ścisnęła mocniej moje ramię. Spojrzałem na nią i przyjrzałem się uważnie jej twarzy. Otwarta, wyrozumiała.

– To, co powiedziałeś… Nie zrobiłeś źle – stwierdziła. Bez krytyki, bez gniewu.

Przygnębiająca pustka zaczęła się powoli wypełniać.

– Powinienem być lepszy od niego.

– Zazwyczaj jesteś. Ale masz prawo do chwil słabości.

Uśmiechnęła się − jasno jak księżyc w pełni, piękniej niż gwiazda.

Wciąż nie kupiłem jej prezentu na Przesilenie. Ani na urodziny.

Widząc moje zmarszczone brwi, przekrzywiła głowę, a jej warkocz zsunął się z ramienia. Pogładziłem go, rozkoszując się miękkością jedwabistych pasm pod skostniałymi palcami.

– Spotkamy się w domu – rzuciłem, podając jej z powrotem torby.

Teraz to ona zmarszczyła brwi.

– A dokąd to się wybierasz?

Pocałowałem ją w policzek i wciągnąłem głęboko jej zapach, woń bzu i gruszek.

– Mam pewne sprawy do załatwienia.

Przyglądanie się jej, spacerowanie u jej boku, nie ukoiło wciąż kłębiącej się we mnie wściekłości. Na widok jej pięknego uśmiechu zapragnąłem wręcz przeskoczyć z powrotem na Dwór Wiosny i wbić swój ilyryjski miecz prosto w bebechy Tamlina.

To dopiero bym pokazał, że jestem lepszy od niego.

– Idź, namaluj mnie nagiego – zaproponowałem, mrugnąłem do niej i wystrzeliłem w lodowaty chłód nieba.

Jej dźwięczny śmiech towarzyszył mi aż do Pałacu Nici i Klejnotów.

***

Przyjrzałem się biżuterii wyłożonej przez moją ulubioną jubilerkę na czarnym aksamicie wyściełającym szufladkę stojącą na przeszklonej ladzie. W świetle przytulnego sklepiku przy głównym placu klejnoty migotały wewnętrznym ogniem, przyzywały, kusiły. Szafiry, szmaragdy, rubiny… Feyra miała już je wszystkie. Cóż, w rozsądnych ilościach, jeśli nie liczyć bransolet z diamentu, które jej podarowałem na Święto Spadających Gwiazd.

Założyła je tylko dwa razy.

Tamtej nocy, kiedy tańczyłem z nią aż do świtu, ledwie odważając się żywić nadzieję, że być może zaczyna odwzajemniać choć trochę to, co ja czułem do niej.

I drugi raz, kiedy wróciliśmy do Velaris po ostatniej bitwie z Hybernią. Wtedy miała na sobie *tylko* te bransolety.

Pokręciłem głową i zwróciłem się do smukłej, ulotnej fae stojącej za ladą:

– Są przepiękne, Neve, ale nie sądzę, żeby moja pani chciała dostać klejnoty na Przesilenie.

Wzruszyła ramionami, aczkolwiek bez cienia rozczarowania. Kupowałem u niej na tyle często, żeby wiedziała, że któregoś razu wyjdę z kolejnym z jej dzieł.

Wsunęła tackę pod ladę i zwinnym ruchem otulonych nocą dłoni wyjęła inną.

Nie była zjawą, ale czymś zbliżonym. Jej wysoką, smukłą sylwetkę zawsze spowijały cienie. Wyraźnie było widać tylko przypominające rozżarzone węgle oczy. Reszta jej ciała pojawiała się czasem na chwilę, po kawałku, kiedy cienisty woal rozstępował się na tyle, by

można było dostrzec ciemną dłoń, ramię czy stopę. Jej lud nie miał sobie równych w obrabianiu kamieni szlachetnych. Zamieszkiwali najgłębsze kopalnie w naszym dworze. Większość naszych rodowych klejnotów pochodziła z Tartery, włącznie z koronami i bransoletami Feyry.

Neve wskazała gestem dłoni zawartość wyciągniętej właśnie tacki.

– Wybrałam je wcześniej, wybacz moją bezpośredniość, z myślą o lady Amrenie.

W rzeczy samej wszystkie wręcz wyśpiewywały jej imię. Duże kamienie, delikatne oprawy. Wspaniała biżuteria dla mojej wspaniałej przyjaciółki, która tak wiele uczyniła dla mnie, dla mojej towarzyszki… dla naszego ludu. Dla całego świata.

Przyjrzałem się trzem drogocennym przedmiotom. Westchnąłem.

– Biorę wszystkie.

Oczy Neve zalśniły niczym rozpalony piec kowalski.

Rozdział 12

Feyra

Co to jest, na wszystkie demony?

Następnego wieczoru Kasjan uśmiechnął się szeroko i wskazał ręką stos sosnowych gałęzi rzuconych na ozdobny czerwony dywan na środku holu.

– Dekoracje świąteczne. Prosto z rynku.

Na szerokich ramionach i ciemnych włosach miał śnieg, a opalone policzki były zaczerwienione od mrozu.

– To nazywasz dekoracjami?

Uśmiechnął się półgębkiem.

– Stos gałęzi sosnowych na środku podłogi to tradycja Dworu Nocy.

Skrzyżowałam ramiona.

– Ale jesteś dowcipny.

– Mówię poważnie.

Zgromiłam go wzrokiem, a on tylko się roześmiał.

– To na kominki, schody i wszystko inne, mądralo. Chcesz pomóc?

Zrzucił z ramion gruby płaszcz i powiesił go w szafie. Pod spodem miał czarny kaftan i koszulę. Nie ruszyłam się z miejsca i potupywałam rytmicznie.

– Co? – zapytał i uniósł pytająco brwi.

Rzadko widywało się Kasjana w czymś innym niż ilyryjski skórzany pancerz, ale w tym ubraniu – chociaż nie było tak wytworne jak to, co zwykle wkładali Rhys czy Mor – było mu do twarzy.

– Czy rzucenie mi stosu gałęzi pod nogi to twój nowy sposób na przywitanie się? Parę dni w tym ilyryjskim obozie wystarczyło, byś zapomniał, jak się należy zachowywać?

Kasjan momentalnie do mnie doskoczył, porwał mnie w górę i zaczął okręcać, dopóki nie poczułam nadpływających mdłości. Zasypałam go gradem ciosów i wyzwisk.

W końcu postawił mnie na ziemi.

– Co mi dasz z okazji Przesilenia?

Trzepnęłam go w ramię.

– Zamknij się wreszcie.

Ponownie się zaśmiał, a ja do niego mrugnęłam.

– Gorące kakao czy wino?

Kasjan otoczył mnie skrzydłem i obrócił w stronę drzwi prowadzących do piwnicy.

– Ile butelek tego dobrego zostało małemu Rhysiowi?

***

Opróżniliśmy dwie, zanim pojawił się Azriel. Pieśniarz cieni spojrzał tylko na nasze pijackie próby udekorowania domu i zaczął wszystko poprawiać, zanim ktokolwiek inny mógłby zobaczyć bałagan, którego narobiliśmy.

Siedzieliśmy w salonie rozparci na kanapie przed kominkiem, na którym trzaskały brzozowe polana, i szczerzyliśmy się jak demony, podczas gdy on prostował wieńce i girlandy, które pozaczepialiśmy o różne sprzęty, zmiatał rozrzucone po dywanach sosnowe igły, nieustannie przy tym kręcąc głową.

– Az, odetchnij na chwilę – rzucił niedbale Kasjan i machnął ręką w stronę przyjaciela. – Poczęstuj się winem. Zjedz ciastko.

– Zdejmij płaszcz – dodałam, podając pieśniarzowi cieni butelkę. Nawet się nie rozebrał, tylko najpierw zabrał się do sprzątania po nas bałaganu.

Azriel wyprostował zwisającą nierówno girlandę przerzuconą przez parapet.

– Czy postawiliście sobie za punkt honoru udekorować dom najgorzej, jak się da?

Kasjan chwycił się za serce.

– Obrażasz nas.

Azriel westchnął, wznosząc wzrok ku górze.

– Biedny Az – wtrąciłam, nalewając sobie kolejny kieliszek. – Wino cię odpręży.

Spojrzał na mnie, na butelkę, na Kasjana… aż w końcu przeszedł szybko dzielącą nas odległość, wyrwał mi butelkę z ręki i osuszył ją na raz. Kasjan wyszczerzył zęby z widocznym zadowoleniem.

Głównie z powodu Rhysa, który odezwał się od drzwi:

– Cóż, przynajmniej teraz wiem, kto wypija moje najlepsze butelki. Chcesz jeszcze jedną, Az?

Azriel niemal wypluł wino prosto w ogień, ale w ostatniej chwili przełknął i odwrócił się do Rhysa z poczerwieniałą twarzą.

– Chciałbym wyjaśnić…

Dźwięczny śmiech Rhysa odbił się od dębowej sztukaterii salonu.

– Sądzisz, że po pięciu wiekach nie wiem, że jeśli znika moje wino, to zazwyczaj stoi za tym Kasjan?

Wywołany uniósł kieliszek w toaście.

Rhys rozejrzał się po pokoju i zachichotał.

– Potrafię bez problemu wskazać, które rozwiesiliście wy, a które Azriel starał się poprawić przed moim przybyciem. – Pieśniarz cieni potarł skroń. Rhys spojrzał na mnie spod uniesionych brwi. – Spodziewałem się więcej po artystce.

Pokazałam mu język.

Chwilę później odezwał się w moich myślach: „Schowaj ten język na później. Mam co do niego pewne plany”.

Palce u stóp podwinęły mi się pomimo grubych, długich skarpet.

– Zimno jak cholera! – zakrzyknęła Mor z holu i odciągnęła moje myśli od ciepła rozlewającego się w moim łonie. – I kto, na demony, pozwolił Kasjanowi i Feyrze dekorować?

Azriel zakaszlał, choć mogłam przysiąc, że próbował w ten sposób zamaskować śmiech, a jego zazwyczaj przesłonięta cieniem twarz rozjaśniła się, kiedy Mor wparowała do salonu z policzkami zaróżowionymi od mrozu i chuchając w skostniałe palce. Ona za to się skrzywiła.

– Nie mogliście na mnie zaczekać z otwarciem tego wina?

Wyszczerzyłam zęby w uśmiechu, a Kasjan jej odpowiedział:

– Dopiero zaczęliśmy przegląd kolekcji Rhysa.

Mój towarzysz podrapał się po głowie.

– Wiecie, te butelki tam są, żeby każdy mógł się napić. Częstujcie się, kiedy tylko zechcecie.

– To może się na tobie zemścić, Rhysandzie – przestrzegła go Amrena, która właśnie weszła przez drzwi niemal niewidoczna spod wielkiego białego futrzanego płaszcza.

Spod kaptura błyszczały tylko ciemne włosy i srebrzyste oczy. Wyglądała jak…

– Wyglądasz jak wkurzona śnieżka – wypalił Kasjan.

Zacisnęłam mocno wargi, żeby się nie roześmiać. Śmianie się z Amreny nie było mądre.

Nawet teraz, kiedy nie dysponowała już większością swoich mocy i była na stałe uwiązana do ciała fae.

Wkurzona śnieżka zgromiła go wzrokiem spod zmrużonych powiek.

– Uważaj, chłopcze. Nie chciałbyś rozpętać wojny, której nie możesz wygrać. – Rozpięła kołnierz, żeby wszyscy mogli ją dobrze usłyszeć, po czym dodała zwodniczo ciepłym tonem: – Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że za dwa dni Nesta Archeron przybędzie tu na Przesilenie.

Poczułam falowanie mocy między nimi – między Kasjanem, Mor i Azrielem. Poczułam dziki szał bijący od Kasjana, którego alkoholowa wesołość momentalnie zniknęła.

– Amreno, zamknij się – powiedział niskim głosem.

Mor przyglądała się scenie z taką uwagą, że ciężko było się w nią nie wpatrywać. Oderwałam jednak od niej wzrok i zerknęłam na Rhysa, który przybrał zamyślony wyraz twarzy.

Amrena tylko rozchyliła w uśmiechu czerwone wargi, błyskając białymi zębami, po czym podeszła do szafy w holu i rzuciła przez ramię:

– Z ogromną chęcią popatrzę, jak cię będzie dręczyła. O ile będzie trzeźwa.

Przesadziła. Rhys chyba doszedł do tego samego wniosku, ale zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, wcięłam się:

– Nie mieszaj do tego Nesty.

Amrena rzuciła mi spojrzenie, które chyba można było uznać za przepraszające. Ale wieszając swój olbrzymi płaszcz w szafie, oznajmiła tylko:

– Varian przybędzie, tak więc pogódź się z tym.

***

Elaina była w kuchni, gdzie pomagała Nuali i Cerridwenie przygotować wieczorny posiłek. Chociaż do nocy Przesilenia pozostały jeszcze dwa dni, wszyscy już przybyli do miejskiego domu Rhysa.

Wszyscy oprócz jednej osoby.

– Jakieś wieści od Nesty? – spytałam siostrę w ramach powitania.

Elaina właśnie wyjmowała z pieca jeszcze parujące bochny chleba. Włosy miała częściowo upięte, a jej fartuch założony na różową sukienkę był cały pokryty mąką. Wyprostowała się, zamrugała i spojrzała na mnie bystro swoimi piwnymi oczami.

– Nie. Poprosiłam ją dzisiaj, żeby do nas dołączyła i dała mi znać, kiedy podejmie decyzję. Nie dostałam odpowiedzi.

Pomachała ściereczką nad chlebem, żeby go trochę schłodzić, po czym podniosła jeden i postukała palcem w spód. Odpowiedział jej głuchy odgłos, co jej wystarczyło.

– Sądzisz, że warto po nią iść?

Elaina przerzuciła ściereczkę przez szczupłe ramię i podwinęła rękawy do łokci. W ostatnich miesiącach jej skóra nabrała koloru – przynajmniej zanim nastała chłodna zima. Twarz też się zaokrągliła.

– Pytasz mnie jako siostry czy jako jasnowidzącej?

Przybrałam spokojny, przyjazny wyraz twarzy i oparłam się o blat.

Elaina nie wspominała o żadnych nowych wizjach. A my nie prosiliśmy jej o korzystanie z jej darów. Nie wiedziałam nawet, czy wciąż nimi dysponowała, zważywszy zniszczenie i późniejszą naprawę Kotła. Nie chciałam pytać.

– Znasz Nestę najlepiej – odpowiedziałam, uważnie dobierając słowa. – Sądziłam, że chciałabyś coś doradzić.

– Jeśli Nesta nie chce tu dzisiaj być, to nie warto sprowadzać jej siłą.

Głos mojej siostry brzmiał chłodniej niż zwykle. Zerknęłam na Nualę i Cerridwenę. Ta

ostatnia pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć, że Elaina nie miała dzisiaj dobrego dnia.

Moja siostra wciąż jeszcze dochodziła do siebie – podobnie jak my wszyscy. Kiedy zabrałam ją na porośnięte dzikimi kwiatami wzgórze na obrzeżu miasta, do marmurowego nagrobka, który ustawiłam tam ku pamięci naszego ojca, płakała całe godziny.

Spaliłam jego ciało po bitwie, ale mimo to zasługiwał na miejsce spoczynku. Za wszystko, co zrobił w ostatnich miesiącach życia, zasługiwał na piękny nagrobek, na którym własnoręcznie wyryłam jego imię. A Elaina zasługiwała na miejsce, w którym mogłaby się z nim spotkać, gdzie mogłaby z nim porozmawiać.

Odwiedzała go co najmniej raz w miesiącu.

Nesta ani razu tam nie poszła. Zignorowała moje zaproszenie, by udać się razem z nami, kiedy szłyśmy tam pierwszy raz. A także każde kolejne.

Stanęłam obok Elainy, wzięłam nóż z drugiej strony stołu i zaczęłam kroić chleb. Od strony korytarza dobiegały głosy mojej rodziny: dźwięczny śmiech Mor wzbijający się ponad dudniący rechot Kasjana.

Odezwałam się ponownie dopiero, gdy przede mną leżał stos parujących kromek.

– Nesta nadal należy do tej rodziny.

– Czyżby? – Elaina cięła głęboko kolejny bochenek. – Zdecydowanie nie zachowuje się, jakby tak było.

Powstrzymałam się od zmarszczenia czoła.

– Czy coś się stało, kiedy się z nią dzisiaj widziałaś?

Nie odpowiedziała. Kroiła dalej chleb.

Zatem ja też zabrałam się do krojenia. Sama nie lubiłam, kiedy inni naciskali, gdy nie chciałam czegoś powiedzieć. Wypadało więc, bym i ja na nią nie naciskała.

Pracowałyśmy w ciszy, po czym przystąpiłyśmy do nakładania na półmiski jedzenia, które przygotowały Nuala i Cerridwena, skryte za swoimi cieniami bardziej niż zwykle. Chciały dać nam nieco prywatności. Posłałam im wdzięczne spojrzenie, ale one tylko pokręciły głowami. Podziękowania nie były potrzebne. Spędzały z Elainą więcej czasu, niż ja nawet bym mogła. Potrafiły odczytać jej nastrój, odgadnąć, czego czasem potrzebowała.

Elaina odezwała się dopiero, kiedy niosłyśmy korytarzem w stronę jadalni pierwszą partię naczyń.

– Nesta powiedziała, że nie chce przychodzić na Przesilenie.

– W porządku – odrzekłam, chociaż poczułam ukłucie w piersi.

– Powiedziała, że nie chce przychodzić na nic w ogóle. Nigdy.

Przystanęłam i spojrzałam Elainie w oczy, z których biły teraz ból i strach.

– Czy wyjaśniła, dlaczego?

– Nie. – Złość… Na jej twarzy była wypisana też złość. – Powiedziała tylko… że my mamy nasze życia, a ona ma swoje.

Powiedzieć coś takiego mnie, w porządku. Ale Elainie?

Westchnęłam. W brzuchu mi burczało na widok pieczonego na wolnym ogniu kurczaka leżącego na niesionym przeze mnie talerzu. Nos wypełniała mi woń szałwii i cytryny.

– Porozmawiam z nią.

– Nie rób tego – odparła bezbarwnym głosem Elaina i ruszyła dalej korytarzem. Nad jej ramionami popłynęły, niczym cienie Azriela, smużki pary unoszącej się z pieczonych ziemniaków z rozmarynem. – Nie posłuchacię.

O, to się jeszcze zobaczy. Zmusiłam się do zadania jeszcze jednego pytania:

– A ty? Czy wszystko… w porządku?

Elaina obejrzała się na mnie przez ramię, kiedy weszłyśmy do holu, po czym skręciła

w lewo do jadalni. Na zapach jedzenia w pokoju dziennym po drugiej stronie przedpokoju umilkły wszelkie rozmowy.

– Dlaczego nie miałoby być w porządku? – zapytała, a jej twarz rozjaśnił uśmiech.

Widziałam już wcześniej takie wymuszone uśmiechy. Na własnej cholernej twarzy.

Ale wtedy pozostali już wparowali do jadalni. Kasjan cmoknął Elainę w policzek na powitanie, po czym przesunął na bok, niemal unosząc w górę, żeby dostać się jak najszybciej do stołu. Następna była Amrena, która powitała moją siostrę skinięciem głowy. Jej rubinowy naszyjnik mienił się w blasku czarodziejskich świateł rozmieszczonych na girlandach w korytarzu. Po niej weszła Mor, która wycałowała Elainę soczyście w oba policzki. Za nią Rhys. Spojrzał na Kasjana, częstującego się już jedzeniem z półmisków, które Nuala i Cerridwena magicznie przeniosły prosto na stół, i pokręcił głową. Ponieważ moja siostra mieszkała z nami, jedynie posłał jej uśmiech, po czym usiadł po prawej stronie Kasjana.

Na koniec z pokoju dziennego z kieliszkiem wina w dłoni i skrzydłami złożonymi za plecami wyłonił się Azriel. Na sobie miał dobrej jakości, lecz prostego kroju kaftan i spodnie.

Gdy się zbliżył, bardziej poczułam, niż zobaczyłam, jak moja siostra nieruchomieje. Przełknęła ślinę.

– Całą noc będziesz tak trzymać tego kurczaka? – zapytał od stołu Kasjan.

Skrzywiłam się, ruszyłam w jego stronę i postawiłam naczynie z brzękiem na blacie stołu.

– Naplułam – rzuciłam słodko.

– Dzięki temu będzie tylko smaczniejsze – odparował śpiewnie Kasjan i uśmiechnął się szeroko.

Rhys zachichotał i pociągnął solidny łyk wina.

Nie odpowiedziałam już na tę zaczepkę i udałam się na swoje miejsce między Amreną a Mor. Właśnie wtedy zobaczyłam, jak moja siostra zwraca się do Azriela.

– Dobry wieczór.

Az nie odezwał się ani słowem.

Po prostu ruszył w jej stronę.

Siedząca obok mnie Mor stężała.

Ale Azriel tylko odebrał od mojej siostry ciężki półmisek ziemniaków i zwrócił się do niej głosem aksamitnym jak sama noc:

– Usiądź. Ja się tym zajmę.

Dłonie Elainy pozostały uniesione, tak jakby wciąż trzymała naczynie. Zamrugała, opuściła ręce i spojrzała na swój fartuch.

– Och… zaraz wracam – wymamrotała, po czym udała się śpiesznym krokiem w stronę schodów, zanim zdążyłam powiedzieć, że nikt tutaj nie zważał na to, jak bardzo jest obsypana mąką, i że powinna zwyczajnie usiąść przy stole.

Azriel postawił ziemniaki na środku blatu, a Kasjan od razu ku nim sięgnął.

Zanim jednak zdążył chwycić łyżkę, pobliźnione palce pieśniarza cieni zacisnęły się na jego przegubie i unieruchomiły rękę.

– Zaczekaj – powiedział Azriel głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Mor wpatrywała się w nich nieruchomo. Mogłam się założyć, że na wpół przeżute ziarno groszku w kąciku jej ust za chwilę się odklei i upadnie na talerz. Amrena tylko uśmiechnęła się pogardliwie znad brzegu kieliszka.

Kasjan spojrzał na brata z niedowierzaniem.

– Na co mam czekać? Na sos?

Azriel nie rozluźnił chwytu.

– Zanim zaczniesz jeść, zaczekaj, aż wszyscy usiądą.

– Świnia – skwitowała Mor.

Kasjan spojrzał znacząco na talerz Mor, na którym leżały na wpół już zjedzone zielony groszek, kawałek kurczaka, kromka chleba i plaster szynki. Cofnął jednak rękę i odchylił się na krześle.

– Nie wiedziałem, że tak bardzo dbasz o maniery przy stole, Az.

Pieśniarz cieni puścił jego przegub i wbił wzrok w swój kieliszek wina. Elaina wróciła już bez fartucha i ze świeżo zaplecionym warkoczem.

– Proszę, nie czekajcie na mnie – powiedziała, po czym usiadła u szczytu stołu.

Kasjan spojrzał znacząco na Azriela. Ten go z premedytacją zignorował.

Niemniej jednak ilyryjski generał zaczekał, aż Elaina nałoży sobie jedzenie na talerz, zanim sam sięgnął do półmisków. Tak samo jak wszyscy pozostali.

Uchwyciłam wzrok siedzącego naprzeciw mnie Rhysa. „O co tu chodziło?”.

Rhys pokroił polaną sosem szynkę zwinnymi, pewnymi ruchami. „To nie miało nic wspólnego z Kasjanem”.

„Ach?”.

Rhys włożył kęs do ust i skinął nożem na mój talerz w sugestii, abym też zaczęła jeść. „Powiedzmy, że to obudziło pewne stare demony”. Widząc moje niezrozumienie, dodał: „To, jak jego matka była traktowana, pozostawiło pewne blizny. Wiele blizn”.

Jego matka, która w chwili jego narodzin była służącą, niemal niewolnicą. A potem…

„Nikt z nas nigdy nie czeka, aż wszyscy usiądą, a już na pewno nie Kasjan”.

„To wraca przez całe życie”.

Bardzo się starałam nie patrzeć na pieśniarza cieni. „Rozumiem”.

Obróciłam się w stronę Amreny i przyjrzałam jej talerzowi. Niewielkie porcje wszystkiego.

– Wciąż się przyzwyczajasz?

Amrena burknęła i trąciła marchewki pieczone w miodzie.

– Krew smakuje lepiej.

Mor i Kasjan zakrztusili się.

– I wypicie jej nie zajmowało tyle czasu – narzekała dalej Amrena, unosząc do pomalowanych czerwoną szminką ust najmniejszy możliwy kawałek pieczonego kurczaka.

Amrena potrzebowała niewielkich i niespiesznie spożywanych porcji. Po pierwszym normalnym posiłku, jaki zjadła po powrocie, a była to miska zupy z soczewicy, wymiotowała przez godzinę. Przystosowywała się stopniowo. Wciąż nie potrafiła zajadać się ze smakiem, jak zwykliśmy to robić my. Żadne z nas nie wiedziało, czy problem był czysto fizyczny, czy też może musiała przełamać się psychicznie.

– A do tego dochodzą inne nieprzyjemne skutki jedzenia – ciągnęła dalej Amrena, krojąc marchewkę na cieniutkie plasterki.

Azriel i Kasjan wymienili spojrzenia, po czym obaj wykazali nagle olbrzymie zainteresowanie zawartością swoich talerzy. Chociaż po ustach krążyły im uśmiechy.

– Jakie skutki? – zapytała Elaina.

– Nie odpowiadaj na to – wtrącił się gładko Rhys i wycelował widelec w Amrenę.

Ta tylko syknęła na niego, a jej ciemne włosy zafalowały niczym zasłona płynnej nocy.

– Czy wiesz, jakie to uciążliwe, musieć szukać miejsca na ulżenie sobie absolutnie wszędzie, gdzie się udam?

Od strony Kasjana dobiegł cichy syk, a ja zacisnęłam mocno wargi. Mor ścisnęła mnie pod stołem za kolano. Cała dygotała z wysiłku, by nie wybuchnąć śmiechem.

– Amreno, czy powinniśmy zacząć budować dla ciebie w całym Velaris publiczne

toalety? – zapytał przeciągle Rhys.

– Mówię poważnie, Rhysandzie – warknęła.

Nie odważyłam się spojrzeć w oczy Mor. Ani Kasjanowi. Wystarczyłoby jedno zerknięcie, żebym całkowicie straciła hamulce. Amrena machnęła dłonią, wskazując całą siebie.

– Powinnam była wybrać postać męską. Wy przynajmniej możecie po prostu to sobie wyjąć i pójść, gdziekolwiek chcecie, nie musząc się martwić zalaniem…

Kasjan nie wytrzymał. Potem Mor. A po niej ja. Nawet Az cicho chichotał.

– Naprawdę nie umiesz sikać? – zapytała Mor, śmiejąc się głośno. – Po tylu miesiącach?

Amrena zakipiała.

– Widziałam zwierzęta…

– Powiedz, że przynajmniej wiesz, jak działa toaleta – wtrącił się Kasjan, uderzając szeroką dłonią o stół. – Powiedz, że wiesz przynajmniej tyle.

Z rozmachem zasłoniłam dłonią usta, tak jakbym mogła w ten sposób wepchnąć śmiech z powrotem do środka. Oczy siedzącego naprzeciw Rhysa lśniły jaśniej od gwiazd. Jego usta drgały, podczas gdy on starał się bezskutecznie zachować powagę.

– Wiem, jak się siada na toalecie – warknęła Amrena.

Mor, na której twarzy tańczył uśmiech, już otwierała usta, ale wtedy wtrąciła się Elaina:

– Mogłaś to zrobić? Wybrać męską postać?

Pytanie ucięło wszelki śmiech niczym wystrzelona między nas strzała.

Amrena przyjrzała się mojej siostrze, której policzki pozostały czerwone z powodu naszej wcześniejszej rozmowy.

– Tak – odparła prosto. – Wcześniej, w mojej drugiej postaci, nie miałam płci. Zwyczajnie byłam.

– Dlaczego więc wybrałaś to ciało?

Czarodziejskie światło z kandelabru rozświetlało sploty jej złocistobrązowego warkocza.

– Mocniej mnie przyciągała postać kobieca – odparła bez mrugnięcia okiem Amrena. – Wydała mi się bardziej symetryczna. Byłam z niej zadowolona.

Mor zmarszczyła brwi i spojrzała na swoje ciało, z zadowoleniem lustrując pokaźne walory.

– Prawda.

Kasjan parsknął.

– A kiedy już byłaś w tym ciele, nie mogłaś go zmienić? – dopytywała dalej Elaina.

Amrena zmrużyła nieco oczy. Wyprostowałam się i powiodłam wzrokiem między nimi dwiema. Owszem, zadawanie tylu pytań nie było podobne do Elainy, ale z tygodnia na tydzień jej stan się poprawiał. Przez większość czasu pozostawała przytomna. Może cicha i skłonna do popadania w melancholię, ale jak najbardziej świadoma.

Ku mojemu zaskoczeniu wytrzymała spojrzenie Amreny, która po chwili jej odpowiedziała:

– Pytasz wiedziona ciekawością co do mojej przeszłości czy też własnej przyszłości?

Wydźwięk tego pytania tak mnie oszołomił, że nie byłam zdolna jej skarcić. Pozostali też tkwili w osłupieniu.

Elaina zmarszczyła brwi i zanim zdążyłam zareagować, odpowiedziała pytaniem:

– O co ci chodzi?

– Nie zdołasz wrócić do bycia człowiekiem, dziewczyno – powiedziała Amrena, może odrobinę łagodniej.

– Amreno – przestrzegłam ją.

Elaina jeszcze bardziej poczerwieniała na twarzy i wyprostowała plecy. Ale nie uciekła

od stołu.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Nigdy wcześniej nie słyszałam u Elainy tak chłodnego tonu.

Zerknęłam na pozostałych. Rhys marszczył brwi, Kasjan i Mor się krzywili, a Azriel… na jego pięknej twarzy wypisane było współczucie. Współczucie i żal.

Od miesięcy Elaina nie wspominała o chwili, kiedy została stworzona, o Kotle ani o Graysenie. Założyłam, że może przyzwyczaja się do bycia fae; że może powoli przestaje tęsknić za śmiertelnym życiem.

– Amreno, masz niesamowity dar psucia rozmów przy posiłku – stwierdził Rhys, mieszając wino w kieliszku. – Ciekawi mnie, czy potrafiłabyś w ten sposób zarabiać na życie.

Jego prawa ręka spojrzała na niego gniewnie, ale Rhys nie odwrócił wzroku, a na jego twarzy było wypisane niewypowiedziane ostrzeżenie.

„Dziękuję” – powiedziałam przez więź. W odpowiedzi otrzymałam ciepłą pieszczotę.

– Wybierz sobie kogoś swojego rozmiaru – rzucił do Amreny Kasjan i wpakował do ust kawałek pieczonego kurczaka.

– Byłoby mi żal myszy – mruknął pod nosem Azriel.

Mor i Kasjan zawyli ze śmiechu. Azriel poczerwieniał, Elaina uśmiechnęła się z wdzięcznością, a Amrena się skrzywiła.

Ich śmiech sprawił, że coś we mnie się rozluźniło. Ich śmiech i światło powracające do oczu Elainy.

Światło, którego nigdy więcej nie chciałam więcej przyćmionego.

„Po posiłku muszę gdzieś pójść” – zwróciłam się do Rhysa, wracając do jedzenia. „Chcesz się przelecieć na drugi koniec miasta?”.

***

Nesta nie otworzyła drzwi.

Pukałam bodaj przez dwie minuty, przypatrując się skąpanemu w półmroku korytarzowi rozpadającego się drewnianego budynku, w którym zdecydowała się zamieszkać. W końcu dałam za wygraną i posłałam przez drzwi wiązkę magii.

Rhys otoczył cały dom zaklęciami ochronnymi. Dzięki naszej magii, więzi łączącej nasze dusze, moja moc nie napotkała żadnego oporu i przeniknęła do pomieszczeń za ścianą.

Nic. Ani śladu życia ani… ani czegoś gorszego.

Nie było jej w domu.

Miałam silne podejrzenie, gdzie mogę ją znaleźć.

Przeskoczyłam na lodowatą ulicę i zamachałam rękami, żeby złapać równowagę na lodzie pokrywającym bruk.

Oparty o latarnię Rhys zachichotał. Czarodziejskie światło lśniło na szponach wieńczących jego skrzydła. Nawet nie drgnął.

– Dupek – wymamrotałam pod nosem. – Większość mężczyzn pomogłaby swoim towarzyszkom, kiedy te byłyby o krok od rozbicia sobie głowy.

Odepchnął się od latarni i podszedł do mnie powolnym krokiem. Każdy jego ruch był płynny i nieśpieszny. Nawet teraz najchętniej całymi godzinami po prostu bym mu się przyglądała.

– Odnoszę wrażenie, że gdybym istotnie ci pomógł, odgryzłabyś mi głowę za to, że zachowuję się jak przewrażliwiona kwoka, jak mnie wcześniej nazwałaś.

Odburknęłam mu odpowiedź, którą puścił mimo uszu.

– Nie ma jej w domu?

Ponownie odburknęłam.

– Cóż, to oznacza, że może się znajdować w jednym z dziesięciu innych miejsc. – Skrzywiłam się.

– Chcesz, żebym jej poszukał? – zapytał Rhys.

Nie fizycznie. Chciał zlokalizować Nestę swoją magią. Nie chciałam, żeby to robił wcześniej, bo zdawało mi się to w pewnym stopniu naruszeniem prywatności mojej siostry, ale było tak cholernie zimno…

– Niech będzie.

Rhys objął mnie ramionami, owinął nas oboje skrzydłami, przycisnął mnie do swojego ciepłego ciała i wyszeptał mi do ucha:

– Trzymaj się.

Ciemność i wiatr zawirowały wokół nas, a ja wtuliłam twarz w jego pierś, wdychając jego zapach.

Potem usłyszałam śmiech, śpiew i głośną muzykę. Poczułam kwaśny zapach starego piwa, ukąszenie zimna…

Jęknęłam i spojrzałam na budynek, pod który nas przeniósł. W którym wyczuł moją siostrę.

– W tym mieście są winiarnie – powiedział, krzywiąc się. – Są sale koncertowe. Doskonałe restauracje. Wykwintne kluby. A twoja siostra…

A moja siostra potrafiła znaleźć najpodlejsze i najbardziej obskurne tawerny w całym Velaris. Nie było ich wiele. Ale ona odwiedzała je wszystkie. A ta – Wilcza Jama – była z nich wszystkich najgorsza.

– Zaczekaj tu – powiedziałam, podnosząc głos, by mnie usłyszał ponad pianiem fletów i łomotem bębnów dobiegającym z wnętrza przybytku, i wyślizgnęłam się z jego objęć.

Kawałek dalej na ulicy kilku pijanych wesołków dostrzegło nas i zamilkło. Wyczuli moc Rhysa, może też moją, i szybko udali się w inne miejsce.

Nie miałam wątpliwości, że to samo stanie się w tawernie. A także co do tego, że Nesta będzie miała nam za złe popsucie jej zabawy. Ja jeszcze mogłam spróbować wślizgnąć się do środka bez przyciągania uwagi wszystkich. Gdybyśmy weszli tam oboje, moja siostra uznałaby to za napaść.

To ja zatem musiałam to zrobić. Sama.

Rhys pocałował mnie w czoło.

– Jeśli ktoś złoży ci jednoznaczną propozycję, powiedz mu, że za godzinę oboje będziemy wolni.

– Och. – Machnęłam na niego ręką i stłumiłam swoją moc niemal do poziomu szeptu.

Posłał mi całusa.

Na to też machnęłam ręką i wślizgnęłam się do środka tawerny.

Rozdział 13

Feyra

Moja siostra nie miewała kompanów od kieliszka. Z tego, co wiem, wychodziła sama i poznawała towarzystwo na miejscu. Od czasu do czasu przyprowadzała kogoś do domu.

Nie pytałam. Nie byłam nawet pewna, kiedy wydarzyło się to po raz pierwszy.

Nie miałam też odwagi spytać Kasjana, czy o tym wie. Od zakończenia wojny ledwie zamienili ze sobą kilka słów.

Kiedy weszłam do rozświetlonej i huczącej muzyką Wilczej Jamy, od razu dostrzegłam moją siostrę siedzącą z trzema mężczyznami przy stoliku w głębi sali. Niemal widać było majaczącego za nią upiora wydarzeń tamtego dnia, kiedy walczyliśmy z Hybernią.

Zdawało się, że każdy gram wagi, który zyskiwała Elaina, Nesta traciła. Jej dumne, ostre rysy jeszcze bardziej się wyostrzyły, a kości policzkowe tak wystawały, że można się było o nie niemal skaleczyć. Tylko włosy pozostały takie jak dawniej, upięte w zwyczajną dla niej koronę. Suknię również miała taką, jak zawsze lubiła: szarą i nieskazitelnie czystą, mimo charakteru przybytku, który wybrała, a który z pewnością widział lepsze dni. Stulecia nawet.

Królowa bez tronu. Taki właśnie tytuł nadałabym obrazowi, który w tamtej chwili na gorąco powstał w mojej głowie.

Gdy tylko zamknęłam za sobą drewniane drzwi, Nesta podniosła na mnie wzrok. Oczy miała tak samo szaroniebieskie jak moje, a po jej twarzy nie było znać żadnych emocji, może poza lekkim zniesmaczeniem. Towarzyszący jej trzej fae wysokiego rodu również byli bardzo dobrze ubrani, biorąc pod uwagę miejsce, w którym przebywali.

„Pewnie młode ogierki z bogatych rodzin liczące na uciechy nocnego życia”.

Powstrzymałam grymas na brzmienie głosu Rhysa w głowie.

„Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy. Poza tym twoja siostra zgrabnie ogrywa ich w karty”.

„I kto tu jest wścibski”.

„Uwielbiasz to”.

Zacisnęłam usta i posłałam mu po naszej więzi wulgarny gest, po czym podeszłam do stołu siostry. W odpowiedzi w moich myślach poniósł się echem śmiech Rhysa, jak odgłos gromu podczas nocnej burzy.

Nesta po prostu wróciła do spoglądania na trzymany w dłoni wachlarz kart, a na jej twarzy malowało się bezbrzeżne znudzenie. Jednak jej towarzysze spojrzeli na mnie, kiedy podeszłam do poplamionego i porysowanego drewnianego stołu. Na wpół wypite, oszronione szklanki pełne jakiegoś bursztynowego trunku pozostawały zimne dzięki sprytnemu zaklęciu panującemu w całym lokalu.

Mężczyzna po przeciwnej stronie stołu – przystojny, złotowłosy fae o łobuzerskiej aparycji – spojrzał mi w oczy.

Natychmiast pochylił głowę, a karty wypadły mu z dłoni na stół. Inni poszli za jego przykładem.

Tylko Nesta wciąż bez zainteresowania przyglądała się zawartości swojej ręki.

– Moja pani – powiedział wysoki, chudy i ciemnowłosy mężczyzna, rzucając ostrożne spojrzenie ku mojej siostrze, która nawet nie podniosła głowy, tylko poprawiła jedną z kart. – W czym możemy ci pomóc?

No dobrze.

Uśmiechnęłam się do nich słodko.

– Przepraszam, że przerywam wam noc na mieście, panowie. – W zasadzie fae, nie panowie, ale wciąż pozostały we mnie pewne przyzwyczajenia z czasów, kiedy byłam człowiekiem. Trzeci z nich zareagował uniesieniem krzaczastej brwi. – Ale chciałabym pomówić z moją siostrą.

Dość łatwo zrozumieli, że nie są tu już potrzebni.

Jak jeden mąż wstali, porzucając karty i dopijając drinki.

– Przyniesiemy więcej – powiedział ten złotowłosy.

Zaczekałam, aż dotrą do baru, rozmyślnie nie oglądając się za siebie, po czym osunęłam się na krzesło, które wcześniej zajmował ciemnowłosy.

Nesta powoli uniosła na mnie oczy.

Odchyliłam się na oparcie krzesła. Zaprotestowało wyraźnym skrzypieniem.

– To jak, którego miałaś zamiar zabrać dziś do domu?

Nesta szybkim ruchem złożyła karty i położyła je zakryte na stole.

– Jeszcze nie zdecydowałam.

Zimne, bezduszne słowa. Idealnie komponujące się z wyrazem jej twarzy.

Czekałam.

Ona również.

Bez ruchu, jak drapieżnik. Jak sama śmierć.

Czasem zastanawiałam się, czy na tym właśnie polegała jej moc. Klątwa, którą zesłał na nią Kocioł.

Nic z tego, co widziałam, ta odrobina, której byłam świadkiem podczas walki z Hybernią, nie przypominała śmierci. Tylko czystą energię. Z drugiej strony szeptał o tym Rzeźbiący w Kościach. No i widziałam to w jej oczach − lśniące, sypiące lodowymi skrami.

Ale od miesięcy nijak się to nie przejawiało.

Nie to, żebym często ją ostatnimi czasy widywała.

Minęła minuta. Potem kolejna.

Między nami zaległa ciężka cisza zakłócana tylko wesołą melodią wygrywaną przez znajdującą się w kącie sali czteroosobową kapelę.

Mogłam zaczekać. Mogłam sobie pozwolić na czekanie całą noc.

Nesta umościła się wygodniej na krześle, ewidentnie gotowa zrobić dokładnie to samo.

„Ja jednak postawiłbym na twoją siostrę”.

„Cisza”.

„Marznę tutaj”.

„Ilyryjski dzidziuś”.

Odpowiedziało mi tylko mroczne parsknięcie śmiechem, a potem więź zamarła.

– Czy ten twój towarzysz zamierza stać na zimnie całą noc?

Zamrugałam, zastanawiając się, czy była w stanie w jakiś sposób wyczuć naszą wymianę myśli.

– Kto powiedział, że tam w ogóle jest?

Nesta prychnęła.

– Gdzie idzie jedno, pójdzie i drugie.

Powstrzymałam się od potencjalnych ripost, które automatycznie nasunęły mi się na myśl. Zamiast tego zapytałam:

– Elaina zaprosiła cię dzisiaj na obiad. Dlaczego nie przyszłaś?

Uśmiech Nesty pojawił się z wolna, ale był ostry jak brzytwa.

– Chciałam posłuchać, jak grają muzykanci.

Rzuciłam okiem w stronę kapeli. Może byli nieco lepsi niż zwyczajna karczmiana zbieranina, ale nie było to nic, co obiecywałoby ucztę dla ucha.

– Zależało jej, żebyś przyszła.

„Mnie zależało” – dodałam w myślach.

Nesta wzruszyła ramionami.

– Mogła zjeść ze mną tutaj.

– Wiesz dobrze, że Elaina nie czuje się komfortowo w takich przybytkach.

– W takich przybytkach? – Uniosła pięknie wykrojoną brew. – A jakiż jest to przybytek?

Faktycznie, teraz zauważyłam, że ludzie zaczęli zwracać się ku nam. Księżna – byłam ich księżną. Lżenie tego miejsca i znajdujących się tu bywalców z pewnością nie przysporzyłoby mi zwolenników.

– Wiesz, że Elaina źle się czuje w tłumie.

– Dawniej taka nie była. – Nesta zamieszała bursztynowy płyn w szklance. – Uwielbiała bale i przyjęcia.

Między nami zawisły niewypowiedziane słowa: „Ale ty i twój dwór zaciągnęliście ją do tego świata. Odebraliście jej wszelką radość”.

– Jeśli zadałabyś sobie trud i pobyła trochę w domu, wiedziałabyś, że się przyzwyczaja. Poza tym musisz przyznać, że bale i przyjęcia to zupełnie inna rzecz. Elaina nigdy w swoim życiu nie odwiedziła tawerny.

Nesta już otwierała usta, z pewnością żeby odwieść mnie jeszcze dalej od sprawy, z którą przyszłam. Przerwałam jej więc już na wstępie:

– Zresztą to bez znaczenia.

Zimne jak stal oczy spoglądały prosto na mnie.

– Może więc przejdź do rzeczy. Chciałabym wrócić do mojej partyjki.

Przez chwilę miałam ochotę zrzucić wszystkie karty na zalaną piwem podłogę.

– Pojutrze jest Przesilenie.

Nic. Nawet mrugnięcia.

Splotłam palce i położyłam dłonie na stole.

– Czego potrzeba, żeby przekonać cię, byś przyszła?

– Dla Elainy czy dla ciebie?

– Dla nas obu.

Kolejne prychnięcie. Nesta zlustrowała uważnie pomieszczenie. Wszyscy usilnie starali się na nas nie patrzeć. Bez trudu domyśliłam się, że Rhys postawił wokół nas barierę dźwiękoszczelną.

Wreszcie ponownie na mnie spojrzała.

– A więc próbujesz mnie przekupić?

Pozostałam niewzruszona.

– Próbuję się dowiedzieć, czy można przemówić ci do rozsądku. Czy w jakiś sposób da się ciebie przekonać.

Nesta ustawiła czubek palca wskazującego na stosiku ułożonych na blacie kart i rozsunęła je z powrotem w wachlarz.

– To nawet nie jest nasze święto. My nie mamy świąt.

– Może jednak warto spróbować. Może ci się spodoba.

– Powtórzę to, co powiedziałam Elainie: wy macie swoje życie, a ja swoje.

Ponownie rozejrzałam się znacząco po tawernie.

– Dlaczego? Dlaczego tak się upierasz, żeby odseparować się od wszystkiego?

Umościła się znów na krześle i skrzyżowała ramiona.

– Dlaczego miałabym być częścią twojej wesołej kompanii?

– Jesteś moją siostrą.

Znów ten sam pusty, zimny wyraz oczu.

Czekałam.

– Nie wybieram się na twoje przyjęcie – powiedziała.

Jeśli Elaina nie była w stanie jej przekonać, mnie z pewnością też się to nie uda. Nie wiem, dlaczego wcześniej nie zdałam sobie z tego sprawy. Zanim zrezygnowałam, spisując tę wyprawę i swoje starania na straty, zdecydowałam się spróbować jeszcze raz – dla Elainy:

– Ojciec chciałby, żebyś…

– Ani się waż kończyć to zdanie.

Chociaż od reszty sali oddzielała nas nieprzepuszczająca dźwięków bariera, nic nie przesłaniało innym widoku na moją siostrę szczerzącą zęby. Zakrzywiła palce na podobieństwo szponów. Ze zmarszczonym z niepohamowanego gniewu nosem warknęła:

– Wyjdź.

Scena. Zaraz zrobi się z tego scena, i to najgorszego sortu.

Wstałam więc, starając się ukryć trzęsące się dłonie. Zacisnęłam je w pięści i trzymałam blisko przy sobie.

– Proszę, przyjdź – powiedziałam tylko, po czym odwróciłam się w stronę drzwi.

Droga od jej stolika ku wyjściu wydawała się nieznośnie długa. Do tego te wszystkie majaczące wokoło mijane twarze.

– Mój czynsz – odezwała się Nesta, kiedy postąpiłam zaledwie dwa kroki.

Zatrzymałam się.

– Co z nim?

Upiła łyk ze szklanki.

– W przyszłym tygodniu trzeba zapłacić.

Mówiła to całkowicie poważnie.

Uśmiechnęłam się blado.

– Przyjdź na Przesilenie, a to załatwię.

Nesta otworzyła usta, ale znów obróciłam się i spojrzałam śmiało po kolei we wszystkie gapiące się na mnie twarze.

Całą drogę ku drzwiom czułam przeszywający wzrok mojej siostry wwiercający się między moje łopatki. Czułam go wciąż przez cały lot powrotny.

Rozdział 14

Rhysand

Chociaż robotnicy rzadko kiedy robili sobie przerwy, naprawy zajmą jeszcze chyba całe lata. Zwłaszcza najbliżej Sidry, gdzie Hybernia uderzyła najmocniej.

Po wspaniałych domach i posiadłościach na północno-wschodnim brzegu Sidry pozostała ledwie sterta gruzu, ich ogrody zarosły chwastami, a spod turkusowych wód wyzierały na wpół zatopione łodzie.

Wychowałem się w tych domach, brałem tu udział w niezliczonych przyjęciach i ucztach przeciągających się długo w noc. Spędziłem wiele słonecznych dni, wylegując się na łagodnie opadających ku rzece trawnikach i kibicując ścigającym się po Sidrze łodziom.

Ich fasady były mi znajome jak twarze przyjaciół. Wzniesiono je na długo przed moimi narodzinami i sądziłem, że stać będą jeszcze długo po mnie.

– Nie masz żadnych wiadomości od rodzin? – Głos Mor dobiegł mnie ponad chrzęstem jasnych kamieni pod naszymi stopami. – Kiedy zamierzają powrócić? – uściśliła, gdy mijaliśmy jedną z opuszczonych posiadłości.

Znalazła mnie tuż po lunchu – rzadko ostatnio zdarzało się, żebym jadał sam. Jednak dziś Feyra i Elaina wyszły na zakupy do miasta, więc kiedy tylko moja kuzynka pojawiła się w holu domu, nie wahałem się zaprosić jej na spacer. Wiele czasu upłynęło, odkąd przechadzaliśmy się razem.

Nie byłem na tyle naiwny, by sądzić, że wojna skończyła się na dobre, a wszystkie rany się zabliźniły. Zwłaszcza pomiędzy mną i Mor.

Nie łudziłem się też, że ten spacer był całkiem spontaniczny, a nie odkładany od dłuższego czasu – przez nas oboje.

Widziałem, jak jej dusza odpłynęła gdzieś tamtej nocy w Wykutym Mieście. Jej milczenie, po tym jak warknęła do ojca, powiedziało mi dokładnie, dokąd uleciała.

Kolejna ofiara tej wojny: współpraca z Keirem i Erisem sprawiła, że w mojej kuzynce coś jakby przygasło.

Bardzo dobrze to ukrywała. Poza chwilami, kiedy była sam na sam z dwoma mężczyznami, którzy…

Nie pozwoliłem sobie dokończyć tej myśli, przyzwać tego wspomnienia. Nawet teraz, pięć stuleci później, wciąż ogarniała mnie niepohamowana wściekłość, którą mogło ugasić jedynie zniszczenie Wykutego Miasta i całego Dworu Jesieni.

Jednak do tej zemsty to ona miała pierwszeństwo. Zawsze tak było. Nie wiedziałem zresztą, dlaczego zwlekała z tym tak długo.

Przez dobre pół godziny przemierzaliśmy uliczki miasta w milczeniu, prawie niezauważeni. Dodatkowa mała zaleta święta Przesilenia: wszyscy byli zbyt zajęci swoimi przygotowaniami, żeby obserwować, kto wędruje zatłoczonymi ulicami.

Nie miałem pojęcia, jak się tu znaleźliśmy. A jednak staliśmy tu, otaczały nas tylko ruiny, gruzy, zmrożone zimą chwasty i szare niebo.

– Rodziny – odparłem wreszcie – udały się do innych swoich posiadłości. – Znałem ich wszystkich, zamożnych kupców i szlachtę, którzy zbiegli z Wykutego Miasta, jeszcze zanim moje władztwo rozpadło się na dwie części. – I nie zamierzają wracać w najbliższym czasie.

Może nie zamierzają wracać nigdy. Słyszałem z ust jednej z matron zarządzających

kupieckim imperium, że najprawdopodobniej będą woleli sprzedać ziemię niż kłopotać się z odbudowywaniem wszystkiego z gruzów.

Mor pokiwała głową w roztargnieniu. Pasma szarpanych chłodnym wiatrem włosów przesłoniły jej twarz, kiedy przystanęła w miejscu, w którym niedawno jeszcze znajdował się piękny ogród opadający ku skutej obecnie lodem rzece.

– Keir niedługo tu przybędzie, prawda?

Rzadko zdarzało się, żeby mówiła o nim „ojciec". Wcale jej się nie dziwiłem. Ten mężczyzna nie był dla niej ojcem od wielu stuleci. Przestał nim być na długo przed tamtym fatalnym dniem.

– Prawda.

Od czasu zakończenia wojny starałem się utrzymać Keira z dala od nas, ale powoli oswajałem się z myślą, że niezależnie od tego, jak wiele pracy na niego zrzucę i jak bardzo będę zakłócał jego spotkania z Erisem, prędzej czy później będzie chciał zobaczyć to miasto.

Być może sam to na siebie ściągnąłem, tak długo utrzymując Wykute Miasto odcięte od reszty świata. Być może ich okropne tradycje i wąskie horyzonty tylko się pogorszyły i zawęziły w tej separacji. Owszem, to było ich terytorium, ale nie dałem im wyboru. Nic dziwnego, że byli tak ciekawi Velaris. Choć chęci Keira wypływały wyłącznie z jednej pobudki – pragnienia dręczenia córki.

– Kiedy?

– Najprawdopodobniej wiosną, jeśli dobrze zgaduję.

Mor przełknęła ślinę, a jej twarz zastygła w wyrazie, który rzadko u niej widywałem, a który automatycznie sprawił, że poczułem gniew. Głównie dlatego jednak, że to ja byłem jego przyczyną.

Powtarzałem sobie, że warto było. Niosący Mrok Keira okazali się kluczowi dla naszego zwycięstwa. I zapłacili za to wysoką cenę.

Jej ojciec był dupkiem pod każdym względem, ale wywiązał się ze swojej części umowy.

Teraz nie miałem więc innego wyjścia niż wywiązać się z mojej.

Mor zlustrowała mnie od stóp do głów. Dzisiaj wybrałem czarny kaftan z ciężkiej wełny i zrezygnowałem zupełnie ze skrzydeł. Tylko dlatego, że Kasjan i Azriel nie mieli wyboru, jak na okrągło przez nie marznąć, nie oznaczało, że ja również musiałem. Stałem teraz spokojnie, pozwalając kuzynce dojść do własnych wniosków.

– Ufam ci – powiedziała wreszcie.

– Dziękuję – odparłem, kiwając głową.

Machnęła tylko ręką, po czym ruszyła dalej jasną żwirową ogrodową alejką.

– Chociaż chciałabym, żeby było jakieś inne wyjście.

– Ja również.

Skręciła końcówki swojego grubego czerwonego szalika i wetknęła je za poły brązowego płaszcza.

– Jeśli twój ojciec się tu pojawi – obiecałem – zrobię wszystko, żebyś była w tym czasie daleko stąd.

Pod uwagę musiałem brać również fakt, że to ona tamtej nocy dążyła do konfrontacji z namiestnikiem i Erisem.

Skrzywiła się.

– Uzna, że przed nim uciekam. Nie dam mu tej satysfakcji.

Nawet nie pytałem, czy sądzi, że jej matka również się tu wybierze. O matce Mor się nie rozmawiało. Nigdy.

– Cokolwiek zdecydujesz, uszanuję to.

– Wiem o tym.

Zatrzymała się pomiędzy dwoma niskimi bukszpanami i zapatrzyła na skutą lodem rzekę.

– Wiesz też, że Az i Kasjan przez całą wizytę ani na chwilę nie spuszczą ich z oka. Od miesięcy planują organizację bezpieczeństwa na tę okazję.

– Naprawdę?

Pokiwałem ponuro głową.

Mor westchnęła.

– Chciałabym, żebyśmy wciąż mogli postraszyć ich, że napuścimy Amrenę na Wykute Miasto.

Prychnąłem, obserwując kwartał za rzeką, ledwie widoczny ponad wzniesieniem wzgórza.

– Po części zastanawiam się, czy ona sama by tego nie chciała.

– Rozumiem, że zamierzasz podarować jej coś *naprawdę* wyjątkowego.

– Kiedy opuszczałem sklep, Neve niemal skakała z radości.

Odpowiedział mi cichy śmiech.

– Co zamierzasz podarować Feyrze? – zapytała.

– To i owo. – Wsunąłem ręce do kieszeni.

– A więc nie masz nic konkretnego.

Przeciągnąłem dłonią po włosach.

– Nic. Masz jakieś propozycje?

– To twoja towarzyszka. Czy nie powinieneś instynktownie wiedzieć takich rzeczy?

– Nie podobna coś dla niej wybrać.

– Żałosne. – Mor rzuciła mi krzywe spojrzenie.

Szturchnąłem ją łokciem.

– A co *ty* dla niej wybrałaś?

– Musisz zaczekać do Przesilenia, żeby się dowiedzieć.

Przewróciłem oczami. Odkąd ją znałem, pomimo upływu stuleci, talent Mor do kupowania prezentów nie uległ poprawie. Na potwierdzenie tego miałem szufladę pełną okropnych spinek do mankietów, których nigdy nie nosiłem. Jedne bardziej ozdobne i kiczowate od drugich. I tak jednak miałem szczęście: Kasjan miał wątpliwy zaszczyt bycia posiadaczem kolekcji jedwabnych koszul we wszystkich kolorach tęczy. Niektóre były nawet ozdobione falbankami.

Mogłem więc sobie wyobrazić, jakie męki czekały moją towarzyszkę.

Nie śmiałem pytać Mor o Azriela – co zamierzała z nim zrobić. Nie miałem wielkiej ochoty zostać wepchnięty do lodowatej Sidry, po której powierzchni leniwie płynęły cienkie płaty kry.

– Będę cię potrzebował, Mor – powiedziałem cicho.

Rozbawienie w oczach kuzynki w jednej chwili zmieniło się w czujność i skupienie drapieżnika. Nie bez kozery była tak groźnym przeciwnikiem w walce i nie ustępowała pola żadnemu z Ilyrów. Sporą część jej treningu nadzorowałem ja lub któryś z moich braci, ale Mor podróżowała również do odległych krain i różnych miejsc, by uczyć się innych technik. Właśnie dlatego powiedziałem:

– Nie w związku z Keirem i Wykutym Miastem. Nie z utrzymaniem pokoju dość długo, by sytuacja się ustabilizowała. – Zawiesiłem głos, a ona skrzyżowała ramiona na piersi, czekając na dalszy ciąg. – Az jest w stanie przeniknąć na większość Dworów, do większości krain. Ale mogę potrzebować twojej pomocy, by je sobie zjednać. – Ponieważ obecnie wszystkie pionki rozrzucone były po planszy… – Negocjacje traktatów zajmują zbyt wiele czasu.

– Nie ma żadnych negocjacji.

To była prawda. W ferworze powojennej odbudowy zbyt wielu tymczasowych sojuszników twierdziło, że nie ma czasu na rozmowy, i przekładało je aż na następną wiosnę.

– Nie musiałabyś opuszczać nas na długie miesiące. Chodzi tylko o złożenie krótkiej wizyty to tu, to tam. Tak bez zobowiązań.

– Bez zobowiązań, ale jednocześnie tak, by królestwa i ziemie zdały sobie sprawę z tego, że jeśli będą chciały wkroczyć głębiej w ludzkie krainy, zetrzemy ich na proch?

Parsknąłem lekko śmiechem.

– Coś takiego. Az ma listę królestw, co do których istnieją uzasadnione podejrzenia, że pierwsze mogłyby wyciągnąć swoje łapy.

– Jeśli ja mam fruwać na kontynent, kto zajmie się Dworem Koszmarów?

– Ja sam.

Mor zmrużyła swoje brązowe oczy, aż między powiekami zostały tylko szparki.

– Nie robisz tego, ponieważ uważasz, że nie jestem w stanie znieść pobytu Keira, prawda?

Spokojnie, spokojnie, stąpam tu po cienkim lodzie.

– Nie – odparłem i nie był to wykręt. – Sądzę, że dałabyś radę. Wiem, że tak. Uważam po prostu, że w obecnej chwili twoje talenty można o wiele lepiej wykorzystać gdzie indziej. Keir chce nawiązywać kontakty z Dworem Jesieni. Droga wolna. Cokolwiek tam knują z Erisem, wiedzą dobrze, że patrzymy im na ręce. Wiedzą również, że prowokowanie nas byłoby bardzo niemądre. Jedno słowo przesłane do Berona i Eris będzie po uszy w tarapatach.

Kuszące. Cholernie kuszące było powiedzieć księciu Dworu Jesieni, że jego najstarszy syn dybał na jego tron – i nie wahałby się przed odebraniem mu go przemocą. Jednak dobiłem targu również z Erisem. Może był to fatalny wybór – to dopiero czas pokaże.

Mor bawiła się szalikiem.

– Nie boję się ich.

– Wiem, że się nie boisz.

– Po prostu… bycie w towarzystwie ich obu naraz… – Wsunęła ręce do kieszeni. – Myślę, że ty czujesz się podobnie w towarzystwie Tamlina.

– Jeśli cię to pocieszy, kuzyneczko, to ostatnio, kiedy się widzieliśmy, nie zachowałem się najlepiej.

– Nie żyje?

– Nie aż tak.

– W takim razie uważam, że wykazałeś się wyjątkową samokontrolą.

Roześmiałem się.

– Ależ jesteś krwiożercza, Mor.

Wzruszyła ramionami i powróciła do przyglądania się rzece.

– Zasłużył na to.

To była prawda.

Spojrzała na mnie z ukosa.

– Kiedy miałabym wyruszyć?

– Na pewno nie wcześniej niż za kilka tygodni, może miesiąc.

Pokiwała głową, po czym zamilkła. Wahałem się, czy zapytać ją, czy chce wiedzieć dokąd, według ustaleń moich i Azriela, miałaby wybrać się najpierw, ale jej milczenie rozwiało wszelkie moje wątpliwości. Uda się, gdziekolwiek będzie trzeba.

Za długo. Ewidentnie za długo już siedziała przywiązana do jednego miejsca, bez możliwości opuszczenia na dłużej granic Dworu. Wojna właściwie się nie liczyła. Oczywiście

nie stałoby się to ani w ciągu miesiąca, ani nawet roku, ale widziałem, że z każdym dniem spędzonym tutaj dusiła się coraz bardziej.

– Pomyśl o tym i daj mi odpowiedź za kilka dni – zaproponowałem.

Obróciła głowę w moją stronę tak szybko, że w jej złotych włosach zatańczyły odblaski światła.

– Powiedziałeś, że mnie potrzebujesz. Wydawało mi się, że nie mam tu wielkiego wyboru.

– Zawsze masz wybór. Jeśli nie chcesz iść, zrozumiem to.

– I kogo wyślesz zamiast mnie? Amrenę? – Rzuciła mi wymowne spojrzenie.

Znów się roześmiałem.

– Z pewnością nie Amrenę – odparłem, po czym dodałem: – Przynajmniej dopóki chcemy pokoju. Ale mówiąc poważnie, zrób mi tę przyjemność i przemyśl to, zanim się ostatecznie zgodzisz. Chciałbym, żebyś przyjęła to jak propozycję, nie rozkaz.

Ponownie zamilkła. Razem obserwowaliśmy płaty kry płynące Sidrą ku odległemu rozszalałemu morzu.

– Czy jeśli się zgodzę, to znaczy, że on wygrał?

Ciche, niemal nieśmiałe pytanie.

– Sama musisz o tym zdecydować.

Mor obróciła się ku zrujnowanemu domowi i rozciągającemu się za nami miastu. Jednak nie patrzyła na nie, tylko daleko ku wschodowi.

Ku kontynentowi i leżącym na nim krainom. Jakby zastanawiała się, co może ją tam czekać.

Rozdział 15

Feyra

Wciąż jeszcze nie miałam prezentu z okazji Przesilenia dla Rhysanda. Ba, nie miałam nawet pomysłu na prezent.

Na szczęście podczas śniadania podeszła do mnie cicho Elaina z pytaniem, czy byłabym zainteresowana wyprawą do miasta, dając mi tym samym idealny pretekst do małych zakupów.

W domu wszyscy jeszcze spali. Kasjan nie dawał znaku życia z kanapy w salonie po przeciwnej stronie korytarza, na której padł, zaś po Azrielu nie było śladu, choć zasnął na sąsiedniej kanapie. Obaj byli zbyt leniwi – a może i zbyt upojeni winem, którym raczyliśmy się poprzedniego wieczora – by dowlec się do maleńkiej sypialni gościnnej, którą dzielili na czas Przesilenia. Mor zajęła moją dawną sypialnię, ignorując fakt, że wciąż znajdowało się w niej sporo moich rzeczy. Z kolei Amrena wróciła do swego mieszkania – kiedy wreszcie we wczesnych godzinach porannych postanowiliśmy udać się na spoczynek. Zarówno mój towarzysz, jak i jego kuzynka wciąż spali i nie zamierzałam ich budzić; zasłużyli na to, żeby sobie pospać. Wszyscy zasłużyliśmy.

Wyglądało jednak na to, że Elaina miała kłopoty ze snem – podobnie jak ja, zwłaszcza po wczorajszej nieprzyjemnej rozmowie z Nestą. Nawet wypite po powrocie do domu wino nie było w stanie zagłuszyć przykrego wspomnienia tego spotkania.

Dekadenckie – takie właśnie – i samolubne wydawało mi się robienie zakupów, nawet dla ludzi, których kochałam. W całym mieście i poza nim było tak wielu, którzy nie mieli prawie nic, że każda kolejna chwila spędzona na oglądaniu sklepowych witryn i przebieraniu w towarach działała mi na nerwy.

– Wiem, że to nie jest dla ciebie łatwe – zauważyła Elaina, kiedy przeglądałyśmy towary w sklepie tkackim i podziwiałyśmy wspaniałe gobeliny, dywany i koce, na których utkane zostały sceny przedstawiające Dwór Nocy; Velaris podczas Święta Spadających Gwiazd; kamieniste, nieposkromione wybrzeża północnych wysp; stele świątyń Cesere; czy też insygnia Dworu – trzy gwiazdy nad wzgórzem.

Obróciłam się od ściany, na której podziwiałam ten ostatni obraz.

– Co nie jest łatwe?

Mówiłyśmy półgłosem z szacunku dla pracy właścicielki tego ciepłego cichego wnętrza.

Elaina ściągnęła brwi, kiedy jej wzrok padł na insygnia Dworu Nocy.

– Kupowanie rzeczy bez palącego powodu ich nabycia.

W głębi sklepionego, wyłożonego drewnem pomieszczenia miarowo stukało i klekotało krosno, na którym ciemnowłosa artystka tworzyła swoje dzieła, przerywając pracę tylko po to, by odpowiedzieć na pytania kupujących.

Cóż za różnica. Jak odmienne było to miejsce od chatki grozy należącej do Tkaczki z Lasu. Do Strzygi.

– Mamy już wszystko, czego potrzebujemy – przyznałam Elainie. – Kupowanie prezentów wydaje się zbędne.

– Jednak taką tu mają tradycję – zauważyła. Jej twarz wciąż była zaróżowiona z zimna. – Tradycję, o której zachowanie walczyli i umierali podczas tej wojny. Być może lepiej myśleć o tym w ten sposób niż uginać się pod ciężarem poczucia winy. Pamiętać, że ten dzień ma dla nich szczególne znaczenie. Wszyscy, niezależnie od stanu posiadania, będą świętowali tego dnia

zgodnie ze swoją tradycją. Nawet poprzez dawanie prezentów czcimy poświęcenie tych, którzy walczyli za pokój, którym się dziś cieszymy, i za możliwość obchodzenia tego święta.

Przez chwilę wpatrywałam się w siostrę, przetrawiając głęboką mądrość zawartą w tych słowach. Nie były to szeptane prorocze wizje. Spojrzenie miała trzeźwe, całkiem świadome.

– Masz rację – powiedziałam, przenosząc ponownie wzrok na widniejące przede mną insygnia Dworu.

Gobelin został utkany z wełny w kolorze tak ciemnym, że zdawał się wręcz pochłaniać światło, tak czarnym, że aż oczy bolały od patrzenia na niego. Same insygnia jednak wykonano srebrną nicią – nie, jednak nie srebrną. Była to nić połyskliwa, mieniąca się kolorami. Zupełnie jakby wykonano ją z blasku gwiazd.

– Myślisz nad kupieniem go? – spytała Elaina.

Sama nie kupiła jeszcze nic przez całą godzinę wędrówki po sklepach, ale często przystawała, rozważając jakiś zakup. Prezent dla Nesty, jak twierdziła. Szukała podarunku dla naszej siostry niezależnie od tego, czy ta zdecyduje się zaszczycić nas jutro swoją obecnością.

Jednak wydawało się, że Elainę cieszyło samo pławienie się w atmosferze miasta, podziwianie rozwieszonych między domami i nad skwerami sznurów czarodziejskich światełek, próbowanie jedzenia przygotowywanego przez wesołych ulicznych sprzedawców czy przysłuchiwanie się minstrelom brzdąkającym przy milczących obecnie fontannach.

Zupełnie jakby moja siostra również szukała dzisiaj wymówki, żeby wyrwać się z domu.

– Nie wiem, dla kogo mogłabym to kupić – przyznałam, wskazując na ciemny gobelin. W chwili, w której dotknęłam tkaniny czubkiem paznokcia, zdał się on zniknąć. Jakby materiał naprawdę pochłaniał wszelką barwę i światło. – Ale…

Spojrzałam w kierunku właścicielki sklepu, na której krośnie znajdowało się na wpół ukończone kolejne tkackie dzieło. Ruszyłam w jej stronę, nie skończywszy rozpoczętej myśli.

Wysoka i blada artystka należała do fae wysokiego rodu. Smoliście czarne włosy splecione miała w warkocz, który przerzuciła sobie przez ramię.

Ubrana była w gruby czerwony sweter, praktyczne brązowe spodnie i ocieplane futrem buty. Proste wygodne ubranie. Coś, co sama mogłabym założyć do malowania lub jakichkolwiek innych zajęć.

Szczerze powiedziawszy, podobny strój sama miałam na sobie pod grubym niebieskim płaszczem.

Tkaczka wstrzymała pracę. Jej zwinne palce zamarły, a ona sama podniosła głowę.

– W czym mogę pomóc?

Pomimo ładnego uśmiechu jej oczy zdawały się… milczące. Nie potrafiłam tego inaczej opisać. Milczące i jakby odległe. Starała się to pokryć uśmiechem, ale nie dało się nie zauważyć, że coś dręczyło jej duszę.

– Chciałabym zapytać o ten gobelin z insygniami – powiedziałam. – Ta czarna tkanina… co to jest?

– Przynajmniej raz na godzinę ktoś mnie o to pyta – odparła z kolejnym niesięgającym oczu uśmiechem.

Skrzywiłam się lekko.

– Przykro nam, że jesteśmy kolejne.

Przy moim boku pojawiła się Elaina trzymająca w jednej ręce różowy puchaty koc, a w drugiej taki sam, tylko fioletowy.

Tkaczka zbyła moje przeprosiny ruchem ręki.

– To niezwykła tkanina. Oczywiście, że są o nią pytania. – Pogładziła dłonią ramę krosna. – Nazwałam ją „Pustka”. Pochłania światło. Powoduje całkowity brak koloru.

– To twoje własne dzieło? – spytała Elaina, spoglądając przez ramię na gobelin.

Tkaczka skinęła poważnie głową.

– To mój nowy eksperyment. Chciałam zobaczyć, czy można stworzyć, utkać mrok. Czy uda mi się zrobić coś lepszego, głębszego, niż zdołał wykonać jakikolwiek inny tkacz dotychczas.

Jako ktoś, kto miał osobistą styczność z pustką, musiałam przyznać, że trafiła niebezpiecznie blisko.

– Dlaczego? – zapytałam.

Ponownie podniosła na mnie swoje szare oczy.

– Mój mąż nie wrócił z wojny.

Bezpośrednia odpowiedź zarezonowała we mnie niczym brzęk metalu.

Nie było łatwo utrzymać z nią kontakt wzrokowy, kiedy kontynuowała:

– Zaczęłam próbować stworzyć Pustkę tego dnia, kiedy dowiedziałam się, że poległ.

Pamiętałam, że Rhys nie wezwał nikogo z miasta, by dołączył do armii. Dał jasno do zrozumienia, że wyprawa jest całkowicie dobrowolna. Widząc niezrozumienie malujące się na mojej twarzy, tkaczka wyjaśniła łagodnie:

– Uważał, że tak powinien postąpić. Pomóc w walce. Wyruszył z kilkoma innymi, którzy mieli podobne zdanie, by dołączyć do sił Dworu Lata broniącego południowego wybrzeża. Poległ w bitwie o Adriatę.

– Przykro mi – powiedziałam łagodnie.

Elaina zawtórowała mi podobnym tonem.

Tkaczka tylko wpatrywała się w gobelin.

– Sądziłam, że mamy przed sobą tysiąc lat wspólnego życia. – Ponownie wprawiła krosno w ruch. – W ciągu trzystu lat od naszego ślubu nie mieliśmy okazji mieć dzieci. – Jej palce poruszały się zwinnie pomimo przejmujących słów. – Nie została mi więc po nim nawet taka cząstka. Jego już nie ma, a ja wciąż tu jestem. Pustka narodziła się z tego uczucia.

Kiedy dotarł do mnie sens jej słów, nie wiedziałam, co powiedzieć. A ona kontynuowała pracę.

To mogłam być ja.

To mógł być Rhys.

Ta niesamowita tkanina, powstała i utkana z rozpaczy, której przelotnie doświadczyłam i nigdy więcej miałam nadzieję nie poznać, zawierała w sobie stratę tak wielką, że nie potrafiłam sobie wyobrazić, bym sama mogła się kiedyś z niej otrząsnąć.

– Za każdym razem, kiedy komuś, kto pyta o Pustkę, o tym opowiadam, mam nadzieję, że ból zelżeje – wyznała tkaczka.

Jeśli ludzie pytali tak często, jak twierdziła, nie byłabym w stanie tego wytrzymać.

– Dlaczego go nie zdejmiesz? – spytała Elaina. Na jej twarzy malowała się szczera sympatia.

– Ponieważ nie chcę go zatrzymać.

Czółenko przebiegło przez szerokość krosna, jakby obdarzone własnym życiem.

Pomimo jej spokoju i wyważonych słów czułam niemal bijącą od niej, rozdzierającą rozpacz. Kilka dotknięć moim darem daemati i mogłabym ulżyć jej w bólu; sprawić, by nieco zelżał. Nigdy wcześniej tego nie robiłam, ale…

Ale nie mogłam. Nie zrobiłabym tego. To byłoby pogwałcenie jej prywatności, nawet jeśli wypływające z dobrych pobudek.

Poza tym jej strata, jej niekończący się smutek – coś dzięki nim stworzyła. Coś niezwykłego. Nie mogłam jej tego odebrać. Nawet jeśliby mnie o to prosiła.

– Ta srebrzysta nić – spytała Elaina. – Jak się nazywa?

Tkaczka znów zatrzymała krosno, co wprawiło barwne nici w drżenie, i spojrzała mojej siostrze w oczy. Tym razem bez cienia uśmiechu.

– Nazwałam ją Nadzieja.

Ścisnęło mnie w gardle, a oczy zapiekły tak, że musiałam się odwrócić. Podeszłam znów do tego niesamowitego gobelinu. Tkaczka zaś wyjaśniała dalej mojej siostrze:

– Stworzyłam ją po tym, jak udało mi się opanować Pustkę.

Wpatrywałam się w czerń tkaniny. Było to uczucie, jakbym spoglądała prosto w otchłań. Potem przeniosłam wzrok na jaśniejącą, srebrzystą nić zdającą się żyć własnym życiem, która odcinała się od czerni tkaniny pochłaniającej każdą cząstkę światła czy koloru – prócz tej nici.

To mogłam być ja. Albo Rhys. Niewiele brakowało, żeby tak się stało.

A jednak on przeżył, a mąż tkaczki nie. Oboje przeżyliśmy, a ich historia się skończyła. Nie zostało jej po nim nic. W każdym razie nie w sposób, jakiego by sobie życzyła.

Miałam szczęście – tak niesamowite szczęście, że w ogóle nie mogłam narzekać na kupowanie czegoś dla mojego towarzysza. Chwila, w której umarł, była najstraszliwsza w moim życiu. I zapewne tak by już pozostało, gdyby nie to, że koniec końców oboje przeżyliśmy. Miesiącami zadręczałam się myślami „co by było, gdyby", myśląc o losie, którego cudem uniknęliśmy.

Jeszcze to jutrzejsze święto, szansa na celebrowanie bycia razem, życia…

Niesamowita czerń tkaniny przed moimi oczami i Nadzieja, która połyskiwała wbrew wszystkiemu i nie dawała się pochłonąć otchłani, wyszeptały mi prawdę, jeszcze zanim sama zdołałam ją pojąć. Zanim zrozumiałam, co chcę dać Rhysowi.

Mąż tkaczki nie wrócił do domu. Ale mój tak.

– Feyro?

Elaina znów wyrosła przy moim boku. Nie słyszałam jej kroków. Przez chwilę nie słyszałam zupełnie nic.

Zorientowałam się, że sklep nagle opustoszał. Jednak nie przywiązywałam do tego szczególnej wagi. Podeszłam ponownie do właścicielki, która znów na chwilę przerwała pracę, tym razem na dźwięk mojego imienia.

Otworzyła szerzej oczy i pochyliła głowę.

– Moja pani.

Zignorowałam jej słowa.

– W jaki sposób… – Wskazałam krosno i na wpół ukończoną tkaninę na nim oraz wszystkie inne porozpinane na ścianach. – W jaki sposób jesteś w stanie wciąż tworzyć pomimo straszliwej straty, jaka cię dotknęła?

Jeśli usłyszała, jak głos mi się łamie, nie dała tego po sobie poznać. Odparła, wznosząc na mnie swoje smutne oczy:

– Muszę.

Ta prosta odpowiedź uderzyła mnie jak obuchem.

Tkaczka zaś ciągnęła:

– *Muszę* tworzyć albo wszystko to było na nic. *Muszę* tworzyć albo załamię się pod ciężarem przytłaczającej mnie rozpaczy i nie będę miała siły wstać z łóżka. *Muszę* tworzyć, ponieważ nie mam żadnego innego sposobu na wyrażenie *tego*.

Do wtóru swoim słowom położyła sobie rękę na piersi, a ja poczułam, jak oczy znów mnie pieką.

– Jest to trudne – przyznała, wciąż nie spuszczając ze mnie wzroku. – I bolesne. Jednak jeślibym przestała, jeślibym pozwoliła, by to krosno ucichło, a czółenko znieruchomiało… –

Oderwała ode mnie wzrok i przeniosła go na czarny gobelin. – Wówczas nie byłoby już Nadziei przebijającej się przez Pustkę.

Usta mi zadrżały, kiedy tkaczka wyciągnęła rękę i uścisnęła moją dłoń swoją – ciepłą, o zgrubiałej od pracy skórze.

Nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa, wypowiedzieć kłębiących się myśli. Nie byłam w stanie powiedzieć nic ponad:

– Chciałabym kupić ten gobelin.

***

Gobelin nie miał być prezentem dla nikogo. Kupiłam go dla siebie i miał zostać dostarczony do domu późnym popołudniem.

Jeszcze jakąś godzinę odwiedzałyśmy z Elainą rozliczne sklepy, aż wreszcie pozostawiłam ją, by zrobiła zakupy w Pałacu Nici i Klejnotów.

Przeskoczyłam prosto do opuszczonego studia w Tęczy.

Czułam, że muszę malować. Że muszę wyrzucić z siebie wszystko to, co zobaczyłam i poczułam w sklepie tkaczki.

Ostatecznie zostałam w pracowni trzy godziny.

Niektóre obrazy powstawały błyskawicznie, niemal tylko kilkoma szybkimi pociągnięciami pędzla. Inne pieczołowicie planowałam, szkicując najpierw ołówkiem na papierze, starannie dobierając płótno i farby, których chciałam użyć.

Malowałam rozpacz przenikającą cały sklep tkaczki, malowałam o niej i dla niej. Malowałam wszystko, co wezbrało we mnie, pozwalając uczuciom przelać się na płótno. Z każdym pociągnięciem pędzla czułam ulgę.

Nie powinno dziwić, że ktoś mnie przyłapał.

Ledwie zdołałam zeskoczyć ze stołka, kiedy frontowe drzwi otworzyły się i stanęła w nich Ressina trzymająca w zielonych dłoniach wiadro i mop. Nie miałam czasu, by ukryć swoje przybory malarskie.

Trzeba jednak oddać nowo przybyłej, że tylko uśmiechnęła się, stając na progu.

– Tak myślałam, że cię tu znajdę. Widziałam światło i pomyślałam, że to możesz być ty.

Serce waliło mi jak młotem, a twarz oblała się gorącem, ale udało mi się uśmiechnąć przez zaciśnięte wargi.

– Przepraszam.

Pomimo trzymanych w dłoniach przyborów do sprzątania zwinnie przeszła na drugą stronę pomieszczenia.

– Nie ma za co przepraszać. Chciałam tylko trochę posprzątać.

Z głuchym stukiem upuściła wiadro i mop pod jedną z pustych białych ścian.

– Dlaczego?

Odłożyłam pędzel na leżącą obok mnie na stołku paletę.

Ressina wsparła dłonie na wąskich biodrach, po czym potoczyła wzrokiem po pomieszczeniu.

Szczęśliwie nie skupiła się dłużej na moich obrazach, zresztą może jej nie interesowały.

– Rodzina Poliny wciąż jeszcze nie zdecydowała, czy zamierza to sprzedawać, ale pomyślałam, że chciałaby, żeby przynajmniej było tu posprzątane.

Zagryzłam wargi i pokiwałam głową, ogarniając wzrokiem dodatkowy bałagan, który sama zrobiłam.

– Przepraszam, ja… nie byłam w twojej pracowni.

Ressina wzruszyła ramionami.

– Naprawdę nie ma za co przepraszać.

Tak rzadko ktoś spoza wewnętrznego kręgu zwracał się do mnie tak bezpośrednio. Nawet tkaczka zaczęła zachowywać się bardziej formalnie, kiedy zaproponowałam, że kupię gobelin.

– Cieszę się tylko, że ktoś korzysta z tego miejsca. Że *ty* z niego korzystasz – uściśliła Ressina. – Myślę, że Polina by cię polubiła.

Kiedy nie odpowiedziałam, zaległa cisza. Zaczęłam zbierać swoje przybory.

– Nie będę ci przeszkadzać.

Ustawiłam wciąż schnący obraz pod ścianą. Portret, o którym myślałam już od dawna. Posłałam go do tej samej kieszeni pomiędzy wymiarami, w której trzymałam wszystkie swoje pozostałe prace.

Pochyliłam się, by podnieść spakowane już przybory malarskie.

– Mogłabyś je tu zostawić.

Przerwałam na moment ze skórzanym paskiem w dłoni.

– To nie moje miejsce.

Ressina oparła się o ścianę obok wiadra z mopem.

– Może mogłabyś pomówić o tym z rodziną Poliny. Myślę, że są skłonni do sprzedaży.

Wyprostowałam się, podnosząc paczkę.

– Może – odparłam wymijająco, po czym posłałam pozostałe przybory i obrazy do międzywymiarowej kieszeni, nie przejmując się tym, czy się nie poprzewracają, i skierowałam się ku wejściu.

– Mieszkają na farmie w Dumnere, nad morzem. Jeśli kiedyś byłabyś zainteresowana.

Raczej wątpliwe.

– Dzięki.

Kiedy dotarłam do drzwi, niemal usłyszałam, że się uśmiecha.

– Wesołego Przesilenia.

– Tobie również – rzuciłam przez ramię, po czym wyszłam na ulicę.

I wpadłam na twardą, ciepłą pierś mego towarzysza.

Odbiłam się od niego z cichym przekleństwem i rzuciłam mu kose spojrzenie, kiedy się roześmiał i chwycił mnie za ramię, bym nie upadła na oblodzoną ulicę.

– Wybierasz się gdzieś?

Zmarszczyłam brwi, ale wzięłam go pod rękę i ruszyłam raźnym marszem przed siebie.

– Co tu robiłeś?

– Co ty robiłaś, wybiegając z opuszczonej galerii, jakbyś coś zwędziła?

– Wcale nie wybiegałam. – Uszczypnęłam go w ramię, co zaowocowało kolejnym niskim, głębokim śmiechem.

– Dobrze, więc wychodziłaś podejrzanie szybko.

Nie odpowiedziałam, póki nie dotarliśmy do opadającej łagodnie ku rzece alei. Po turkusowej wodzie sunęły cienkie płaty kry. Pod nimi widoczny był nurt wartki, lecz nie tak silny jak latem. Zupełnie jakby Sidra również zapadała w sen zimowy.

– Tam właśnie malowałam – odparłam, kiedy zatrzymaliśmy się przy kutej barierce nadrzecznego deptaku. Wilgotny zimny wiatr zmierzwił mi włosy. Rhys odsunął jeden z kosmyków za ucho. – Wróciłam tam dzisiaj, ale ktoś mi przerwał, nie właścicielka… pracownia należała do fae, która nie przeżyła wiosennego ataku… Przerwała mi inna artystka, Ressina. Przyszła tam posprzątać, w razie gdyby rodzina Poliny chciała sprzedać galerię.

– Możemy kupić ci ten lokal na pracownię, jeśli potrzebujesz mieć miejsce do tworzenia w samotności – zaproponował.

Wątłe promienie słońca ślizgały się po jego włosach. Tym razem nie widać było nawet

śladu skrzydeł.

– Nie… to nie tyle chodzi o bycie samą, ile… o właściwe miejsce, gdzie można być samą. – Pokręciłam głową. – Nie wiem. Malowanie pomaga. To znaczy, mnie pomaga.

Westchnęłam i omiotłam go wzrokiem. Spojrzałam na tę twarz, droższą mi niż cokolwiek na świecie. Wtedy w uszach zabrzmiały mi słowa tkaczki.

Ona straciła męża. Ja nie. A jednak mimo wszystko tkała, tworzyła. Położyłam dłoń na policzku Rhysa, a kiedy się w nią wtulił, cicho spytałam:

– Sądzisz, że to głupie, zastanawiać się, czy może malowanie pomogłoby również innym? Nie chodzi o to, żebym ja malowała. Ale o uczenie innych. Żeby i oni mogli malować. Ci, którzy tak jak ja nie mogą się pozbierać.

Wyraz jego oczu złagodniał.

– Nie, wcale nie sądzę, żeby to było głupie.

Pogładziłam kciukiem jego policzek, rozkoszując się tą chwilą.

– Ja się dzięki temu czuję lepiej… może innym też by pomogło.

Nic nie odpowiedział, a ja wciąż gładziłam jego twarz, podczas gdy on dawał mi swoją obecność, niczego nie oczekując w zamian, niczego nie wymagając. Byliśmy ze sobą związani krócej niż rok. Jeśli podczas ostatecznej bitwy coś poszłoby nie tak, ilu rzeczy bym żałowała? Wiedziałam… wiedziałam, które byłyby dla mnie najtrudniejsze, które raniłyby mnie najgłębiej. Wiedziałam też, które mogę zmienić.

W końcu odsunęłam rękę od jego twarzy i opuściłam ją.

– Sądzisz, że ktokolwiek by przyszedł? Gdyby takie miejsce, taka możliwość powstała?

Rhys rozważał to przez chwilę, patrząc mi w oczy, po czym pocałował mnie swoimi ciepłymi ustami w zmarzniętą skroń.

– Będziesz chyba musiała spróbować, żeby się przekonać.

***

Godzinę później odnalazłam Amrenę w jej lofcie. Rhys miał kolejne spotkanie z Kasjanem i ilyryjskimi dowódcami w obozie Devlona, więc tylko odprowadził mnie do domu, zanim przeskoczył.

Zmarszczyłam nos, wchodząc do rozgrzanego pomieszczenia.

– Coś tutaj… dziwnie pachnie.

Siedząca przy długim stole roboczym Amrena rzuciła mi szeroki, choć przelotny uśmiech i wskazała na łóżko.

Skotłowana pościel i porozrzucane poduszki dały mi dość jasną odpowiedź co do źródła specyficznej woni.

– Mogłabyś otworzyć okno – powiedziałam, wskazując na cały ich szereg pokrywający jedną ze ścian.

– Na dworze jest zimno – odparła krótko, po czym wróciła do…

– Układanka?

Amrena dopasowała kolejny maleńki kawałek do fragmentu, nad którym obecnie pracowała.

– Czy powinnam robić coś szczególnego podczas dnia wolnego z okazji Święta Przesilenia?

Nie miałam odwagi odpowiedzieć, zrzuciłam więc tylko płaszcz i szalik. Amrena utrzymywała w kominku huczący ogień. Dla własnej potrzeby lub dla wygody jej partnera z Dworu Lata, którego swoją drogą nigdzie nie było widać.

– Gdzie jest Varian?

– Na mieście, kupuje dla mnie więcej prezentów.

– Więcej?

Kolejny uśmiech, tym razem mniej promienny. Kącik czerwonych ust uniósł się nieco, kiedy zdołała dopasować kolejny kawałek.

– Stwierdził, że te, które zabrał ze sobą z Dworu Lata, to za mało.

Tego również wolałam nie komentować.

Usiadłam naprzeciw niej przy długim, wykonanym z ciemnego drewna stole i spojrzałam na w połowie ukończoną układankę przedstawiającą jakąś jesienną sielankę.

– Twoje nowe hobby?

– Zdałam sobie sprawę, że brakuje mi tego typu stymulacji. Teraz, kiedy już nie mam tej koszmarnej książki do odcyfrowania. – Kolejny kawałek znalazł swoje miejsce. – To już piąta w tym tygodniu.

– Ten tydzień trwa dopiero trzy dni.

– Nie produkują ich dość szybko jak dla mnie.

– Ile elementów ma ta?

– Pięć tysięcy.

– Szpanerka.

Amrena cmoknęła sama do siebie, po czym wyprostowała się na krześle i ze skrzywieniem rozmasowała sobie kark.

– Dobre dla umysłu, złe dla pleców.

– Dobrze się więc składa, że masz Variana, z którym zawsze możesz poćwiczyć.

Amrena roześmiała się. Zabrzmiało to jak krakanie wrony.

– Faktycznie, dobrze się składa. – Spojrzała na mnie swoimi srebrnymi oczami, wciąż niesamowitymi, wciąż odbijającymi ślady dawnej potęgi. – Jednak sądzę, że nie przyszłaś tutaj dotrzymać mi towarzystwa.

Odchyliłam się na jednym z chybotliwych krzeseł. Żadne z nich nie pasowało ani do siebie, ani do stołu. Każde pochodziło z innej dekady, a nawet stulecia.

– No, nie, nie po to przyszłam.

Machnęła dłonią o pomalowanych na czerwono paznokciach i na powrót pochyliła się nad swoją układanką.

– Mów.

Wzięłam głębszy oddech, żeby się uspokoić.

– Chodzi o Nestę.

– Tak też podejrzewałam.

– Rozmawiałaś z nią może?

– Przychodzi tu raz na kilka dni.

– Naprawdę?

Amrena bezskutecznie usiłowała dopasować element układanki, a jej oczy lustrowały uważnie nieułożone jeszcze kawałki.

– Tak trudno w to uwierzyć?

– Nie przychodzi do domu w mieście. Ani do Domu Wiatru.

– Nikt nie lubi zachodzić do Domu Wiatru.

Sięgnęłam po element układanki, ale Amrena kląsknęła ostrzegawczo językiem. Położyłam więc dłoń z powrotem na kolanach.

– Miałam nadzieję, że wiesz może coś więcej na temat tego, co się z nią dzieje.

Czarnowłosa przez chwilę nie odpowiadała, przyglądała się tylko uważnie elementom układanki. Już miałam powtórzyć pytanie, kiedy się odezwała:

– Lubię twoją siostrę.

Niewielu było takich.

Amrena podniosła na mnie oczy, zupełnie jakbym wypowiedziała tę myśl na głos.

– Lubię ją właśnie dlatego, że niewielu ją lubi. Lubię ją, ponieważ niełatwo jest z nią przebywać bądź ją zrozumieć.

– Ale?

– Żadnych „ale” – odparła i wróciła do swojej układanki. – I właśnie dlatego, że ją lubię, nie jestem skłonna plotkować o jej obecnej sytuacji.

– To nie jest plotkowanie. Martwię się. – Wszyscy się martwiliśmy. – Idzie teraz ścieżką, która prowadzi…

– Nie zdradzę jej zaufania.

– A więc rozmawia z tobą?

Na tę wieść przetoczyła się przeze mnie cała fala emocji. Ulga, że Nesta jednak z kimś rozmawia, zdziwienie, że to właśnie Amrena okazała się tym kimś, a może nawet nieco zazdrości, że moja siostra nie zwróciła się do mnie… czy do Elainy.

– Nie – odrzekła czarnowłosa. – Ale wiem, że nie chciałaby, żebym z tobą czy z kimkolwiek omawiała *ścieżkę*, którą obrała.

– Ale…

– Daj jej czas. Daj jej swobodę. Pozwól jej przetrawić to wszystko we własnym tempie i na własnych warunkach.

– Ale to już trwa miesiącami.

– Jest nieśmiertelna. Miesiące nie mają znaczenia.

Zacisnęłam szczękę.

– Odmawia przyjścia na Święto Przesilenia. Elaina będzie zrozpaczona, jeśli nie…

– Elaina? Czy ty?

Te srebrne oczy sprawiły, że nie byłam w stanie się ruszyć.

– My obie – wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

Amrena znów zaczęła przeglądać elementy układanki.

– Elaina ma własne problemy, na których powinna się skupić.

– Takie jak?

Czarnowłosa tylko spojrzała na mnie znacząco, co ja z kolei zignorowałam.

– Jeśli Nesta zaszczyci cię swoją obecnością – powiedziałam, odpychając się i wstając, przeciw czemu stare krzesło zaprotestowało skrzypieniem – powiedz jej, że bardzo wiele znaczyłoby dla nas, gdyby przyszła na Święto – dodałam, sięgając po leżące na ławie przy drzwiach płaszcz i szalik.

Amrena nawet nie podniosła głowy znad układanki.

– Niczego nie obiecuję, dziewczyno.

Cóż, to było wszystko, na co mogłam liczyć.

Rozdział 16

Rhysand

Po południu Kasjan rzucił na wąskie łóżko w czwartej sypialni miejskiego domu swoją skórzaną torbę, a jej zawartość zabrzęczała.

– Przyniosłeś na Święto Przesilenia broń? – spytałem, opierając się o framugę.

Azriel położył na drugim z łóżek swoją torbę i rzucił naszemu bratu lekko zaniepokojone spojrzenie. Po niezbyt wygodnym spaniu w salonie postanowili się wreszcie przenieść do przeznaczonej dla nich sypialni.

Kasjan wzruszył ramionami i usiadł na łóżku, które jednak bardziej nadawałoby się dla dziecka niż ilyryjskiego wojownika.

– Część może pójść na prezenty.

– A reszta?

Kasjan zzuł buty, oparł się o wezgłowie i założył ręce za głowę, skrzydła zaś opuścił na podłogę.

– Kobiety zabierają swoją biżuterię. Ja zabrałem swoją broń.

– Znam kilka kobiet w tym domu, które mogłyby się obrazić za podobne stwierdzenie.

W odpowiedzi Kasjan posłał mi tylko szelmowski uśmiech. Taki sam, jakim poczęstował Devlona i pozostałych dowódców podczas spotkania godzinę temu. Wszystko było gotowe na ewentualną burzę. Wszystkie patrole na posterunkach. Zwykłe spotkanie, w którym nie musiałbym uczestniczyć, ale zawsze dobrze było im o sobie przypomnieć. Zwłaszcza tuż przed tym, jak wszyscy się zbierali, by świętować Przesilenie.

Azriel podszedł do jedynego okna na końcu pokoju i wyjrzał na znajdujący się poniżej ogród.

– Nigdy nie spałem w tym pomieszczeniu – powiedział tajemniczym głosem.

– To dlatego, że my dwaj zostaliśmy zepchnięci w dół drabiny, bracie – odpowiedział mu Kasjan i poruszył skrzydłami tak, że pokrywały już nie tylko podłogę, ale też część łóżka. – Mor zajmuje jedną z porządniejszych sypialni, w drugiej mieszka Elaina, więc dla nas pozostaje tylko ta.

Nie wspomniał o ostatnim pustym pomieszczeniu – nieużywanym obecnie pokoju Nesty – który pozostał niezajęty. Trzeba przyznać Azrielowi, że on również.

– Lepsze to niż poddasze – rzuciłem.

– Biedny Lucien – powiedział z uśmiechem Kasjan.

– Jeśli Lucien w ogóle się pojawi – doprecyzowałem.

Wciąż nie wiedzieliśmy, czy zamierza do nas dołączyć, czy też pozostanie w tym mauzoleum, które Tamlin nazywa domem.

– Stawiam, że tak – rzucił Kasjan. – Chcesz się założyć?

– Nie – odparł Azriel, nie odwracając się od okna.

Kasjan aż usiadł ze zbaraniałą miną.

– Nie?

Mistrz szpiegów tylko złożył skrzydła.

– A ty byś chciał, żeby inni się o ciebie zakładali?

– Wy, dupki, cały czas zakładacie się o mnie. Pamiętam dokładnie, o co ostatnio: założyliście się z Mor, czy moje skrzydła się wygoją.

Parsknąłem. Tak było.

Azriel nie ruszył się od okna.

– Czy Nesta będzie tu spała, jeśli się pojawi?

Kasjan nagle odkrył, że syfon na wierzchu jego lewej dłoni pilnie potrzebuje wypolerowania.

– Nasze spotkanie z dowódcami przebiegło na tyle dobrze, na ile można było się spodziewać – odezwałem się do Azriela, żeby oszczędzić Kasjanowi konieczności odpowiadania. – Devlon naprawdę ułożył grafik szkolenia dla dziewczyn, który zostanie wdrożony, kiedy tylko ta nadciągająca burza się przewali. Nie sądzę, by robił to tylko na pokaz.

– Mimo to zdziwiłbym się, gdyby wciąż o tym pamiętali, kiedy się już przejaśni – powiedział Az, odwracając się wreszcie od wychodzącego na ogród okna.

Kasjan mruknął potwierdzająco i zapytał:

– Wiadomo coś nowego o niepokojach w obozach?

Zachowałem beznamiętny wyraz twarzy. Zdecydowaliśmy się z Azrielem zaczekać z poinformowaniem Kasjana, kogo podejrzewamy lub o kim wiemy, że za tym stoi, do zakończenia święta. Powiedzieliśmy mu tylko absolutne minimum. Tyle, by w żadnym wypadku nie czuł się winny.

Znałem Kasjana równie dobrze jak siebie samego. Może nawet lepiej. Przypuszczałem, że jeśli miałby wiedzę o tym teraz, nie dałoby mu to spokoju. Zaś po tym wszystkim, co przeszedł w ostatnich miesiącach i wcześniej, zasługiwał na chwilę oddechu. Choć przez parę dni.

Oczywiście w ramach tej przerwy spotkał się już z Devlonem i odbył poranny męczący trening na szczycie Domu Wiatru. Dla Kasjana, chyba najbardziej z nas wszystkich, relaks był obcą koncepcją.

Azriel oparł się o rzeźbioną płytę w nogach łóżka.

– Niewiele możemy dodać do tego, co już wiesz. – Kłamał z niezykłą naturalnością. O wiele lepiej niż ja. – Ale wyczuwają, że się nasila. Najlepszy okres, by to wybadać, nastąpi po Przesileniu, kiedy wszyscy powrócą do domów. Wtedy łatwiej będzie określić, kto sieje zamęt. Czy wzrósł, kiedy wszyscy świętowali, czy ta burza go jakoś zatrzymała.

Idealny sposób na ujawnienie tego, co wiemy.

Gdyby Ilyrowie się zbuntowali… wolałem o tym nie myśleć. Ile by mnie to kosztowało. Ile kosztowałoby Kasjana, gdyby musiał walczyć z tymi, których wciąż tak rozpaczliwie pragnął uważać za swoich. Zabijać ich. To byłoby coś zupełnie innego niż rozprawienie się z Ilyrami, którzy ochoczo służyli Amarancie i w jej imieniu dopuszczali się bestialskich czynów. Coś zupełnie innego.

Odsunąłem od siebie tę myśl. Później. Po Przesileniu. Wtedy się tym zajmiemy.

Na szczęście wyglądało na to, że Kasjan jest skłonny zrobić to samo. Nie żebym go winił, biorąc pod uwagę bandę bufonów, z jaką musiał się dzisiaj użerać, zanim tu przeskoczyliśmy. Nawet teraz, po setkach lat, dowódcy obozów wciąż traktowali go z arogancją. Gardzili nim.

Kasjan dotknął stopami płyty w nogach swojego łóżka, chociaż nawet w pełni się nie wyprostował.

– Dla kogo są te łóżka? Może nadawałyby się dla Amreny.

Parsknąłem.

– No wiesz, Feyra dość często nazywa nas ilyryjskimi dzidziusiami.

Azriel się zaśmiał.

– Jej latanie poprawiło się już na tyle, że możemy chyba jej na to pozwolić.

Rozparła mnie duma. Być może latanie nie przychodziło jej naturalnie, ale nadrabiała silną wolą i koncentracją. Spędziliśmy w powietrzu niezliczone godziny – był to dla nas cenny

czas, kiedy mogliśmy pobyć tylko we dwoje.

– Spróbuję znaleźć dla was dłuższe łóżka – zwróciłem się do Kasjana.

Biorąc jednak pod uwagę, że była wigilia Przesilenia, byłby to pewnego rodzaju cud, gdyby naprawdę udało się je znaleźć. Musiałbym zapewne przeszukać całe Velaris.

Ilyr machnął ręką.

– Nie trzeba. I tak jest lepsze niż kanapa.

– Pomijając to, że wczoraj byłeś zbyt pijany, żeby się dowlec na górę – powiedziałem z krzywym uśmiechem, na co odpowiedział mi wulgarnym gestem – ograniczona przestrzeń tego domu istotnie jest problematyczna. Zawsze możesz się przenieść do Domu Wiatru, jeśli wolisz. Mogę cię tam przeskoczyć.

– Dom Wiatru jest nudny. – Kasjan ziewnął wymownie. – Az znika w cieniach i zostaję zupełnie sam.

Azriel rzucił mi spojrzenie, które zdawało się mówić: „W istocie ilyryjski dzidziuś”.

Skryłem uśmiech i odparłem:

– Być może w takim razie powinieneś pomyśleć o własnym lokum.

– Mam już jedno w Ilyrii.

– Miałem na myśli coś tutaj.

Kasjan uniósł brew.

– Nie potrzebuję domu. Potrzebuję jednego pokoju. – Ponownie pomacał stopami płytę, poruszając ją nieco. – Ten byłby całkiem niezły, gdybym nie dostał łóżeczka dla lalek.

Ponownie się zaśmiałem, ale powstrzymałem się od dalszych uwag. Nie powiedziałem mu, że wkrótce może sam zechce mieć własne mieszkanie. Już niedługo.

Chociaż nic się w tym kierunku nie posuwało. I prędko ten stan się nie zmieni. Nesta wyraźnie dała do zrozumienia, że nie jest zainteresowana Kasjanem, że nie ma nawet ochoty przebywać w tym samym pomieszczeniu co on. Wiedziałem dlaczego. Widziałem to już wcześniej i sam się tak czułem.

– Być może będzie to twój prezent na Przesilenie – odparłem zamiast tego. – Nowe łóżko do pokoju.

– Lepsze niż prezenty Mor – mruknął Az.

Śmiech Kasjana odbił się echem od ścian pomieszczenia.

Ja jednak spoglądałem z uniesioną brwią ku Sidrze.

***

Wyglądała olśniewająco.

W Velaris na dobre nastała już wigilia Przesilenia, uciszając miejski gwar, który przez kilka ostatnich tygodni zdawał się nie ustawać. Zupełnie jakby wszyscy zatrzymali się, by posłuchać padającego śniegu.

W porównaniu z nieokiełznaną burzą, która szalała nad Górami Ilyryjskimi, tu opady śniegu były bardzo łagodne.

Zebraliśmy się wszyscy z otwartą butelką wina w salonie przy ogniu trzaskającym na kominku. Chociaż ani Lucien, ani Nesta się nie pojawili, nastroje były dalekie od minorowych.

Kiedy Feyra pojawiła się w wejściu do kuchni, przez chwilę po prostu się jej przyglądałem ze swojego miejsca na fotelu przy kominku.

Podeszła prosto do Mor – być może dlatego, że ta trzymała butelkę, w której brakowało już części zawartości.

Podziwiałem figurę swojej towarzyszki od strony pleców, kiedy napełniała swój kieliszek.

Nie było mi łatwo powściągnąć swoje instynkty na malujący się przede mną widok. Kształty Feyry, jej karnacja – tak wyraźnie odcinająca się od pozostałych w tym pomieszczeniu. Ciemnogranatowa suknia otulała ją ciasno, pozostawiając niewiele miejsca wyobraźni, po czym opadała miękko na podłogę. Włosy pozostawiła rozpuszczone, pozwalając im wić się nieco na końcach – włosy, w które później chciałem wpleść palce, odrzuciwszy podtrzymujące je po obu stronach srebrne grzebienie. A potem zamierzałem zdjąć z niej tę suknię. Powoli.

– Zaraz zwymiotuję – syknęła Amrena, posyłając mi kopniaka ze swojego miejsca na sąsiadującym z moim fotelu. – Powstrzymaj ten swój zapach, chłopcze.

Spojrzałem na nią z niedowierzaniem.

– Przepraszam. – Rzuciłem okiem na stojącego obok jej fotela Variana, składając mu nieme kondolencje.

Ten zaś, odziany w błękit i złoto Dworu Lata, tylko wyszczerzył się w odpowiedzi w uśmiechu i skinął mi głową.

Dziwne, bardzo dziwne było oglądać księcia Adriaty tutaj. W moim miejskim domu. Uśmiechającego się. Pijącego mój trunek.

Aż…

– Czy wy w ogóle tam na Dworze Lata świętujecie Przesilenie?

Aż do chwili, w której Kasjan otworzył usta.

Varian obrócił głowę w stronę rozłożonych na sofie Ilyrów. Jego srebrne włosy zamigotały w blasku ognia.

– Oczywiście, latem. Jak wiesz, w roku są dwa Przesilenia.

Azriel upił łyk wina, by ukryć uśmiech. Kasjan przerzucił ramię przez oparcie sofy.

– Naprawdę?

Wielka Matko, uchowaj. Czyżby zapowiadało się na taki wieczór?

– Nawet nie zawracaj sobie głowy odpowiadaniem mu – zwróciła się do Variana Amrena, po czym upiła łyk wina. – Kasjan jest dokładnie tak głupi, na jakiego wygląda i jak mówi – dodała z surowym spojrzeniem.

Ilyr tylko zasalutował swoim kieliszkiem, po czym się z niego napił.

– Zakładam, że wasze letnie przesilenie jest w zasadzie podobne do naszego – odezwałem się do gościa z południa, choć dobrze znałem odpowiedź. Dawno temu byłem świadkiem wielu takich świąt. – Rodziny zbierają się razem, jedzą i obdarowują prezentami.

Varian skinął mi głową w geście, który – mógłbym przysiąc – wyrażał wdzięczność.

– To prawda.

Feyra pojawiła się obok mojego fotela i natychmiast otoczył mnie jej zapach. Pociągnąłem ją w dół tak, żeby przysiadła na zakręconej poręczy.

Zrobiła to z taką swobodą, że poczułem ciepło rozlewające się po duszy. Nawet nie spojrzała w moją stronę, tylko objęła mnie ramieniem. Tak zwyczajnie – bo mogła.

Towarzyszka. Moja towarzyszka.

– To znaczy, że Tarquin nie obchodzi w ogóle zimowego przesilenia? – spytała.

Varian pokręcił przecząco głową.

– Może w takim razie powinniśmy go zaprosić? – rozważała Feyra.

– Wciąż jeszcze jest czas – potwierdziłem. Kocioł jeden wie, jak bardzo wciąż potrzebujemy sojuszy. – Decyzja należy do ciebie, książę.

Varian spojrzał na Amrenę, która zdawała się całkowicie pochłonięta swoim pucharem wina.

– Zastanowię się nad tym.

Pokiwałem głową. Tarquin był księciem jego Dworu. Jeśliby tu przybył, uwaga Variana

musiałaby być skupiona na zgoła czym innym niż to, po co tu przybył. A przybył, żeby spędzić kilka dni z Amreną.

Mor opadła na sofę pomiędzy Ilyrami tak energicznie, że jej złote loki aż podskoczyły.

– Mnie tam się podoba, że jesteśmy tylko my – powiedziała. – No i ty, Varianie – dodała zaraz.

Książę Adriaty posłał jej uśmiech zdający się mówić, że docenia jej wysiłki.

Zegar na kominku wybił ósmą. Jakby na jego wezwanie do pokoju wsunęła się Elaina.

Mor zerwała się na równe nogi, proponując – nalegając wręcz na kieliszek wina. Typowe.

Elaina grzecznie odmówiła i zajęła miejsce na jednym z drewnianych krzeseł pod wykuszowym oknem. To również było dla niej typowe.

Jednak Feyra wpatrywała się w zegar ze zmarszczonym czołem.

„Nesty wciąż nie ma”.

„Zaprosiłaś ją na jutro”. Posłałem jej po naszej więzi uspokajającą pieszczotę, jakby w próbie złagodzenia emanującego od niej zawodu.

Poczułem, jak zaciska dłoń na moim ramieniu.

Podniosłem kielich, wszyscy w pokoju ucichli.

– Za rodzinę, dawną i nową. Niech rozpoczną się obchody Święta Przesilenia.

Wszyscy za to wypiliśmy.

Rozdział 17

Feyra

W świąteczny poranek obudziły mnie odbijające się od śniegu promienie słońca, którym udało się przedostać nawet przez ciężkie aksamitne zasłony.

Skrzywiłam się na ten snop jasności i odwróciłam głowę od okna. Wówczas mój policzek zetknął się z czymś pomarszczonym i twardym. Z pewnością nie była to poduszka.

Odkleiłam język od podniebienia i potarłam lewą skroń, gdzie czułam pulsujący ból, spowodowany wczorajszymi godzinami picia, śmiechu i znów picia, które zakończyły się dopiero wczesnym rankiem. Uniosłam się na tyle, by móc zbadać, cóż to leżało obok mojej twarzy.

Prezent. Opakowany w czarny karbowany papier i przewiązany srebrnym sznureczkiem. Obok niego zaś siedział uśmiechający się do mnie Rhys.

– Wszystkiego najlepszego, droga Feyro.

Jęknęłam.

– Jak możesz uśmiechać się po tym całym winie?

– To proste. Nie wypiłem całej butelki sam. – Przeciągnął palcem wzdłuż linii mojego kręgosłupa.

Uniosłam się na łokciach, obrzucając wzrokiem położony przez niego prezent. Był prostokątny i prawie zupełnie płaski, miał nie więcej niż cal grubości.

– Miałam nadzieję, że zapomnisz.

Rhys uśmiechnął się półgębkiem.

– Pewnie, że miałaś.

Ziewając, podniosłam się na klęczki i przeciągnęłam, wyciągając ramiona wysoko nad głowę, po czym przysunęłam prezent bliżej siebie.

– Myślałam, że wszyscy otwieramy prezenty razem, wieczorem.

– To twoje urodziny – wyjaśnił powoli – więc ta zasada nie ma tu zastosowania.

Przewróciłam oczami, ale jednak uśmiechnęłam się nieznacznie. Odwinęłam delikatnie opakowanie i moim oczom ukazał się przepiękny notatnik oprawiony w czarną skórę tak delikatną i miękką, że zdawała się w dotyku jak aksamit.

Na okładce wytłoczone były srebrne litery – moje inicjały.

Kiedy otworzyłam okładkę, okazało się, że wewnątrz znajdują się karty grubego, białego papieru. Wszystkie czyste.

– Szkicownik – powiedział. – Specjalnie dla ciebie.

– Jest piękny.

Rzeczywiście był. Prosty, a jednocześnie wykwintny. Sama bym taki dla siebie wybrała, gdyby wszelkie luksusy nie wydawały mi się zbyteczne.

Pochyliłam się, by delikatnie pocałować Rhysa, ledwo muskając wargami jego usta. Wówczas kątem oka zobaczyłam, że na poduszce pojawił się jeszcze jeden przedmiot.

Odsunęłam się, by obejrzeć drugi prezent urodzinowy. Było to spore pudełko opakowane w ametystowy papier.

– Jeszcze więcej?

Rhys machnął leniwie ręką z prawdziwie ilyryjską nonszalancją.

– Sądzisz, że jeden szkicownik wystarczy dla mojej księżnej?

Otworzyłam drugi prezent, czując, jak twarz oblewa mi się gorącem. Wewnątrz zwinięty był błękitny szal z najmiększej wełny.

– Żebyś przestała kraść Mor jej szale – rzucił, puszczając do mnie oko.

Uśmiechnęłam się szeroko i owinęłam nowym nabytkiem. Uczucie delikatności na skórze było niemal dekadenckie.

– Dziękuję – powiedziałam, gładząc wykwintny materiał. – Kolor jest piękny.

– Mhm. – Jeszcze jedno machnięcie ręką i pojawił się kolejny prezent.

– To już lekka przesada.

Rhys tylko uniósł brew, ja zaś zaśmiałam się i otworzyłam trzeci podarunek.

– Nowa torba na przybory malarskie – szepnęłam, przesuwając dłońmi po wspaniałej skórzanej powierzchni, doceniając różne kieszonki i paski. Na froncie również wytłoczone były moje inicjały oraz maleńkie insygnia Dworu Nocy. Wewnątrz zaś czekał zestaw ołówków i węgli. – Dziękuję – powtórzyłam.

Uśmiech Rhysa jeszcze się poszerzył.

– Jakoś tak podejrzewałem, że klejnoty nie znalazłyby się na twojej liście pożądanych podarków.

Nie mylił się. Jakkolwiek były piękne, nie bardzo mnie interesowały. No i miałam ich już mnóstwo.

– To jest dokładnie to, o co mogłabym poprosić.

– Jeśli nie miałabyś nadziei, że twój towarzysz zapomni o twoich urodzinach.

Parsknęłam.

– Jeślibym nie miała na to nadziei.

Pocałowałam go ponownie, ale kiedy chciałam się odchylić, wsunął dłoń na mój kark i przytrzymał mnie. Całował mnie powoli, leniwie – jak gdyby cały dzień nie chciał robić nic innego. Mogłabym się nawet na to zgodzić.

Jednak wreszcie udało mi się uwolnić. Skrzyżowałam nogi i usadowiłam się wygodniej na łóżku, po czym sięgnęłam po moją nową torbę i szkicownik.

– Chciałabym cię narysować – powiedziałam. – Jako prezent urodzinowy dla mnie.

Odpowiedział mi iście kocim uśmiechem.

– Kiedyś powiedziałeś – dodałam, otwierając szkicownik na pierwszej stronie – że najlepiej byłoby nago.

Oczy Rhysa zapłonęły, a po pokoju przetoczył się pomruk jego mocy, który rozchylił zasłony, zalewając pomieszczenie przedpołudniowym słońcem. Jasne promienie podkreślały każdy cal jego wspaniałego nagiego ciała rozłożonego w niedbałej pozie na łóżku i podświetlały lekko skrzydła na czerwono i złoto.

– Daj z siebie wszystko, Wyzwolicielko.

Czując, jak każda kropla krwi we mnie zaiskrzyła, sięgnęłam po kawałek węgla i zaczęłam pracę.

***

Kiedy opuszczaliśmy sypialnię, dochodziła jedenasta. Udało mi się wypełnić wiele stron szkicownika rysunkami – jego skrzydeł, oczu, ilyryjskich tatuaży. Znalazło się tam tyle jego pięknego nagiego ciała, że na pewno nigdy nikomu prócz niego tego szkicownika nie pokażę. Rhys mruczał z aprobatą, przeglądając strona po stronie moje prace, zaś na widok dokładnie odwzorowanych pewnych części jego anatomii uśmiechnął się półgębkiem.

Kiedy schodziliśmy na dół, w całym domu panowała cisza. Mój towarzysz wybrał dziś – z nieokreślonych przyczyn – ilyryjską skórznię. Jeśli częścią świątecznego poranka miała być

męcząca sesja treningowa z Kasjanem, chętnie zostanę w domu i zacznę spożywanie smakołyków, których cudowny zapach dochodził już ze znajdującej się w końcu korytarza kuchni.

Weszliśmy do jadalni, gdzie zastaliśmy czekające na nas śniadanie. Jednak nie było żadnego z naszych przyjaciół. Rhys podprowadził mnie do mego miejsca pośrodku stołu, po czym osunął się na krzesło obok.

– Zakładam, że Mor wciąż jeszcze śpi. – Wrzuciłam na swój talerz czekoladową bułeczkę, po czym kolejną nałożyłam jemu.

Rhys pokroił tartę z szynką i porem, po czym podał mi kawałek.

– Wypiła o wiele więcej od ciebie, więc zakładam, że nie zobaczymy jej aż do zachodu słońca.

Parsknęłam, po czym podniosłam filiżankę, by umożliwić mu nalanie parującej herbaty z imbryka.

Wtedy w korytarzu pojawiły się dwie masywne postacie. Rhys zamarł na chwilę.

Azriel i Kasjan skradali się jak koty, również odziani w skórznie. Biorąc pod uwagę ich paskudne uśmiechy, wiedziałam już, że to nie skończy się dobrze.

Rzucili się do działania, zanim Rhys zdołał zareagować, i tylko posłana strategicznie fala mocy uratowała imbryk przed roztrzaskaniem się o podłogę. Wyciągnęli Rhysa z miejsca i powlekli ku drzwiom wejściowym.

Niewzruszona ugryzłam bułeczkę.

– Odstawcie go, proszę, w jednym kawałku.

– Już my się nim zaopiekujemy – obiecał Kasjan z błyskiem w oku.

Nawet Azriel wyszczerzył zęby w uśmiechu, dodając:

– Jeśli dotrzyma nam kroku.

Uniosłam pytająco brwi. Kiedy już znikali za drzwiami, cały czas wlokąc mojego towarzysza, ten rzucił jeszcze do mnie:

– Tradycja.

Jakby to miało wszystko wyjaśnić.

Potem zaś zniknęli, Matka jedna wie gdzie.

Przynajmniej żaden z Ilyrów nie pamiętał o moich urodzinach. Dzięki niech będą Kotłowi.

Korzystając z tego, że Mor wciąż spała, a Elaina najprawdopodobniej była w kuchni i pomagała przygotowywać te wszystkie pyszności, których aromaty wypełniały dom, rozkoszowałam się rzadkim cichym i spokojnym posiłkiem. Zabrałam porcję Rhysa z jego talerza i zjadłam razem ze swoją, a potem jeszcze jedną. Jak tradycja, to tradycja.

Nie mając do roboty właściwie nic poza wypoczywaniem przed uroczystościami, które miały rozpocząć się na godzinę przed zachodem słońca, usiadłam przy biurku w naszej sypialni, żeby przejrzeć papiery.

„Bardzo świątecznie” – zamruczał przez naszą więź Rhys. Niemal widziałam ten jego uśmieszek.

„A gdzie ty w zasadzie jesteś?”.

„Nie martw się o to”.

Skrzywiłam się, spoglądając na wytatuowane na mojej dłoni oko, chociaż wiedziałam, że Rhys już go nie używał.

„To zabrzmiało, jakbym właśnie powinna się martwić”.

Po więzi potoczył się mroczny śmiech.

„Kasjan mówi, że kiedy wrócimy, możesz go sprać”.

„A kiedy to będzie?”.

Po moim pytaniu nastąpiła trochę za długa przerwa, po czym nadeszła niepewna odpowiedź:

„Przed obiadem?”.

Parsknęłam.

„Naprawdę wolałabym nie wiedzieć?”.

„Naprawdę”.

Wciąż się uśmiechając, pozwoliłam więzi się rozwiać. Westchnęłam i wróciłam do przeglądania papierów. Rachunki, oficjalne listy, budżety…

Gdy natrafiłam na leżący na samym dnie oprawny w skórę tom, uniosłam brwi. Lista wydatków domowych – tylko moich i Rhysa. Zaledwie kropla w morzu jego bogactwa płynącego z różnych źródeł. Naszego bogactwa. Wzięłam kartkę papieru i zaczęłam liczyć wydatki, mozoląc się nad zawiłościami matematyki.

Pieniędzy nie brakowało – jeśli tylko bym chciała z nich skorzystać i kupić pracownię. Była część przeznaczona na „wydatki różne”.

Tak, z fortuną, którą obecnie dysponowałam, spokojnie mogłabym kupić ten lokal. Ale wydawanie tych pieniędzy tak lekką ręką, nawet na pracownię, która służyłaby nie tylko mnie…

Wsunęłam moje wyliczenia między kartki, zatrzasnęłam rejestr i wstałam. Papiery mogły poczekać. Decyzje takie jak ta mogły poczekać. Przesilenie, jak wyjaśnił mi Rhys, było dla rodziny. A skoro on obecnie spędzał czas ze swoimi braćmi, ja stwierdziłam, że dobrze by było odszukać przynajmniej jedną z moich sióstr.

Spotkałam Elainę w połowie drogi do kuchni, skąd właśnie zmierzała do jadalni z tacą pełną ciastek z marmoladą. Tam powoli już tworzyła się prawdziwa wystawa: rzędy piętrowych ciast, ciastek i lukrowanych ciasteczek. Były tam obsypane cukrem pudrem bułeczki i placki z owocami polane karmelem.

– Ładnie wyglądają – powiedziałam zamiast powitania, wskazując głową ciasteczka w kształcie serduszek na jej tacy.

Wszystko ładnie wyglądało.

Elaina uśmiechnęła się. Kiedy skierowała się ku rosnącej górze jedzenia, jej warkocz kołysał się do wtóru krokom.

– Smakują równie dobrze, jak wyglądają.

Postawiła tacę i wytarła ręce w fartuch, który narzuciła na podomkę w kolorze brudnego różu. Nawet w środku zimy przypominała rozkwitnięty pąk i promień słońca.

Podała mi jedno z ciastek połyskujące cukrem. Wgryzłam się w nie bez zastanowienia i zamruczałam z zadowolenia. Elaina pojaśniała z radości.

Pomiędzy kęsami spojrzałam na zastawiony stół.

– Ile czasu nad tym pracujecie?

Siostra wzruszyła ramionami.

– Od świtu – odparła. – Nuala i Cerridwena były na nogach nawet wcześniej.

Widziałam dodatek świąteczny, jaki przekazał im Rhys. Była to kwota większa niż roczne zarobki wielu rodzin. Ale zasłużyły na każdego miedziaka.

Zwłaszcza po tym, co zrobiły dla mojej siostry. Towarzystwo, cel, poczucie normalności, jakie dawały drobne prace w kuchni. To dla nich kupiła te puchate koce w warsztacie tkaczki. Jeden różowy, drugi fioletowy.

Elaina przyglądała mi się, podczas gdy ja skończyłam ciastko i sięgnęłam po następne.

– Dostałaś od niej jakąkolwiek wiadomość?

Wiedziałam, kogo ma na myśli. Właśnie otworzyłam usta, żeby powiedzieć, że niestety

nie, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Siostra rzuciła się ku wejściu tak szybko, że ledwie byłam w stanie za nią nadążyć. Z impetem otworzyła ozdobione mrożonym szkłem drzwi do sieni, po czym odryglowała ciężkie dębowe drzwi frontowe.

Jednak na progu z policzkami zaróżowionymi od mrozu nie stała Nesta.

Dłoń Elainy opadła z klamki, a ona sama zrobiła krok w tył, odsłaniając uśmiechającego się niezręcznie Luciena.

– Wesołego Przesilenia – powiedział krótko.

Rozdział 18

Feyra

Dobrze wyglądasz – powiedziałam do nowo przybyłego, kiedy usiedliśmy w fotelach przed kominkiem. Elaina przysiadła na kanapie nieopodal.

Lucien ogrzał dłonie nad żarem z płonących brzozowych polan. Płomienie rzucały na jego twarz czerwone i złote refleksy – złote jak jego mechaniczne oko.

– Wy również. – Rzucił kątem oka krótkie i przelotne spojrzenie na Elainę. – Obie.

Elaina nie odezwała się, ale podziękowała mu skinieniem głowy. W tym czasie Nuala i Cerridwena kontynuowały przygotowywanie fety, dla ułatwienia sobie pracy przenikając przez ściany. Poza bliźniaczymi cieniami nie było w zasadzie znać ich obecności.

– Przyniosłeś prezenty – powiedziałam niezbyt mądrze, wskazując leżący przy oknie stosik.

– Taka jest tradycja na Przesilenie, czyż nie?

Powstrzymałam wzdrygnięcie. Ostatnie Przesilenie, które świętowałam, było jeszcze na Dworze Wiosny. Z Ianthą. I Tamlinem.

– Jeżeli chcesz, możesz zostać na noc – zaproponowałam, wiedząc dobrze, że Elaina tego nie zrobi.

Lucien opuścił dłonie na kolana i odchylił się w fotelu.

– Dziękuję, ale mam inne plany.

Modliłam się, żeby nie dostrzegł lekkiego wyrazu ulgi na twarzy mojej siostry.

– Dokąd się wybierasz? – spytałam więc, mając nadzieję, że uda mi się skupić jego uwagę na sobie.

Niestety wiedziałam jednocześnie, że jest to niewykonalne.

– Cóż… – Lucien się zająknął. Nie próbował jednak wymyślić jakiegoś kłamstwa czy wykrętu, jak się zaraz okazało. – Od czasu do czasu odwiedzam Dwór Wiosny. Ale kiedy nie przebywam w Velaris, zwykle spędzam czas z Jurianem. I Vassą.

Wyprostowałam się nagle.

– Naprawdę? Gdzie?

– Na południowo-wschodnim krańcu ziem śmiertelników jest stara posiadłość. Jurian i Vassa… dostali ją w prezencie.

Z grymasu jego ust wyczytałam, kto najprawdopodobniej doprowadził do tego, że posiadłość ta wpadła w ich ręce. Graysen… albo jego ojciec. Nie miałam odwagi spojrzeć na Elainę.

– Rhys wspominał, że wciąż są w Prythianie. Nie miałam pojęcia, że jest to stałe miejsce.

Lucien tylko krótko skinął głową.

– Na razie. Póki pewne rzeczy się nie wyjaśnią.

Takie jak świat bez muru. Jak cztery ludzkie królowe wciąż czające się na kontynencie. Ale to nie był odpowiedni moment na omawianie tych spraw.

– Jak oni się mają? Jurian i Vassa?

Od Rhysa dowiedziałam się dość o tym, jak ma się Tamlin. Nie miałam już ochoty słuchać o nim więcej.

– Jurian… – Lucien westchnął i zapatrzył się na rzeźbiony sufit. – Dzięki za niego Kotłowi. Nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem, ale to prawda. – Przeczesał dłonią swoje

jedwabiste rude włosy. – Trzyma wszystko w kupie. Myślę, że gdyby nie Vassa, dawno zostałby obwołany królem. – W jego oczach pojawiła się iskierka, a usta wykrzywił mu grymas. – Ona zaś ma się całkiem nieźle. Cieszy się każdą chwilą tymczasowej wolności.

Nie zapomniałam jej prośby, którą przedłożyła mi tuż po ostatniej bitwie z Hybernią. Żebym wyzwoliła ją spod władzy klątwy, przez którą jest człowiekiem nocą, a za dnia ognistym ptakiem. Dawniej była dumną królową. Nadal pozostała dumna, ale również rozpaczliwie pragnie odzyskać wolność. Swoje człowieczeństwo. Swoje królestwo.

– Dobrze się dogadują z Jurianem?

Nie wiedziałam, jaki mieli do siebie stosunek. Mogłam sobie tylko wyobrażać, jak mogłoby się skończyć zebranie ich w jednym pomieszczeniu. Oboje próbujący przewodzić ludziom zamieszkującym ten niewielki południowy skrawek Prythianu. Oboje spędzili wiele czasu pod ziemią. Zbyt wiele. W tej krainie nie było króla ani królowej. Nie został po nich ślad, nie zachowali się ani krewni, ani nawet ich imiona.

Przynajmniej nie wśród ludzi. Fae mogli ich znać. Rhys mógł coś o nich wiedzieć.

Ale nawet jeśli nadal żyli potomkowie dawnych władców tego skrawka ziemi, to linia została dawno rozdrobniona na dziesiątki szlacheckich rodzin. Nic więcej. Żadnych diuków, earlów ani innych tytułów, które wspominały kiedyś moje siostry podczas rozmowy o ludziach z kontynentu. Na ziemiach fae nie było podobnych tytułów. Na całym Prythianie.

Nie, tutaj byli tylko książęta i lordowie. No i teraz księżna. Zastanawiałam się, czy ludzie przejęli tytuł lorda od kryjących się za murem fae.

Kryjących się – właściwie już nie.

Lucien przez chwilę rozważał moje pytanie.

– Vassa i Jurian są jak dwie strony tej samej monety. Na szczęście ich wizja przyszłości krain śmiertelników jest zbliżona. Jednak metody osiągnięcia jej… – Zmarszczył brwi i rzucił okiem na Elainę, po czym skrzywił się i ponownie zwrócił w moją stronę. – To nie jest odpowiednia rozmowa na Święto Przesilenia.

Z pewnością nie, ale nie przeszkadzało mi to. Jeśli zaś chodzi o Elainę…

Ta podniosła się właśnie ze swojego miejsca.

– Powinnam przynieść jakieś przekąski.

Lucien również wstał.

– Nie trzeba, żebyś się fatygowała. Naprawdę…

Jednak dziewczyna uciekła już z pokoju.

Kiedy jej kroki ucichły na korytarzu, Lucien opadł z powrotem na fotel i ciężko westchnął.

– Jak ona się ma?

– Lepiej. Nie wspomina już o swoim darze. Jeśli wciąż go posiada.

– To dobrze. Ale czy nadal… – Na jego twarzy zadrgał mięsień. – Czy wciąż go opłakuje? – Jego słowa zabrzmiały niemal jak warknięcie.

Zagryzłam wargę i zastanowiłam się, ile prawdy ujawnić. W końcu postanowiłam nic przed nim nie ukrywać.

– Była w nim bardzo zakochana, Lucienie.

Jego rdzawe oko zapłonęło furią. Niekontrolowany instynkt więzi godowej popychał go do wyeliminowania zagrożenia. Jednak nie wstał, chociaż palce wbił mocno w poręcze fotela.

– Minęło zaledwie kilka miesięcy – kontynuowałam. – Graysen powiedział wyraźnie, że uważa zaręczyny za zerwane, ale jej otrząśnięcie się z tego może zająć trochę czasu.

Znów ta furia. Nie z zazdrości ani z poczucia zagrożenia, ale…

– Dawno nie spotkałem równie wielkiego dupka.

Wówczas zorientowałam się, że Lucien musiał go spotkać. W jakiś sposób, mieszkając w posiadłości z Jurianem i Vassą, musiał natknąć się na byłego narzeczonego Elainy. A mimo wszystko pozwolił mu ujść z życiem.

– Muszę się tu z tobą zgodzić – przyznałam. – Pamiętaj jednak, że byli zaręczeni. Daj jej czas na zaakceptowanie zmiany.

– Zaakceptowanie, że jest na mnie skazana?

Wydęłam nozdrza.

– Nie to miałam na myśli.

– Ona nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

– A ty byś chciał, gdyby role były odwrócone?

Nie odpowiedział.

– Może zostałbyś tu na tydzień lub dwa po Przesileniu? – zaproponowałam. – Nie w swoim mieszkaniu, ale tu, w naszym domu.

– Po co?

– Żeby spędzić z nią trochę czasu.

– Nie sądzę, by wytrzymała w moim towarzystwie dwie minuty, nie mówiąc już o dwóch tygodniach.

Zacisnął szczękę i wbił wzrok w ogień.

Ogień. Dar jego matki. Nie ojca.

Owszem, był to również dar Berona. Dar ojca, który w opinii całego świata go spłodził. Ale nie dar Heliona. Jego prawdziwego ojca.

Wciąż nikomu o tym nie wspomniałam. Oprócz Rhysa.

Teraz również nie był na to czas.

– Miałam nadzieję, że jeśli wynająłeś mieszkanie, oznacza to, że zechcesz tu pracować. Z nami. Być naszym emisariuszem do krain śmiertelników.

– Czyż właśnie tego nie robię? – Uniósł pytająco brew. – Nie przesyłam waszemu mistrzowi szpiegów dwa razy w tygodniu raportów?

– Chodziło mi o to, żebyś tu *zamieszkał* – drążyłam. – Naprawdę zamieszkał w Velaris, a nie tylko pomieszkiwał tu po kilka dni. Moglibyśmy znaleźć ci jakieś lepsze miejsce…

Lucien wstał.

– Nie potrzebuję waszej wspaniałomyślności.

Ja również się podniosłam.

– Ale przyjmowanie jej od Juriana i Vassy jest w porządku?

– Zdziwiłabyś się, jak dobrze się we troje dogadujemy.

Przyjaźń. Zrozumiałam, że w jakiś sposób połączyły ich więzy przyjaźni.

– Więc wolisz zostać u nich?

– Nie mieszkam u nich. Posiadłość jest *nasza*.

– Interesujące.

Złote oko zawirowało.

– Co takiego?

– Że czujesz się teraz swobodniej wśród ludzi niż wśród fae – odpowiedziałam ostro, czując się całkowicie nieświątecznie. – Moim zdaniem…

– Nie obchodzi mnie twoje zdanie.

– Cóż, widać postanowiłeś przestawać z dwójką ludzi pozbawionych również własnego domu.

Lucien przyglądał mi się hardo dłuższą chwilę. Kiedy się znów odezwał, jego głos był zimny.

– Wesołego Święta Przesilenia, Feyro.

Obrócił się i skierował w stronę holu, ale złapałam go za ramię, by go zatrzymać. Silne mięśnie przedramienia zagrały pod delikatnym jedwabiem kaftana, ale nie próbował strząsnąć mojej ręki.

– Nie chciałam tego powiedzieć – przeprosiłam. – Wiesz, że zawsze znajdziesz tu dom. Jeśli tylko chcesz.

Lucien zlustrował powoli salon, hol i znajdującą się po drugiej stronie korytarza jadalnię.

– Zgraja wyrzutków.

– Co?

– Tak o sobie mówimy. Zgraja wyrzutków.

– Nazwaliście się. – Starałam się ukryć niedowierzanie w głosie.

Skinął twierdząco głową.

– Jurian nie jest wyrzutkiem – zauważyłam.

Vassa − owszem. Lucien… nawet podwójnie.

– Po królestwie Juriana został pył i na wpół zapomniane legendy. Jego lud rozproszył się i wymieszał z mieszkańcami innych krain. Może nazywać się, jakkolwiek chce.

To prawda. Po bitwie z Hybernią, po pomocy, jakiej nam udzielił, faktycznie mógł. Jednak mimo to spytałam:

– A co zamierza robić wasza „zgraja wyrzutków”? Organizować imprezy? Wydawać przyjęcia?

Metalowe oko Luciena zaklekotało i zwęziło się.

– Potrafisz być tak samo podła jak ten twój towarzysz, wiesz?

To prawda, potrafiłam. Westchnęłam.

– Przepraszam. Ja tylko…

– Nie za bardzo mam gdzie się podziać. – Zanim zdołałam zaprotestować, mówił dalej: – Zniszczyłaś wszelkie moje szanse powrotu na Dwór Wiosny. Nie do samego Tamlina, ale do ludzi stanowiących jego świtę. Wszyscy albo wciąż wierzą w kłamstwa, które naopowiadałaś, albo uważają mnie za twojego wspólnika. Tutaj zaś… – Strząsnął gwałtownie moją dłoń z przedramienia i szybko ruszył ku drzwiom. – Nie jestem w stanie przebywać w tym samym pomieszczeniu co ona dłużej niż dwie minuty. Nie mogę znieść przebywania na tym Dworze i pozwalania, by twój towarzysz płacił za moje ubranie.

Przyjrzałam się bliżej kaftanowi, który miał na sobie. Widziałam go już wcześniej, na…

– Tamlin przesłał wczoraj wszystko do posiadłości – syknął Lucien. – Moje ubrania. Moje drobiazgi. Wszystko. Odesłał to z Dworu Wiosny i zrzucił na progu.

Dupek. Pomimo wszystkiego, co zrobił dla mnie i Rhysa podczas tej ostatniej bitwy, wciąż pozostał dupkiem. Jednak wina nie leżała całkowicie po jego stronie. To ja spowodowałam rozłam pomiędzy nimi. Własnymi rękami rozerwałam ich przyjaźń.

Jednak nie czułam się na tyle winna, żeby za to przepraszać. Jeszcze nie. Być może nigdy.

– Dlaczego? – To było jedyne pytanie, które przychodziło mi do głowy.

– Być może miało to coś wspólnego z wizytą twojego towarzysza tamtego dnia.

Zesztywniałam.

– Rhys cię w to nie wplątał.

– Równie dobrze mógł. Cokolwiek powiedział lub zrobił, Tamlin podjął decyzję, że chce być całkiem sam. – Jego rdzawe oko pociemniało. – Twój towarzysz powinien wiedzieć, że nie należy kopać leżącego.

– Jakoś nieszczególnie mi żal, że to zrobił.

– Uważaj, co robisz. Zanim pył opadnie, będziecie potrzebowali Tamlina jako sojusznika.

Naprawdę nie chciałam myśleć o tym i tego rozważać. Nie dziś. Najlepiej nigdy.

– Skończyłam z nim raz na zawsze.

– Ty może i tak, ale Rhys nie. I dobrze zrobisz, przypominając o tym swojemu towarzyszowi.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa po więzi przebiegł impuls.

„Wszystko w porządku?”.

Pozwoliłam Rhysowi w mgnieniu oka zobaczyć i usłyszeć wszystko, co zostało powiedziane.

„Przepraszam, że narobiłem mu kłopotów – przekazał mi Rhys. − Czy chciałabyś, żebym wrócił do domu?”.

„Dam sobie radę”.

„Daj mi znać, jeśli będziesz czegokolwiek potrzebowała” – powiedział jeszcze, po czym więź ucichła.

– Sprawdza cię? – spytał cicho Lucien.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparłam z miną wyrażającą całkowite znudzenie.

Spojrzał na mnie wymownie i ruszył znowu ku drzwiom, biorąc po drodze płaszcz i szalik z jednego z wieszaków przymocowanych do drewnianej boazerii pokrywającej ściany holu.

– Większe pudełko jest dla ciebie. Mniejsze dla niej.

Chwilę zajęło mi zorientowanie się, że mówi o prezentach. Rzuciłam okiem przez ramię na opakowane srebrnym papierem paczki. Każda była przewiązana niebieską wstążką.

Kiedy się na powrót obróciłam, Luciena już nie było.

***

Odnalazłam moją siostrę w kuchni, wpatrującą się w gwiżdżący czajnik.

– Nie zostaje na herbacie – powiedziałam.

Nuali ani Cerridweny nigdzie nie było widać.

Elaina tylko spokojnie zdjęła czajnik z ognia.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że tak naprawdę wcale nie jestem zła na nią, na nikogo poza sobą samą, ale mimo to powiedziałam:

– Naprawdę nie mogłaś choć słowem się do niego odezwać? Przywitać się grzecznie?

Moja siostra tylko wpatrywała się w stojący na kamiennym blacie czajnik.

– Przyniósł ci prezent…

Spojrzała na mnie swymi brązowymi sarnimi oczami. Ich wyraz był ostrzejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

– I to daje mu prawo do mojego czasu, do mojej sympatii?

– Nie – zamrugałam. – Ale ma dobre serce. – Pomimo ostrych słów. Pomimo tego całego pieprzenia o „zgrai wyrzutków”. – Zależy mu na tobie.

– Nawet mnie nie zna.

– Nie dałaś mu szansy się poznać.

Zacisnęła usta; jedyna oznaka gniewu w jej łagodnej postawie.

– Nie chcę towarzysza. Nie chcę *mężczyzny fae*.

Ona chciała człowieka.

Przesilenie. Dziś było Święto Przesilenia i wszyscy powinni być szczęśliwi i radośni. Z pewnością nie powinni się wykłócać.

– Wiem, że nie chcesz. – Westchnęłam. – Ale…

Nie miałam pojęcia, jak skończyć to zdanie. Tylko dlatego, że Lucien został wybrany przez Kocioł na jej towarzysza, nie dawało mu to prawa do dysponowania jej czasem. Jej

uczuciami. Miała prawo do samostanowienia o sobie, dokonywania własnych wyborów. Oceny własnych potrzeb.

– Jest dobrym chłopakiem – odparłam. – Do tego… ja tylko… – Próbowałam znaleźć właściwe słowa. – Nie chciałabym, żebyście oboje byli nieszczęśliwi.

Elaina wciąż wpatrywała się w blat, na którym czajnik stygł obok rozmaitych wypieków w różnym stadium przygotowania.

– Wiem, że nie chcesz.

Nic więcej nie pozostało do dodania. Dotknęłam więc jej ramienia i wyszłam. Nie odezwała się ani słowem.

Znalazłam Mor siedzącą u podnóża schodów, ubraną już w luźne brzoskwiniowe spodnie i gruby biały sweter. Połączenie stylu Amreny i mojego. Uśmiechnęła się ponuro, a złote kolczyki w jej uszach zalśniły.

– Szklaneczkę?

W jej dłoniach pojawiła się karafka i dwie szklanki.

– Wielka Matko, tak, proszę.

Zaczekała, aż usiądę koło niej na dębowym stopniu i wychylę łyk bursztynowego napoju, który przyjemnie palił mi podniebienie i rozgrzewał żołądek.

– Dać ci dobrą radę?

Nie. Tak.

Pokiwałam głową.

Mor napiła się ze swojej szklanki.

– Trzymaj się od tego z daleka. Ani ona nie jest na to gotowa, ani on. Nie ma znaczenia, jak wiele prezentów przyniesie.

Uniosłam brwi.

– Gumowe ucho – rzuciłam.

Mor rozparła się na stopniu zupełnie niewzruszona.

– Pozwól mu żyć sobie z tą jego „zgrają wyrzutków". Pozwól mu samodzielnie załatwić sprawy z Tamlinem. Pozwól mu samemu dojść do tego, gdzie chce być. *Kim* chce być. To samo tyczy się jej.

Miała rację.

– Wiem, że wciąż winisz się za to, że twoje siostry zostały zmienione przez Kocioł. – Mor trąciła kolanem moją nogę. – I z tego powodu próbujesz wszystko za nie załatwić, skoro już tu są.

– Zawsze starałam się to robić – dodałam ponuro.

Blondynka uśmiechnęła się krzywo.

– Dlatego właśnie cię kochamy. Dlatego one cię kochają.

No, jeśli chodzi o Nestę, to nie byłabym tego taka pewna.

– Musisz być cierpliwa – kontynuowała Mor. – Wszystko się ułoży. Zawsze tak jest.

Kolejne ziarno prawdy.

Ponownie napełniłam swoją szklankę i odstawiłam kryształową karafkę na schodek za nami, po czym wzięłam kolejny łyk.

– Chcę, żeby byli szczęśliwi. Wszyscy.

– Będą.

Wypowiedziała to proste słowo z takim przekonaniem, że jej uwierzyłam.

– A ty? Jesteś szczęśliwa?

Mor dobrze wiedziała, co mam na myśli. Jednak tylko uśmiechnęła się i zakręciła płynem w swojej szklance.

– Jest Święto Przesilenia. Jestem z rodziną. Piję alkohol. Jestem *bardzo* szczęśliwa.

Dobrze wyćwiczone wykręcenie się od odpowiedzi. Ale mogłam jej na to pozwolić. Stuknęłam się z nią szklanką.

– A jeśli mowa o rodzinie… Gdzie oni, na Kocioł, są?

Oczy Mor rozbłysły.

– Och… och, zatem nie powiedział ci?

Mina mi zrzedła.

– Nie powiedział czego?

– Co ich trójka robi w każde przedpołudnie Przesilenia.

– Zaczynam się martwić.

Mor odstawiła szklankę i złapała mnie za ramię.

– Chodź ze mną.

Zanim zdążyłam zaprotestować, przeskoczyła nas gdzieś.

Wokół panowała oślepiająca jasność. I przeraźliwy, kąsający chłód.

Było przenikliwie, okropnie zimno. O wiele za zimno na swetry i spodnie, które miałyśmy na sobie.

Śnieg. Słońce. I wiatr.

I góry.

I chatka.

Ta chatka.

Mor wskazała ogromną polanę na szczycie góry. Podobnie jak poprzednio pokrywała ją gruba warstwa białego puchu. Jednak tym razem jej powierzchnia nie była dziewiczą nienaruszoną połacią…

– Czy to są śnieżne forty?

Skinęła głową.

Coś białego i lśniącego poszybowało nad polaną. Chwilę później od gór odbił się echem wrzask Kasjana. A zaraz potem:

– Ty draniu!

Odpowiedział mu jasny jak słońce na śniegu śmiech Rhysa.

Przyjrzałam się trzem śniegowym ścianom – barykadom – otaczającym pole, podczas gdy Mor wzniosła niewidzialne tarcze, chroniące nas przed smagającym wichrem. Niestety niewiele pomagały na wściekły chłód.

– Urządzili bitwę na śnieżki.

Kolejne skinienie.

– Trzech ilyryjskich wojowników. *Największych* ilyryjskich wojowników – uściśliłam – urządziło sobie bitwę na śnieżki.

Oczy Mor niemal płonęły z dzikiej radości.

– Robią to od dzieciństwa.

– Wszyscy mają ponad pięćset lat.

– Chcesz wiedzieć, kto obecnie prowadzi w klasyfikacji zwycięzców?

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem. Potem na pole nad nami. Na śnieżki latające z bezwzględną, okrutną precyzją i na ciemne głowy wychylające się znad wzniesionych fortów.

– Żadnej magii – objaśniła Mor. – Żadnych skrzydeł i żadnych przerw.

– Są tu od południa.

Dochodziła trzecia. Zaczynałam już szczękać zębami.

– Ja zawsze zostawałam, żeby się napić – dodała moja kompanka, jakby to coś wyjaśniało.

– W jaki sposób oni w ogóle decydują, kto wygrywa?

– Ten, kto wróci bez odmrożeń?

Znów spojrzałam na nią z niedowierzaniem, starając się przezwyciężyć szczękanie zębów.

– To absurdalne.

– W chatce jest więcej alkoholu.

Żaden z uczestników bitwy nawet nas nie zauważył. Azriel wyskoczył na moment, posłał dwie śnieżki wysoko w górę i skrył się ponownie za swoim wałem.

Chwilę później potoczyło się ku nam warknięcie Rhysa:

– *Dupek*.

Każda sylaba przesiąknięta była śmiechem.

Mor wzięła mnie pod rękę.

– Nie sądzę, żeby twój towarzysz zwyciężył w tym roku, moja droga.

Kiedy brnęłyśmy przez sięgający kolan śnieg w stronę chatki, chętnie przylgnęłam do niej, chłonąc jej ciepło. Z komina buchał już dym, odcinając się wyraźnie na tle błękitnego nieba.

Faktycznie ilyryjskie dzidziusie.

Rozdział 19

Feyra

Zwyciężył Azriel.

Podobno było to jego sto dziewięćdziesiąte dziewiąte zwycięstwo.

Cała trójka dotarła do chatki godzinę później, zupełnie oblepiona śniegiem ze skórą zaczerwienioną od mrozu i roześmiana od ucha do ucha.

Mor i ja zwinięte razem pod kocem na kanapie tylko przewróciłyśmy oczami.

Rhys pocałował mnie w czubek głowy i obwieścił, że wszyscy trzej wybierają się do łaźni znajdującej się w wyłożonej cedrowym drewnem przybudówce, po czym sobie poszli.

Zamrugałam, kiedy znikali mi z oczu. Znaczenie jego słów powoli do mnie docierało. Obróciłam się w stronę Mor.

– Kolejna tradycja – wyjaśniła. Butelka z bursztynowym trunkiem była prawie pusta, a w głowie mi wirowało. – W zasadzie ilyryjski zwyczaj: podgrzewana szopa. Brzezina. Grupa nagich wojowników siedzących w rozgrzanej parze i pocących się.

Znów zamrugałam.

Usta Mor zadrgały.

– Szczerze powiedziawszy, to chyba jedyny dobry ilyryjski zwyczaj.

Parsknęłam.

– A więc cała trójka po prostu tam siedzi. Nago. Pocąc się.

Matko najwyższa.

„Masz ochotę rzucić okiem?” – rozległ się w moim umyśle mroczny pomruk.

„Zbereźnik. Wracaj do swojego pocenia się”.

„Spokojnie zmieściłaby się tu jeszcze jedna osoba”.

„Myślałam, że towarzysze są raczej terytorialni”.

Poczułam, jak się uśmiecha, zupełnie jakby jego usta dotykały mojej szyi.

„Zawsze chętnie dowiem się, co lubisz, droga Feyro”.

Rozejrzałam się po wnętrzu chatki, powierzchniach, które pomalowałam niemal rok temu.

„Miałam dostać swoją ścianę, Rhys”.

Przerwa. Długa przerwa.

„Brałem cię już opartą o ścianę”.

„Jedną z tych”.

Kolejna przerwa. Również długa.

„Nie jest w dobrym tonie za bardzo stawać na baczność w łaźni”.

Usta wygięły mi się w uśmiechu, kiedy posłałam mu obraz. Wspomnienie.

Mnie siedzącej na kuchennym stole, zaledwie kilka stóp dalej. Jego klęczącego przede mną z moimi nogami obejmującymi jego głowę.

„Okrutne, podłe stworzenie”.

Gdzieś z głębi chatki dobiegł nas odgłos trzaskających drzwi, a po nim charakterystyczny męski okrzyk. Później uderzenie… jakby ktoś próbował dostać się z powrotem do środka.

Oczy Mor zalśniły.

– Przez ciebie go wykopali, prawda?

Odpowiedziałam jej uśmiechem, który wywołał u niej salwę śmiechu.

***

Słońce zachodziło już za odległym morzem daleko za Velaris, kiedy stojący przed czarnym marmurowym kominkiem w salonie naszego miejskiego domu Rhys wzniósł w górę kieliszek wina.

Wszyscy – wreszcie przyodziani w odświętne stroje – podnieśliśmy nasze do wtóru.

Ja zdecydowałam się włożyć tę samą suknię, którą miałam na Święcie Spadających Gwiazd, tylko bez tiary. Zostawiłam jednak diamentowe bransolety. Mieniły się i lśniły, kiedy tak stałam obok Rhysa, wpatrując się w jego piękną twarz.

– Za błogosławioną ciemność, z której wszyscy się narodziliśmy i do której wszyscy powrócimy – powiedział.

Kielichy powędrowały do ust i spełniliśmy toast.

Zerknęłam na niego, na mojego towarzysza, odzianego dzisiaj w najwykwintniejszy kaftan, na którym wykonany srebrną nicią haft lśnił w blasku czarodziejskiego światła.

„To wszystko?”.

Uniósł pytająco brew.

„Chciałabyś, żebym dalej gadał, czy wolałabyś rozpocząć już świętowanie?”.

Usta mi zadrgały.

„Naprawdę potrafisz utrzymać swobodną atmosferę”.

„Nawet po całym tym czasie wciąż mi nie wierzysz”. Jego dłoń wsunęła się za mnie i uszczypnęła. Zagryzłam wargi, żeby powstrzymać się od śmiechu. „Mam nadzieję, że masz dla mnie naprawdę dobry prezent z okazji Przesilenia”.

Tym razem to ja uszczypnęłam jego, a on roześmiał się i pocałował mnie w skroń, po czym kocim ruchem wysunął się z pomieszczenia. Bez wątpienia poszedł po kolejne butelki wina.

Za oknami zapadł już zmrok. Była to wszak najdłuższa noc roku.

Dostrzegłam, że Elaina również wpatruje się w mrok. Wyglądała dziś pięknie w sukni barwy ametystu. Już miałam do niej podejść, gdy ktoś mnie ubiegł. Pieśniarz cieni, cały odziany na czarno, w strój nieco podobny do Rhysandowego – nienagannie skrojony i przystosowany do noszenia ze skrzydłami.

Wciąż miał swoje syfony na dłoniach i cienie snujące się za nim i wijące u jego stóp, ale poza tym nie było po nim znać wojownika. Zwłaszcza kiedy odezwał się łagodnie do mojej siostry:

– Wesołego Święta Przesilenia.

Elaina odwróciła się od padającego w ciemnościach śniegu i uśmiechnęła się lekko.

– Nigdy wcześniej nie brałam w żadnym udziału.

– Opowieści o nich są wysoce przesadzone – rzuciła Amrena siedząca po przeciwnej stronie pomieszczenia obok odzianego w pełne książęce regalia Variana.

Mor uśmiechnęła się półgębkiem.

– I to mówi ktoś, kto zwykle opuszcza świąteczną imprezę obładowany jak rozbójnik. Nie wiem, dlaczego dotychczas nikt nie próbował cię obrabować, biorąc pod uwagę, ile biżuterii miałaś zawsze upchane po kieszeniach.

Amrena błysnęła niemal zbyt białymi zębami.

– Uważaj, Morrigan, bo oddam te śliczności, które nabyłam dla ciebie.

Ku memu zdziwieniu Mor natychmiast umilkła.

Inni również, gdyż właśnie wrócił Rhys niosący…

– Nie, niemożliwe – wypaliłam.

Uśmiechnął się do mnie szeroko ponad trzypiętrowym tortem i płonącymi na nim

i rozświetlającymi jego twarz dwudziestoma jeden świeczkami.

Kasjan klepnął mnie po ramieniu.

– Myślałaś, że uda ci się nas utrzymać w niewiedzy, co?

Jęknęłam.

– Jesteście niemożliwi.

Nawet Elaina podpłynęła do mnie.

– Wszystkiego najlepszego, Feyro.

Moi przyjaciele – moja rodzina – zawtórowali jej słowom, a Rhys ustawił tort na niskim stoliku przy kominku. Spojrzałam na siostrę.

– Czy ty…

Skinęła głową.

– Ale dekoracje są dziełem Nuali – powiedziała.

Wtedy dostrzegłam, że każde z pięter zostało ozdobione tak, by odwzorowywało: górne – kwiaty, środkowe – płomienie, dolne zaś, najszersze… gwiazdy.

Ten sam wzór, który namalowałam niegdyś na komodzie w naszej rozpadającej się chatce. Po jednym dla każdej z nas – każdej z sióstr. Te gwiazdy i księżyc przesłane mi przez mojego towarzysza jeszcze na długo przed tym, jak się po raz pierwszy spotkaliśmy.

– Poprosiłam Nualę, żeby wykonała je w takiej właśnie kolejności – powiedziała Elaina, kiedy wszyscy zebrali się wokoło. – Ponieważ ty jesteś naszą opoką, to ty dźwigasz nas w górę. Zawsze tak było.

Słowa uwięzły mi w gardle, zdołałam więc tylko ścisnąć w odpowiedzi jej dłoń.

Na szczęście Mor, niech ją Kocioł błogosławi, krzyknęła:

– Wypowiedz życzenie i przejdźmy do prezentów!

Przynajmniej ta jedna tradycja nie zmieniała się po przekroczeniu muru.

Nad płonącymi świeczkami napotkałam spojrzenie Rhysa. Jego uśmiech wystarczył, by ściskanie w gardle przemieniło się w palenie w oczach.

„Czego będziesz sobie życzyła?”.

Proste, szczere pytanie.

Patrzyłam na niego, na tę piękną, swobodnie uśmiechniętą twarz. Tak wiele cieni zniknęło. Nasza rodzina zebrała się wokoło, przed nami rozpościerała się cała wieczność… Wówczas już wiedziałam.

Naprawdę wiedziałam, czego bym sobie życzyła, zupełnie jakby kawałek układanki Amreny wskoczył nagle na swoje miejsce albo jakby nici tkaczki wreszcie ukazały wykonywany obraz.

Jednak nie powiedziałam mu. Nie wówczas, gdy wzięłam głęboki wdech i zdmuchnęłam świeczki.

***

W Święto Przesilenia ciasto przed obiadem było całkowicie akceptowalne, jak mnie poinformował Rhys, kiedy odstawialiśmy talerzyki na wszystkie dostępne wokoło powierzchnie. Zwłaszcza przed prezentami.

– Jakimi prezentami? – spytałam, lustrując pomieszczenie, w którym poza dwoma pudełkami od Luciena żadnych prezentów nie było.

Pozostali wyszczerzyli zęby w uśmiechach. Rhys pstryknął palcami i…

– Och!

Okienny wykusz wypełniły kolorowo opakowane i ozdobione pudełka i torebki. Całe ich góry i stosy. Mor aż zapiszczała z radości.

Obróciłam się w stronę holu. Swoje zostawiłam w schowku na trzecim poziomie…

Ale nie. Były tutaj. Opakowane i ułożone w głębi niszy.

Rhys mrugnął do mnie.

– Pozwoliłem sobie dodać twoje prezenty do wspólnego stosu.

Uniosłam brwi.

– Wszyscy dali ci swoje prezenty?

– Tylko jemu można zaufać, że nie będzie podglądał – wyjaśniła Mor.

Spojrzałam na Azriela.

– Tak, nawet on – potwierdziła Amrena.

Pieśniarz cieni skrzywił się, a na jego twarzy odmalowało się poczucie winy.

– Mistrz szpiegów, pamiętasz?

– Zaczęliśmy to robić jakieś dwa stulecia temu – pośpieszyła z wyjaśnieniami Mor. – Po tym jak Rhys przyłapał Amrenę na intensywnym potrząsaniu pudełkiem w celu ustalenia, co może być w środku.

Amrena kląsknęła językiem, a ja się roześmiałam.

– Czego jednak nie dojrzał, to Kasjana myszkującego na kolanach zaledwie dziesięć minut wcześniej, *obwąchującego* uważnie każde pudełko.

Ilyr tylko rzucił jej leniwe spojrzenie.

– To nie ja zostałem przyłapany.

Zwróciłam się w stronę Rhysa.

– I w jakiś sposób *ty* wyszedłeś na najbardziej godnego zaufania?

Mój towarzysz sprawiał wrażenie głęboko urażonego.

– Jestem księciem tego Dworu, droga Feyro. Niewzruszony honor mam we krwi.

Obie z Mor parsknęłyśmy.

Amrena podeszła do znajdującej się najbliżej kupki prezentów.

– Ja zacznę.

– Pewnie, że tak – mruknął Varian, na co odpowiedziało mu kilka uśmiechów.

Czarnowłosa fae uśmiechnęła się do niego słodko, po czym podniosła pierwszy podarek. Książę Adriaty miał na tyle zdrowego rozsądku, żeby zadrżeć z tłumionego śmiechu dopiero, kiedy odwróciła już od niego wzrok.

Przeczytała zawieszkę doczepioną do opakowanej w różowy papier paczki i z przyjemnością go rozerwała.

Nikt nie mógł powstrzymać lekkiego wzdrygnięcia.

Widywałam drapieżniki wgryzające się w swoje ofiary z mniejszym zapałem. Ona jednak uśmiechnęła się promiennie i obróciła w stronę Azriela, trzymając w drobnych dłoniach wspaniałe perłowo-diamentowe kolczyki.

– Dziękuję, pieśniarzu cieni – powiedziała ze skinieniem głowy.

Azriel odpowiedział jej tym samym.

– Cieszę się, że pomyślnie przeszły inspekcję.

Kasjan przepchnął się obok Amreny, która syknęła na niego ostrzegawczo, po czym zaczął rozrzucać prezenty. Mor złapała swój z łatwością, rozdzierając papier z niemal takim samym entuzjazmem jak nasza najnowsza fae, po czym wyszczerzyła zęby w uśmiechu w stronę generała.

– Dziękuję, mój drogi.

Kasjan uśmiechnął się półgębkiem.

– Wiem, co lubisz.

Mor uniosła…

O mało się nie zadławiłam. Azriel również, przy czym on natychmiast obrócił się w stronę Kasjana.

Ten zaś tylko mrugnął do niego.

Z dłoni Mor zwisał wyjątkowo kusy zestaw czerwonej bielizny.

Zanim Azriel zdołał zapytać, co sądzimy, Mor zamruczała do siebie i powiedziała:

– Nie dajcie się nabrać, nie miał pojęcia, co mi kupić, więc otwarcie mnie o to zapytał. Dostał bardzo precyzyjne wytyczne. I jak widać, raz w swoim życiu wykonał polecenie co do słowa.

– A więc bezwzględnie idealny wojownik – wycedził Rhys.

Kasjan rozparł się na kanapie i wyciągnął długie nogi przed siebie.

– Nie martw się, Rhysiu, dla ciebie też jeden kupiłem.

– Chcesz, żeby ci się w nim pokazał?

Roześmiałam się i ze zdziwieniem usłyszałam, że wtóruje mi z drugiego końca pokoju jeszcze jeden śmiech. Elainy.

Jej prezent… Pośpieszyłam w stronę stosu, żeby wyłowić paczkę, którą tak starannie wczoraj opakowałam, zanim generał zdoła ponownie rzucić którymś z pakunków. Właśnie dojrzałam to, czego szukałam, za większym pudełkiem, kiedy to usłyszałam. Pukanie.

W zasadzie pojedyncze, szybkie i mocne stuknięcie.

Wiedziałam. Jeszcze zanim Rhys spojrzał na mnie, wiedziałam, kto stał za drzwiami.

Wszyscy wiedzieliśmy.

Zapadła cisza przerywana tylko trzaskaniem ognia na kominku.

Minęło jedno uderzenie serca, a ja już pędziłam przez korytarz z suknią powiewającą za mną, by otworzyć przeszklone drzwi i te ciężkie dębowe za nimi, a potem przygotowałam się na inwazję mrozu.

Oraz inwazję Nesty.

Rozdział 20

Feyra

Stałyśmy i przyglądałyśmy się sobie przez próg. Śnieg oblepiał włosy Nesty.

Policzki miała zaróżowione od mrozu, ale minę zachowywała poważną. Zimna jak oblodzony bruk.

Otworzyłam szerzej drzwi.

– Jesteśmy w salonie.

– Tak, widziałam.

Ostrożna, leniwa rozmowa niosła się aż do holu. Bez wątpienia pozostałych wiele kosztowało, by wielkodusznie dać nam chwilę na rozmowę w cztery oczy.

Kiedy Nesta wciąż stała na progu, wyciągnęłam ku niej rękę.

– Wejdź, wezmę twój płaszcz.

Starałam się nie wstrzymywać oddechu, kiedy spojrzała poza mnie w głąb domu. Jakby zastanawiała się, czy przestąpić ten próg.

Kątem oka dostrzegłam smugę złota i ametystu – Elaina.

– Rozchorujesz się, jeśli będziesz tak stała na zimnie – oburzyła się wesoło na Nestę, jednocześnie uśmiechając się szeroko. – Chodź, usiądź obok mnie przy ogniu.

Szaroniebieskie oczy nowo przybyłej napotkały moje. Ostrożne, oceniające sytuację.

Nie ugięłam się. Przytrzymałam otwarte drzwi.

Bez słowa przekroczyła próg.

Zdjęła płaszcz, szalik i rękawiczki. Pod spodem miała jedną z tych prostych, eleganckich sukni, które preferowała. Tym razem w odcieniu kamiennej szarości. Żadnej biżuterii. Oczywiście nie przyniosła też prezentów, ale przynajmniej przyszła.

Elaina wzięła ją pod rękę i poprowadziła do salonu. Poszłam za nimi, rzucając okiem na pozostałych zebranych, którzy nagle przerwali wykonywane czynności.

Przyjrzałam się uważnie Kasjanowi, który stał wraz z Azem przy ogniu.

Wydawał się całkowicie zrelaksowany, ramieniem wspierał się o rzeźbioną obudowę kominka, w dłoni trzymał puchar wina, a na jego twarzy gościł lekki uśmiech. Rzucił okiem w stronę mojej siostry, ale nie poruszył się nawet o cal.

Elaina z szerokim uśmiechem poprowadziła Nestę nie w stronę ognia, jak obiecała, ale w stronę barku.

– Nie prowadź jej w stronę trunków, tylko jadła – zawołała za nią Amrena ze swojego miejsca na fotelu. Wsuwała właśnie w uszy kolczyki, które podarował jej Az. – Nawet spod tej sukni widać chudy tyłek.

Nesta zatrzymała się w połowie pokoju i zesztywniała. Kasjan również zamarł.

Elaina także się zatrzymała, a uśmiech spełzł z jej ust.

Amrena tylko rzuciła im uśmieszek.

– Wesołego Święta Przesilenia, dziewczyno.

Nesta wpatrywała się w czarnowłosą… aż wreszcie jej twarz lekko się rozjaśniła.

– Ładne kolczyki.

Bardziej poczułam, niż zobaczyłam, jak wszyscy zebrani odetchnęli z ulgą.

– Właśnie zaczęliśmy rozdawanie prezentów – oznajmiła wesoło Elaina.

Kiedy to powiedziała, dotarło do mnie, że wśród tych wszystkich prezentów

najprawdopodobniej nie ma ani jednego dla Nesty.

– Jeszcze nie jedliśmy – próbowałam ratować sytuację, wciąż tkwiąc w wejściu do salonu. – Ale jeśli jesteś głodna, możemy nałożyć ci porcję…

Nesta przyjęła puchar wina, który Elaina wcisnęła jej do ręki. Nie omieszkałam zauważyć, że moja słodka siostra zwróciła się w stronę barku, nalała sobie nieco bursztynowego trunku i – krzywiąc się – wychyliła go jednym haustem, zanim znów obróciła się w stronę Nesty.

Lekkie prychnięcie Amreny powiedziało mi, że nie uszło to i jej uwadze.

Jednak uwagę Nesty przykuł obecnie stojący wciąż na stoliczku tort, teraz już dobrze napoczęty.

W milczeniu spojrzała mi w oczy.

– Wszystkiego najlepszego.

Podziękowałam jej skinieniem głowy.

– Elaina upiekła tort – powiadomiłam ją bezsensownie.

Nesta tylko skinęła głowa, po czym skierowała się w stronę krzesła stojącego w głębi pokoju, przy regałach z książkami.

– Możecie wrócić do swoich prezentów – powiedziała łagodnym, ale silnym głosem i usiadła.

Elaina rzuciła się w stronę pudełka na jednym ze stosów.

– Ten jest dla ciebie – powiedziała, spoglądając na siostrę.

Rzuciłam błagalne spojrzenia na Rhysa.

„Proszę, zacznij coś mówić. Błagam!”.

Część światła jakby przygasła w oczach mojego towarzysza, kiedy przyglądał się Neście, która spokojnie piła ze swojego kielicha. Nie przesłał mi żadnej odpowiedzi przez więź, ale zwrócił się do Variana:

– Czy Tarquin urządza na Dworze Lata bardziej oficjalne czy bardziej nieformalne obchody Święta Przesilenia?

Książę Adriaty natychmiast zrozumiał jego zamiar i rozpoczął może nawet trochę zbyt szczegółowy opis uroczystości, jakie odbywają się z okazji Święta Przesilenie Letniego. Pomyślałam, że muszę mu za to później podziękować.

W tym czasie Elaina dotarła do Nesty i wręczyła jej opakowane w ozdobny papier, wyglądające na dość ciężkie pudełko.

Przy oknie Mor również nie próżnowała i właśnie wręczała Azrielowi jego prezent.

Pozostałam przy drzwiach, nie mogąc się zdecydować, kogo wolę obserwować.

Pieśniarz cieni otworzył swój podarek, nie zmieniając postawy, i jego oczom ukazał się zestaw niebieskich ręczników z wyhaftowanymi jego inicjałami. Jaskrawo niebieskich.

Musiałam odwrócić głowę, żeby powstrzymać się od śmiechu. Trzeba przyznać Azowi, że uśmiechnął się do Mor w podziękowaniu. Wpatrywał się w nią intensywnie, aż jego policzki pokrył rumieniec. Musiałam spuścić wzrok; tę dwójkę przepełniało tyle pasji, tyle tęsknoty.

Jednak Mor szybko przecięła niezręczną sytuację i przeszła do wręczania prezentu Kasjanowi, który jednak po niego nie sięgnął. Wciąż wpatrywał się w Nestę, która powoli odwinęła brązowy papier, by wyjąć zestaw pięciu książek w skórzanym pudełku. Przeczytała tytuły i podniosła wzrok na Elainę.

Ta uśmiechnęła się.

– Byłam w księgarni. Wiesz, tej przy teatrze. Zapytałam, co by polecili i kobieta… znaczy: kobieta fae… powiedziała, że książki tej autorki są jej ulubionymi.

Przesunęłam się na tyle blisko, by móc przeczytać jeden z tytułów. Wyglądało to na jakiś romans.

Nesta wyjęła jedną z książek z pudełka i przekartkowała.

– Dziękuję.

Jej słowa zabrzmiały sucho, wręcz ponuro.

Kasjan wreszcie obrócił się w kierunku Mor i bezceremonialnie rozerwał opakowanie, nie zwracając uwagi na kunszt jego wykonania. Gdy zobaczył zawartość, zaśmiał się głośno.

– Dokładnie to zawsze chciałem mieć – powiedział i wyjął parę czerwonych jedwabnych bokserek. Idealnie pasujących do negliżu blondynki.

Ponieważ Nesta uparcie zajmowała się wyłącznie przeglądaniem swoich książek, podeszłam do podarków, które pakowałam poprzedniego dnia.

Dla Amreny, specjalnie zaprojektowany pojemnik do przenoszenia układanek. Żeby nie musiała zostawiać ich w domu, kiedy będzie odwiedzała inne, cieplejsze krainy. Zostało to skwitowane zarówno przewróceniem oczami, jak i uśmiechem.

Za to za srebrną broszę z rubinami wykonaną na kształt pierzastych skrzydeł dostałam rzadkiego całusa w policzek.

Dla Elainy, błękitną pelerynę z wycięciami na ręce, idealną do pracy w ogrodzie w chłodniejsze miesiące.

Zaś dla Kasjana, Azriela i Mor…

Stęknęłam, kiedy unosiłam trzy ozdobnie opakowane obrazy. Potem zaś czekałam z zapartym tchem, aż je rozpakują.

Obejrzeli je w milczeniu i się uśmiechnęli.

Nie miałam pojęcia, co innego mogłabym im podarować. Innego niż te obrazy, nad którymi pracowałam ostatnio – te strzępki ich historii.

Żadne z nich nie zdradziło, co znaczył dla nich obraz, co w nim zobaczyli. Ale każde pocałowało mnie w policzek w podziękowaniu.

Zanim zdołałam wręczyć Rhysowi jego prezent, na moich kolanach znalazł się stosik podarków.

Od Amreny − iluminowany manuskrypt, starożytny i piękny. Od Azriela − piękna farba o rzadkim kolorze pochodząca z kontynentu. Od Kasjana − porządna skórzana pochwa na miecz, którą można było zamocować na ilyryjską modłę wzdłuż kręgosłupa. Od Elainy − piękne szczotki z wygrawerowanymi na trzonkach monogramami i insygniami Dworu Nocy. Zaś od Mor − para wyłożonych flanelą kapci. Jaskraworóżowych wyłożonych flanelą kapci. Nic od Nesty, ale było mi to obojętne. Całkowicie obojętne.

Pozostali wymienili się prezentami i nadszedł wreszcie czas, by wręczyć Rhysowi ostatni obraz. Mój towarzysz stał cicho przy wykuszowym oknie z uśmiechem na ustach. W poprzednim roku obchodził Święto Przesilenia po raz pierwszy od czasu Amaranty; w tym roku po raz drugi. Nie chciałam wiedzieć, jak wówczas było, co ona mu zrobiła podczas tych czterdziestu dziewięciu Przesileń, które go ominęły.

Rhys ostrożnie odwinął prezent ode mnie, tak by inni go nie widzieli.

Obserwowałam, jak jego oczy przesuwają się po płótnie. Zadrgała mu grdyka.

– Powiedz mi, że to nie jest twój nowy pupil – odezwał się Kasjan, zaglądając nad moim ramieniem, by rzucić okiem.

Odepchnęłam go.

– Wścibski drań.

Twarz Rhysa pozostała poważna, ale kiedy na mnie spojrzał, w oczach pojawiły mu się gwiazdy.

– Dziękuję.

Pozostali zachowywali się nieco głośniej, żeby dać nam namiastkę prywatności w tym

zatłoczonym pokoju.

– Nie mam pojęcia, gdzie mógłbyś go powiesić, ale chciałam, żebyś go miał.

Żeby go zobaczył.

Ponieważ na tym obrazie pokazałam mu coś, czego nie ujawniłam nikomu innemu. To, co pokazał mi Uroboros – stwora czającego się wewnątrz mnie. Bestię pełną nienawiści i żalu, miłości i poświęcenia; stworzenie, które potrafi być zarówno okrutne, jak i dzielne, radosne i przepełnione żalem.

Dałam mu siebie – w takiej formie, w jakiej nikt mnie nigdy nie widział. I nikt poza nim by nie zrozumiał.

– Jest piękny – powiedział schrypniętym głosem.

Zamrugałam, żeby odegnać łzy, które cisnęły mi się do oczu, i nachyliłam się, by mógł mnie pocałować.

„Ty jesteś piękna” – wyszeptał przez naszą więź.

„Ty również”.

„Wiem”.

Roześmiałam się i odsunęłam od niego.

„Dupek”.

Wciąż pozostało kilka prezentów – te od Luciena. Otworzyłam mój. W środku były podarki zarówno dla mnie, jak i dla mojego towarzysza: trzy butelki wykwintnego trunku.

„Będziesz go potrzebowała” – głosiła doczepiona karteczka.

Wręczyłam Elainie małe pudełko z jej imieniem. Kiedy je otworzyła, uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Zaczarowane rękawice – przeczytała z karteczki. – Nie rozerwą się i nie pozwolą dłoniom się spocić podczas pracy w ogrodzie.

Odłożyła pudełko na bok, nawet nań nie patrząc. Zastanowiłam się wówczas, czy może ona właśnie woli mieć poranione i spocone dłonie, jakby brud i zadrapania były świadectwem jej pracy. Jej radości.

Amrena zapiszczała – autentycznie zapiszczała z radości, kiedy zobaczyła podarunek od Rhysa. W kilku pudełkach lśniły klejnoty. Jednak kiedy otworzyła prezent od Variana, radosny uśmiech złagodniał. Nie pokazała nam, co znajdowało się wewnątrz, ale uśmiechnęła się do niego czule.

Na stole przy oknie leżało jeszcze jedno niewielkie pudełko. Mor podniosła je i obróciła przywieszkę, by ją przeczytać.

– Az, to dla ciebie.

Pieśniarz cieni uniósł brwi i wyciągnął swoją pobliźnioną dłoń po prezent.

Elaina oderwała się na chwilę od rozmowy z Nestą.

– Och, to ode mnie.

Twarz Azriela nawet nie drgnęła. Nie uśmiechnął się również, kiedy otwierał pakunek, by wyjąć z niej…

– Poprosiłam Madję, by go dla mnie zrobiła – wyjaśniła Elaina. Pieśniarz cieni zmarszczył czoło na dźwięk imienia ulubionej uzdrowicielki rodziny. – To proszek do mieszania z napojem.

W pokoju zaległa cisza.

Moja młodsza siostra zagryzła wargę i uśmiechnęła się nieśmiało.

– To na bóle głowy, o które wszyscy wciąż cię przyprawiają. Ciągle widzę, jak masujesz sobie skronie.

Znów cisza.

Wreszcie Azriel odchylił głowę do tyłu i roześmiał się gromko.

Nigdy nie słyszałam podobnego dźwięku, tak głębokiego i radosnego. Rhys i Kasjan dołączyli do niego, przejmując szklaną buteleczkę i oglądając ją.

– Rewelacyjne – skomentował Kasjan.

Elaina uśmiechnęła się ponownie i pochyliła głowę.

Az zebrał się w sobie na tyle, by powiedzieć:

– Dziękuję. – Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby jego orzechowe oczy tak lśniły. Teraz dokładnie widać było w nich zielone drobiny wyglądające pomiędzy brązami i szarościami jak żyły szmaragdu. – Będzie nieoceniona.

– Dupek – rzucił Kas, ale zaraz ponownie się roześmiał.

Nesta przyglądała się wszystkiemu ostrożnie ze swojego krzesła. Na jej kolanach wciąż spoczywał prezent od Elainy – jedyny, jaki dostała. Zesztywniała lekko. Nie chodziło o to, jakie padły słowa, ale o to, że jej najmłodsza siostra się śmiała wraz z nimi. Z nami.

Wyglądało to tak, jakby Nesta patrzyła na nas wszystkich przez jakieś okno. Jakby wciąż stała na ulicy i przyglądała się wszystkiemu z zewnątrz.

Zmusiłam się do uśmiechu; do tego, by śmiać się z pozostałymi.

Miałam wrażenie, że Kasjan robi to samo.

***

Noc minęła w ferworze śmiechu i picia – nawet pomimo tego, że Nesta siedziała przy zastawionym przysmakami stole, niemal się nie odzywając.

Kiedy pierwsi biesiadnicy zaczęli ziewać, wybiła druga. Najpierw zebrali się Varian i Amrena. On objuczony wszystkimi prezentami, ona zaś otulona w gronostajowe futro – drugi prezent od ukochanego.

Z powrotem usiedliśmy w salonie, ale po półgodzinie Nesta wstała. Pożegnała się cicho z Elainą i pocałowała ją w czubek głowy, po czym skierowała się w stronę drzwi.

Siedzący na kanapie z Mor, Rhysem i Azem Kasjan nawet się nie ruszył.

Ja jednak podniosłam się i poszłam za nią do holu, gdzie wkładała już wierzchnie okrycie. Zaczekałam, aż się ubierze, i wyciągnęłam do niej rękę.

– Proszę.

Nesta obróciła się w moją stronę, a jej uwaga skupiła się na kawałku papieru, który trzymałam w dłoni.

Kwit bankowy na pokrycie kosztów wynajmu jej mieszkania. Z lekkim naddatkiem.

– Zgodnie z obietnicą – powiedziałam.

Przez chwilę miałam nadzieję, że go nie przyjmie. Że każe mi go podrzeć.

Jednak tylko zacisnęła usta i pewnym ruchem sięgnęła po papier.

Potem odwróciła się i wyszła, znikając w mroźnej ciemności ulicy.

Jeszcze chwilę stałam w holu z wyciągniętą ręką, wciąż czując pod palcami suchość papieru, na którym wypisany został kwit.

Deski podłogi zatrzeszczały za mną i nagle poczułam, jak ktoś mocno, choć łagodnie odsuwa mnie na bok. Wydarzyło się to tak szybko, że ledwie zarejestrowałam, że to Kasjan przemknął tuż obok mnie, po czym wybiegł na dwór.

Za moją siostrą.

Rozdział 21

Kasjan

Miał dość.

Dość chłodu i oschłości. Dość prostej jak ostrze miecza postawy i surowego spojrzenia, które w ostatnich miesiącach tylko dodatkowo się ochłodziło.

Kiedy Kasjan wybiegł w śnieżną noc, ledwie cokolwiek słyszał przez szum w głowie. Ledwie zarejestrował odsunięcie swojej księżnej z drogi, by dostać się do drzwi wejściowych. Do Nesty.

Ona zaś zdołała już dobrnąć do bramy pomimo oblodzonego bruku, krocząc z niewymowną gracją. Swoje nowe książki trzymała pod pachą.

Dopiero kiedy już do niej dopadł, zorientował się, że nie ma co jej powiedzieć. Nic, na co nie wybuchłaby mu śmiechem w twarz.

– Odprowadzę cię do domu – wydusił wreszcie.

Nesta zatrzymała się tuż za niską furtką. Twarz miała zimną i bladą jak światło księżyca.

Piękna. Nawet pomimo chudości, kiedy stała tam na śniegu, była w jego oczach równie piękna jak tamtego dnia, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy w domu jej ojca.

I nieskończenie bardziej niebezpieczna. Na tak wiele sposobów.

Obrzuciła go spojrzeniem.

– Nic mi nie będzie.

– To kawałek stąd, a jest już późno.

„A ty nie odezwałaś się do mnie ani słowem cały cholerny wieczór”.

Tego oczywiście jej nie powiedział.

Już w pierwszych dniach po bitwie dała jasno do zrozumienia, że nie chce mieć z nim nic wspólnego. Z żadnym z nich.

Rozumiał to. Naprawdę rozumiał. Jemu samemu zabrało miesiące – lata – by dojść do siebie po pierwszej bitwie. By sobie to wszystko przetrawić. Również z niego nawet dzisiaj nie opadły jeszcze całkiem emocje i wspomnienia walk z Hybernią.

Nesta uniosła głowę dumnie jak Ilyryjka. Tylko jeszcze bardziej zajadła.

– Wracaj do domu.

Kasjan rzucił jej krzywy uśmiech, o którym wiedział, że łatwo prowokuje wybuch jej słynnego już temperamentu.

– Myślę, że zaczerpnięcie świeżego powietrza dobrze mi zrobi.

Przewróciła oczami i ruszyła przed siebie. Generał nie był na tyle głupi, by zaoferować, że poniesie jej książki.

Zamiast tego bez trudu dotrzymywał jej kroku. Wprawnym okiem oceniał ulicę, szukając oblodzonych kamieni i zdradliwych tafli lodu. Ledwie przeżyli Hybernię. Nie chciał, żeby teraz skręciła sobie kark na prostej drodze.

Nesta wytrzymała jeszcze przejście przez cały kwartał domów o zielonych dachach, nadal rozbrzmiewających śmiechem i piosenkami, aż w końcu się zatrzymała i obróciła nagle.

– Idź do domu.

– Oczywiście – powiedział, posyłając jej szeroki uśmiech. – Zaraz po tym, jak odstawię cię pod drzwi twojego.

Do tej nory, którą nazywała mieszkaniem. Po drugiej stronie miasta.

Oczy Nesty – takie same jak Feyry, a jednak zupełnie inne, przenikliwe i zimne jak stal – powędrowały ku jego dłoniom. Ku temu, co się w nich znajdowało.

– Co to jest?

Znów uśmiechnął się szeroko i uniósł niewielką paczuszkę.

– Prezent na Przesilenie dla ciebie.

– Nie chcę żadnego.

Kasjan przeszedł obok niej, podrzucając paczuszkę w rękach.

– To zechcesz.

W głębi duszy modlił się, żeby jej się spodobało. Całe miesiące zajęło mu znalezienie tego.

Nie miał pewności, że ona dzisiaj przyjedzie. Oczywiście wiedział, że Feyra i Elaina ją namawiają. Podobnie jak wiedział o pieniądzach, które księżna wręczyła siostrze tuż przed jej wyjściem.

„Zgodnie z obietnicą”, tak powiedziała.

Wolałby, żeby tego nie mówiła. Wolałby wiele rzeczy.

Nesta podążyła za nim, dysząc nieco zmęczona próbami dotrzymania kroku jego długim susom.

– Niczego od ciebie nie chcę.

Zmusił się do uniesienia brwi.

– Jesteś tego pewna, kochanie?

„Nie żałuję w swoim życiu niczego oprócz tego. Że nie mieliśmy czasu”.

Kasjan wyparł z głowy te słowa. Wyparł obraz, który prześladował go w snach noc w noc: nie Nestę trzymającą w dłoniach jak trofeum głowę króla Hybernii; nie dziwacznie przekręconą w rękach wroga głowę jej ojca. Ale widok Nesty pochylającej się nad nim, nakrywającej jego ciało swoim, gotowej przyjąć na siebie cały impet gniewu króla. Gotowej umrzeć za niego – z nim. To smukłe, śliczne ciało wygięte nad nim drżące z przerażenia, gotowe spojrzeć w oczy końcowi.

Od miesięcy nie widział tamtej osoby. Nie widział jej uśmiechu, nie słyszał śmiechu.

Wiedział o piciu i mężczyznach. Wmawiał sobie, że go to nie obchodzi.

Wmawiał sobie, że nie chce wiedzieć, kim był ten drań, który zabrał jej dziewictwo. Wmawiał sobie, że nie chce wiedzieć, czy ci mężczyźni coś dla niej znaczyli – czy on coś znaczył.

Sam nie wiedział, dlaczego wciąż go to obchodzi. Dlaczego się przejmuje. Dlaczego w ogóle zaczął. Pomimo tego, że pewnego popołudnia w domu jej ojca kopnęła go w krocze.

Nawet mimo tego, że powiedziała teraz:

– Chyba jasno określiłam, czego chcę od ciebie.

Nigdy nie spotkał osoby, która umiałaby wyrazić tak wiele w tak niewielu słowach. W taki sposób położyć naciska na słówko „ciebie”, żeby zabrzmiało jak oczywista obelga.

Kasjan zacisnął szczękę i było już mu wszystko jedno.

– Zmęczony jestem tymi idiotycznymi gierkami – wypalił.

Nadal trzymała głowę wysoko; istne ucieleśnienie królewskiej pychy.

– Ja nie.

– Cóż, wszyscy wokół tak. Może w nowym roku spróbowałabyś postarać się odrobinkę bardziej – odparł prowokacyjnie.

Spojrzenie tych niesamowitych oczu przeniosło się na jego twarz i potrzebował nieco siły woli, żeby nie skapitulować.

– Postarać się?

– Tak, wiem, że to dla ciebie obce słowo.

Nesta zatrzymała się w dole ulicy, tuż nad brzegami lodowatej Sidry.

– Dlaczego miałabym starać się robić cokolwiek? – Błysnęła zębami. – Zostałam wciągnięta do tego świata, na ten Dwór.

– To odejdź gdzieś indziej.

Jej usta zacisnęły się wyzywająco.

– Może tak właśnie zrobię.

Jednak doskonale wiedział, że ona nie ma dokąd pójść. Bez pieniędzy i żadnej rodziny poza tą krainą.

– Pamiętaj, żeby wysyłać kartki.

Znów ruszyła, trzymając się rzeki. Kasjan poszedł za nią, nienawidząc siebie samego za to.

– Mogłabyś przynajmniej wrócić do domu – zaczął, ale ona odwróciła się nagle.

– Przestań – warknęła.

Zatrzymał się w pół kroku i rozłożył skrzydła, by złapać równowagę.

– *Przestań* za mną iść. *Przestań* próbować zaciągnąć mnie do tego waszego szczęśliwego kółeczka. *Przestań robić to wszystko!*

Kasjan umiał rozpoznać ranne zwierzę, kiedy miał je przed oczami. Wiedział, jak potrafi szczerzyć zęby, jak stara się pokazać swoją determinację. Jednak to nie powstrzymało go przed dodaniem:

– Twoje siostry cię kochają. Nie mam pojęcia, dlaczego, ale tak jest. Jeśli nie jesteś w stanie spróbować dla mojego szczęśliwego kółeczka, to przynajmniej spróbuj dla nich.

W jej oczach pojawiła się jakby pustka. Nieskończona, bezdenna otchłań.

W końcu odparła tylko:

– Idź do domu, Kasjanie.

Na palcach jednej ręki mógł policzyć okazje, kiedy zwróciła się do niego lub mówiła o nim po imieniu. Inaczej niż „ty” lub „on”.

Odwróciła się w stronę swojego mieszkania, jej ponurej części miasta.

Instynktownie chwycił ją za wolną rękę.

Jej rękawiczka otarła się o zgrubiałą skórę jego dłoni; nie puścił.

– Porozmawiaj ze mną, Nesto. Powiedz mi…

Wyrwała się z jego uścisku i spiorunowała go wzrokiem. Potężna, żądna zemsty królowa.

Czekał z zapartym tchem, kiedy rozpocznie się werbalny atak. Kiedy rzuci się, by rozerwać go na strzępy.

Jednak ona tylko patrzyła na niego, marszcząc nos. Patrzyła, a potem prychnęła – i ruszyła dalej.

Jakby nic nie znaczył. Jakby nie był wart jej czasu. Wysiłku. Nisko urodzony ilyryjski bękart.

Tym razem nie poszedł za nią dalej.

Patrzył tylko, aż stała się cieniem na tle ciemności, a potem całkiem zniknęła.

Stał, patrząc za nią, wciąż trzymając w dłoniach prezent dla niej. Bezwiednie wbijał palce w miękkie drewno niewielkiego pudełka.

Miał szczęście, że nikogo nie było na ulicach, kiedy cisnął pakunek do Sidry. Rzucił z taką siłą, że lód pękł, a plusk wody odbił się echem od otaczających rzekę budynków.

Utworzona przeręble prędko się zasklepiła, jakby i ona, i wrzucony prezent nigdy nie istniały.

***

Nesta

Nesta zamknęła czwarty i ostatni zamek w drzwiach mieszkania, po czym wsparła się o trzeszczące, próchniejące drewno.

Otaczała ją cisza, przyjemna i obezwładniająca.

Cisza kojąca drżenie, które towarzyszyło jej przez całą drogę przez miasto.

Podążył za nią.

Czuła to w kościach, we krwi. Trzymał się wysoko na niebie, ale podążał za nią, aż weszła do domu.

Wiedziała, że czeka teraz na dachu sąsiedniego budynku, by zobaczyć, jak zapala światło.

Ścierały się w niej dwa przeciwstawne instynkty: nie zapalać czarodziejskiego światła, niech tam sobie siedzi i czeka na mrozie, albo zapalić tę misę i pozbyć się jego obecności. Wszystkiego, co sobą reprezentował.

Wybrała to drugie.

W ciemnej, gęstej ciszy Nesta zatrzymała się przy stojącym w pobliżu drzwi stole. Wsunęła rękę do kieszeni i wyciągnęła złożony kwit bankowy.

Starczy na trzy miesiące wynajmu.

Starała się poczuć wstyd. Ale nie zdołała.

Nie czuła nic.

Czasem gniew. Ostry, palący gniew, który przeszywał ją na wskroś.

Ale przez większość czasu była tylko cisza.

Przenikliwa, dzwoniąca cisza.

Od miesięcy nic nie czuła. Bywały dni, kiedy nie bardzo wiedziała, gdzie była ani co robiła.

Czas mijał prędko, a jednocześnie niemiłosiernie się wlekł. Miesiąc za miesiącem. Ledwie mrugnęła okiem, a nastała zima. Kolejne mrugnięcie, a jej ciało wychudło. Stało się równie zapadłe, jak ona się czuła.

Mroźne nocne powietrze wślizgnęło się przez nieszczelne okiennice i wywołało u niej kolejny dreszcz. Mimo to nie rozpaliła w znajdującym się po przeciwnej stronie pokoju kominku. Nie była w stanie znieść trzasku ognia i strzelających iskier. Drażnił ją sam dźwięk.

Nie rozumiała, jak to możliwe, że nikt nigdy nie zauważył, że brzmi to jak pękające kości, jak skręcany kark?

Ani razu nie rozpaliła ognia w tym mieszkaniu. Zapewniała sobie ciepło, zakładając kolejne warstwy ubrań i okrywania się kolejnymi kocami.

Za oknem wiatr szalał i zawodził.

Nesta westchnęła ciężko i osunęła się po ścianie aż na podłogę.

Przyciągnęła kolana pod brodę i wpatrzyła się w ciemność.

Cisza wciąż ją osaczała i odbijała się echem wokół niej.

Wciąż nic nie czuła.

Rozdział 22

Feyra

Zanim wszyscy rozeszli się do łóżek, wybiła już trzecia. Kasjan wrócił cichy i ponury. Nim poszedł na górę, wypił jeszcze pełną szklankę alkoholu z pierwszej butelki z brzegu. Mor odprowadziła go zatroskanym spojrzeniem.

Azriel i Elaina pozostali w salonie. Ona pokazywała mu swoje plany powiększenia ogrodu z tyłu domu. Miała zamiar wykorzystać nasiona i narzędzia, które dzisiaj dostała. Nie miałam pojęcia, czy Aza w ogóle to interesuje, ale w duchu podziękowałam mu za jego dobre serce, po czym wymknęłam się z Rhysem na górę.

Sięgnęłam dłonią, by odpiąć diamentowe bransolety, ale Rhys powstrzymał mnie i objął dłońmi moje nadgarstki.

– Jeszcze nie – powiedział miękko.

Zmarszczyłam brwi.

On tylko się uśmiechnął.

– Zaczekaj chwilę.

Owinęły mnie ciemność i wiatr, przylgnęłam do niego, kiedy nas przeskoczył…

Światło świec, trzaskający ogień i kolory…

– Chatka w górach?

Musiał zmienić zaklęcia ochronne, żebyśmy mogli przeskoczyć prosto do środka.

Rhys uśmiechnął się szeroko, puścił mnie, po czym zatoczył się i padł na kanapę przed kominkiem, pozwalając by skrzydła ciągnęły się za nim po podłodze.

– Żeby dać nam trochę spokoju i ciszy, towarzyszko.

W jego gwiaździstych oczach widniała mroczna zmysłowa obietnica.

Przygryzłam wargę, podeszłam do wygiętej poręczy i przysiadłam na niej. Moja suknia lśniła w blasku ognia jak wody rzeki.

– Pięknie dzisiaj wyglądasz – zauważył niskim, chropawym głosem.

Wygładziłam dłonią materiał na kolanach. Tkanina mieniła się pod moimi palcami.

– Mówisz to co noc.

– I tak myślę.

Zarumieniłam się.

– Łotr.

Przechylił głowę.

– Wiem, że mówi się, że księżne zakładają codziennie nową suknię – powiedział nieco zamyślony – ale ja mam do tej bardzo duży sentyment.

Przesunął dłonią po moim udzie.

– Cieszę się.

– Nigdy nie powiedziałeś mi, skąd ją wziąłeś. Skąd wziąłeś wszystkie moje ulubione suknie.

Rhys uniósł ciemną brew.

– Nigdy tego nie rozgryzłaś?

Pokręciłam głową.

Przez chwilę nic nie mówił, a potem pochylił głowę, by bliżej przyjrzeć się sukni.

– Moja matka je uszyła.

Zamarłam.

Rhys uśmiechnął się smutno i przyjrzał mieniącej się tkaninie.

– W obozie, w którym się wychowała, była krawcową. Ale nie pracowała tylko dlatego, że jej kazano. Robiła to, bo to kochała. Kiedy związała się z moim ojcem więzią godową, nie przestała szyć.

Z namaszczeniem pogładziłam rękaw sukni.

– Nie… nie miałam pojęcia.

– Uszyła je dawno temu, kiedy byłem małym chłopcem. Wszystkie twoje obecne suknie. Wyprawę dla mojej przyszłej wybranki. – Grdyka mu się poruszyła. – Każda sztuka… Każda sztuka, którą ci dałem, wyszła spod jej rąk. Uszyła je dla ciebie.

Oczy mnie zapiekły.

Wzięłam głęboki wdech.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Wzruszył ramieniem.

– Pomyślałem, że może będzie ci… niezręcznie nosić stroje wykonane przez kobietę, która od kilku stuleci nie żyje.

Położyłam dłoń na sercu.

– To dla mnie zaszczyt, Rhys. Niewypowiedziany zaszczyt.

Usta mu zadrżały.

– Pokochałaby cię.

Był to dar dorównujący wszystkim innym, które dotąd otrzymałam. Nachyliłam się, aż zetknęliśmy się czołami.

„A ja pokochałabym ją”.

Kiedy tak siedzieliśmy przez długie minuty, dzieląc się oddechami, bez słów czułam jego wdzięczność.

Gdy wreszcie byłam w stanie coś z siebie wydusić, odsunęłam się nieco.

– Tak sobie myślałam…

– Powinienem się martwić?

Klepnęłam go po butach, a on zaniósł się głębokim, chrapliwym śmiechem, który przeniknął mnie na wskroś.

Pokazałam mu dłonie, na których miałam wytatuowane oczy.

– Chciałabym je zmienić.

– O?

– Skoro nie używasz ich już, by podglądać, co robię, stwierdziłam, że mogłabym zmienić je na coś innego.

Przycisnął dłoń do piersi.

– Nigdy nie podglądałem.

– Jesteś najbardziej wścibską osobą, jaką znam.

Znów śmiech.

– A co dokładnie chciałabyś mieć na dłoniach?

Uśmiechnęłam się do obrazów, które namalowałam na ścianach, na obudowie kominka, na stołach. Pomyślałam o gobelinie, który kupiłam.

– Chciałabym górę… z trzema gwiazdami. – Insygnia Dworu Nocy. – Takie same jak te, które masz na kolanach.

Rhys milczał przez dłuższą chwilę z całkowicie nieodgadnionym wyrazem twarzy. Kiedy zaś się odezwał, mówił bardzo cicho.

– Tych tatuaży nigdy już nie będzie można zmienić ani usunąć.

– To chyba dobrze się składa, że przez dłuższy czas zamierzam tu pozostać.

Rhys powoli usiadł i odpiął górę swojego dopasowanego czarnego kaftana.

– Jesteś tego pewna?

Powoli pokiwałam głową.

Przesunął się tak, by stanąć przede mną i ujął moje dłonie w swoje, po czym obrócił je wnętrzem do góry. Kocie oczy spojrzały na nas.

– Nigdy nie podglądałem, wiesz?

– Jestem pewna, że tak.

– No dobrze, zdarzało mi się. Wybaczysz mi?

Wiedziałam, że mówi poważnie; że martwi się, czy uznam to podglądanie za pogwałcenie prywatności. Uniosłam się na palce i pocałowałam go delikatnie.

– Myślę, że jestem w stanie się na to zdobyć.

– Hmm. – Musnął kciukami oczy wymalowane na moich dłoniach. – Jakieś ostatnie słowa, zanim oznakuję cię na wieki?

Serce waliło mi jak młotem, kiedy powiedziałam:

– Mam dla ciebie jeszcze ostatni prezent na Przesilenie.

Rhys zamarł na dźwięk miękkości i drżenia w moim głosie.

– Och?

Trzymaliśmy się za ręce, a ja pogładziłam adamantanowe mury jego umysłu. Bariera natychmiast opadła i wpuścił mnie do środka. Pozwolił mi pokazać sobie ten ostatni dar.

Przynajmniej miałam nadzieję, że będzie to dar również dla niego.

Czułam jak jego dłonie zaczynają drżeć, ale nic nie powiedział, póki nie powróciłam do swego umysłu. Póki nie zaczęliśmy się w siebie wpatrywać w milczeniu.

Jego oddech stał się chrapliwy, a w oczach pojawiły się srebrzyste obwódki.

– Jesteś tego pewna? – spytał.

Tak. Bardziej niż czegokolwiek wcześniej. Zrozumiałam to, zdałam sobie z tego sprawę w sklepie tkaczki.

– Czy to… Czy to naprawdę byłby dla ciebie dar? – odważyłam się spytać.

Zacisnął palce wokół moich.

– Ponad wszelką miarę.

Wówczas jakby w odpowiedzi światło wezbrało i popłynęło wzdłuż moich dłoni. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że znaki się zmieniły. Teraz środek każdej dłoni zdobiła góra i trzy gwiazdy.

Rhys wciąż wpatrywał się we mnie, oddychając nierówno.

– Możemy zaczekać – powiedział cicho, jakby nie chciał, by usłyszał nas padający na zewnątrz śnieg.

– Nie chcę – odparłam.

Naprawdę tak było.

To również pomogła mi zrozumieć tkaczka. A może po prostu jasno zobaczyć to, czego pragnęłam już od pewnego czasu.

– To może zająć lata – wymruczał.

– Umiem być cierpliwa. – Uniósł brew, a ja uśmiechnęłam się pojednawczo. – Mogę *postarać się* być cierpliwa.

Na widok jego uśmiechu mimowolnie go odwzajemniłam.

Pochylił się i złożył delikatny pocałunek na mojej szyi, tuż za uchem.

– Może więc zaczniemy dzisiaj, moja towarzyszko?

Palce stóp podwinęły mi się z niecierpliwości.

– Taki był plan.

– Mm. Wiesz jaki był mój plan?

Kolejny pocałunek, tym razem w zgięcie szyi, podczas gdy jego dłonie powędrowały na moje plecy i zaczęły odpinać zamaskowane guziczki sukni. Tej cennej, pięknej sukni. Odgięłam szyję by ułatwić mu dostęp, z czego skwapliwie skorzystał i zaczął pieścić językiem miejsce, które przez chwilą pocałował.

– Mój plan – ciągnął, zsuwając ze mnie suknię, która zaraz potem opadła na dywanik – zakładał wykorzystanie tej chatki i tej ściany.

Otworzyłam oczy właśnie w chwili, w której zaczął przesuwać dłonie wzdłuż moich obnażonych pleców. I niżej.

Rhys uśmiechał się do mnie, spod wpółprzymkniętych powiek podziwiając moje nagie ciało. Byłam zupełnie naga – jeśli nie liczyć tych diamentowych bransolet. Już chciałam je zdjąć, kiedy wymruczał:

– Zostaw je.

Żołądek ścisnął mi się w oczekiwaniu, a piersi zrobiły się boleśnie ciężkie.

Drżącymi palcami rozpięłam do końca jego kaftan i zdjęłam go wraz z koszulą. Potem przyszła kolej na spodnie.

Wtedy stał już przede mną nagi, z lekko rozłożonymi skrzydłami. Umięśniona pierś unosiła się ciężko. Nie zdołałby ukryć, jak bardzo był gotów.

– Chcesz zacząć przy ścianie, czy skończyć tam? – Ton jego głosu był gardłowy, ledwie go rozpoznawałam, a jego oczy błysnęły drapieżnie. Prześlizgnął zaborczym ruchem dłoni po moim ciele. – Czy też może chcesz cały czas być na ścianie?

Kolana się pode mną ugięły i nie potrafiłam znaleźć słów odpowiedzi. Wszystko poza nim przestało istnieć.

Rhys nie czekał na odpowiedź. Ukląkł przede mną tak, że jego skrzydła zakryły dywanik. Najpierw złożył pocałunek na moim łonie, jakby chciał je uhonorować i pobłogosławić. Potem przesunął się niżej.

Jeszcze niżej.

Wplotłam palce w jego włosy, podczas gdy on uniósł jedną z moich nóg i oparł sobie moje udo o ramię. Jakimś sposobem znalazłam się oparta o ścianę w pobliżu drzwi, zupełnie jakby nas tam przeskoczył. Gdy Rhys dotknął mnie ustami, z cichym stukiem oparłam głowę o drewno.

Nie śpieszył się.

Lizał i gładził, aż rozpadłam się na drobniutkie kawałki. Wówczas zaśmiał się mrocznie, aksamitnie i wstał wyprostowany.

Uniósł mnie w górę. Natychmiast owinęłam nogi wokół jego pasa, a on przycisnął mnie do ściany.

Jedną ręką wsparł się o nią, a drugą podtrzymywał mnie w górze. Spojrzał mi w oczy.

– To jak będzie, towarzyszko?

Przysięgłabym, że w jego oczach wirowały galaktyki, zaś w cieniach pomiędzy skrzydłami skrywały się wspaniałe głębie nocy.

– Tak mocno, żeby obrazy pospadały ze ścian – wydusiłam, z trudem łapiąc oddech.

Znów się roześmiał – nisko i przewrotnie.

– Trzymaj się więc dobrze.

Wielka Matko i Kotle, ratujcie mnie.

Zsunęłam dłonie na jego ramiona, wpijając palce w twarde mięśnie.

A on powoli, tak, powoli wszedł we mnie.

Czułam każdy jego cal, każdy skrawek łączącej nas skóry. Odchyliłam głowę, a z moich ust wyrwał się jęk.

– Za każdym razem – wykrztusił z siebie z trudem. – Za każdym razem uczucie jest równie rozkoszne.

Zacisnęłam zęby, starając się oddychać przez nos. Wsuwał się coraz głębiej, drobnymi krótkimi pchnięciami, pozwalając mojemu ciału dostosować się do całej jego pokaźnej długości.

A kiedy już wszedł we mnie do końca, kiedy jego dłoń zacisnęła się na moim biodrze, po prostu… przerwał.

Poruszyłam biodrami, desperacko poszukując tarcia. On jednak poruszał się wraz ze mną, nie dając mi go.

Przesunął językiem po całej długości mojej szyi.

– Cały czas myślę o tobie, o tym – wymruczał w moją skórę. – O tym, jak smakujesz.

Wysunął się lekko – po czym gwałtownie pchnął. Dyszałam ciężko, wspierając głowę o twarde drewno za moimi plecami.

Rhys wydał z siebie odgłos aprobaty i ponownie nieco się wysunął. Potem zaś pchnął. Mocno.

Na ścianie po mojej lewej coś zagrzechotało.

Było mi wszystko jedno. Kiedy Rhys po raz kolejny wstrzymał ruch, nie obchodziło mnie już, czy naprawdę wszystkie obrazy pospadają ze ścian.

– Ale głównie myślę o tym. Jakie to uczucie być w tobie, Feyro. – Wchodził we mnie cudownie i bez spoczynku. – O twoim smaku na moim języku. – Wbiłam paznokcie w jego szerokie ramiona. – Że nawet po tysiącu lat razem nigdy nie znużę się tym.

Czułam, jak rozkosz zaczyna zbierać się wzdłuż kręgosłupa, odcinając wszelkie dźwięki i doznania poza tymi miejscami, w których nasze ciała się stykały.

Kolejne pchnięcie, dłuższe i mocniejsze. Drewno zaskrzypiało pod jego dłonią.

Opuścił głowę do mojej piersi i przygryzł – przygryzł, a potem polizał, łagodząc ból, co posłało iskrę przyjemności po całym moim ciele.

– O tym, jak pozwalasz mi robić sobie takie niegrzeczne, straszne rzeczy.

Jego głos był jak pieszczota sprawiająca, że moje biodra bezwiednie poruszały się, błagając go, by przyśpieszył.

On tylko zaśmiał się miękko i okrutnie, odmawiając mi tej dzikiej, bezmiernej radości złączenia ciał, którego pragnęłam.

Otworzyłam oczy na dość długo, by spojrzeć w dół, na miejsce, gdzie we mnie wchodził, gdzie widziałam, jak się powoli wsuwa i wysuwa, tak nieznośnie powoli.

– Lubisz patrzeć? – szepnął. – Patrzeć, jak poruszam się w tobie?

W odpowiedzi bez słów wystrzeliłam wzdłuż mostu łączącego nasze umysły i otarłam się o adamantowe mury.

Natychmiast mnie wpuścił i teraz również nasze umysły i dusze się połączyły. A potem patrzyłam przez jego oczy – patrzyłam na siebie samą, kiedy trzymał mnie mocno i pchał.

„Spójrz, jak cię pieprzę, Feyro” – zamruczał.

„Bogowie”. Tyle tylko byłam w stanie z siebie wydusić.

Mentalne dłonie pieściły mój umysł, moją duszę.

„Spójrz, jak idealnie do siebie pasujemy”.

Moje zaróżowione ciało, przyciśnięte do ściany i wygięte w łuk – dokładnie tak, by go przyjąć, by wchłonąć każdy jego cal.

„Widzisz teraz, dlaczego nie mogę przestać o tym myśleć, myśleć o tobie?”.

Znów wysunął się i pchnął, jednocześnie spuszczając swoją moc z uwięzi. Ogarnęła nas

słodka ciemność, gwiazdy zatańczyły wokół nas. Jakbyśmy byli jedynymi duszami w całej galaktyce. Rhys pozostał nieruchomo przede mną z moimi nogami wciąż owiniętymi wokół jego pasa.

Teraz ja pogładziłam go mentalnymi dłońmi i spytałam szeptem:

„Czy tu też możesz mnie pieprzyć?”.

Jego szelmowska rozkosz zamarła. Ucichła.

Gwiazdy i ciemność również jakby się zatrzymały.

Wówczas odpowiedział mi drapieżnik doskonały.

„Z przyjemnością”.

Nie mam słów, by opisać, co się działo potem.

Dał mi wszystko, czego pragnęłam: nieokiełznane pchnięcia wewnątrz mnie, bezustanne wypełniające mnie ruchy, klaśnięcia skóry o skórę, nasze ciała uderzające o drewno. Noc śpiewała wokół nas, a gwiazdy wirowały jak płatki śniegu.

I oto byliśmy. Umysł przy umyśle na pomoście łączącym nasze dusze.

Nie mieliśmy tam ciał, a jednak czułam, jak mnie uwodzi, jak jego mroczna moc owija się wokół mnie, jak liże moje płomienie, jak ssie lód, jak drapie swoimi pazurami o moje.

Czułam, jak jego moc zlewa się z moją i łączy, rozmywa się i na powrót płynie, tam i z powrotem, aż wreszcie moja magia zerwała tamę i dopadła go, aż oboje szaleliśmy i płonęliśmy razem.

Przez cały ten czas poruszał się we mnie, bezustannie jak morskie pływy. Wciąż i znowu, moc, ciało i dusza, aż wreszcie zaczęłam krzyczeć, on zaś zaryczał i moje śmiertelne ciało ścisnęło się wokół niego i rozpadło.

Wszystko, czym byłam, rozpierzchło się i przeistoczyło w gwiazdy, galaktyki i komety; w czystą, jaśniejącą radość. Rhys trzymał mnie, obejmował, jego ciemność pochłaniała światło, które skrzyło i lśniło, trzymał mnie w całości, powstrzymując przed całkowitym rozsypaniem.

Kiedy wreszcie mój umysł był w stanie formować słowa, kiedy na powrót byłam zdolna poczuć jego esencję otaczająca mnie i jego ciało wciąż poruszające się we mnie, wówczas jeszcze jeden, ostatni raz posłałam mu w ciemność i gwiazdy ten obraz – mój dar.

Być może kiedyś – nasz dar.

Rhys wytrysnął we mnie z rykiem, a jego skrzydła bezwiednie się rozpostarły.

W naszych umysłach, wzdłuż naszej więzi, wezbrała jego moc, jego dusza otarła się o moją, wypełniając każdy jej zakamarek tak, że nie pozostała ani jedna część mnie, która nie byłaby pełna jego, która nie wzbierałaby jego ciemną, wspaniała esencją i niegasnącą miłością.

Pozostał tak zagłębiony we mnie, opierając się ciężko o ścianę i dysząc w moją szyję: „Feyro-Feyro-Feyro”.

Dygotał. Oboje dygotaliśmy.

Opanowałam się na tyle, by otworzyć oczy.

Twarz miał zmienioną. Oczarowaną. Z rozchylonymi na wpół ustami wpatrywał się we mnie, wciąż lekko świecącą, jaśniejącą na tle jego rozgwieżdżonych cieni.

Przez dobre kilka chwil tylko na siebie patrzyliśmy. Tylko oddychaliśmy.

Potem zaś Rhys rzucił okiem w bok, by ocenić skalę zniszczeń.

Na jego ustach pojawił się szelmowski uśmiech. Pozbieraliśmy obrazy, które naprawdę pospadały ze ścian i połamały o podłogę ramy. Stojąca na pobliskim stoliczku waza również została zrzucona i roztrzaskała się na mnóstwo małych błękitnych kawałeczków.

Pocałował mnie za uchem.

– Wiesz, że to zostanie odjęte od twojej pensji.

Obróciłam głowę w jego stronę i puściłam jego ramiona, żeby pstryknąć go w nos. On

tylko roześmiał się i musnął ustami moją skroń.

Ja jednak wpatrywałam się w ślady, jakie zostawiłam na jego skórze, choć te już bledły. Przesunęłam wzrokiem po tatuażach na jego piersi i ramionach. Nawet wieczność z farbami i płótnem nie starczy, by uchwycić każdy aspekt jego ciała. Każdy aspekt nas.

Na powrót podniosłam oczy i znalazłam ciemność i gwiazdy już czekające na mnie. Znalazłam w nich czekający na mnie *dom*.

Nigdy nie miałam dość. Dość malowania go i odkrywania. Tysiąclecia nie starczyłyby na to, co chciałam zrobić, co chciałam z nim zobaczyć. Na wszystkie sposoby, w jakie chciałam go kochać.

Przede mną zalśnił obraz: *Tryumfująca noc i wieczne gwiazdy*.

– Zrób to jeszcze raz – szepnęłam chropawym głosem.

Rhys od razu wiedział, o czym mówię.

Nigdy wcześniej nie byłam tak zadowolona z posiadanie fae za towarzysza, jako że zaledwie uderzenie serca później znowu stwardniał, opuścił mnie na podłogę, obrócił na brzuch i wszedł we mnie głęboko z głośnym pomrukiem.

Kiedy zaś opadliśmy bez sił na dywanik, ledwie omijając rozbite obrazy i odłamki wazy, przez dłuższy czas nie byliśmy w stanie się ruszyć, a obraz mojego daru pozostał między nami, lśniąc i błyszcząc jak gwiazda.

Ten piękny ciemnowłosy, fiołkowooki chłopiec, którego onegdaj pokazał mi Rzeźbiący w Kościach.

Obietnica na przyszłość.

***

Kiedy wróciliśmy nad ranem, Velaris wciąż spało. W przedświcie miasto spowijała mgła.

Jednak Rhys nie zabrał nas do miejskiego domu, tylko do posiadłości nad rzeką. Budynek leżał w gruzach, a ogród kompletnie zarósł.

Wszystko, co wczoraj powiedzieliśmy i zrobiliśmy, płynęło między nami, niewidzialne i trwałe, jak nasza więź godowa. On nie zażył podczas śniadania swojego toniku antykoncepcyjnego i jeszcze przez długi czas nie będzie tego robił.

– Nigdy nie spytałaś o swój prezent na Przesilenie – odezwał się po chwili Rhys, kiedy z chrzęstem żwiru pod stopami szliśmy alejką wzdłuż Sidry.

Uniosłam głowę, którą do tej pory opierałam o jego ramię.

– Założyłam, że będziesz chciał wyjawić to w jakiś efektowny sposób.

– W sumie tak było. – Zatrzymał się, więc i ja przystanęłam obok niego, a wówczas on zwrócił się w stronę leżących za nami ruin. – To.

Zamrugałam i spojrzałam najpierw na niego, a potem na posiadłość.

– To?

– Możesz uznać to za prezent zarówno na Przesilenie, jak i na urodziny. – Wskazał dłonią na dom, ogród i opadający ku brzegom rzeki teren. – Jest twoja. Nasza. Kupiłem ją w wigilię Przesilenia. Za dwa dni pojawią się tu robotnicy, zaczną oczyszczać teren z gruzu i rozbiorą resztę budynku.

Znów zamrugałam, tym razem dłużej.

– Kupiłeś mi posiadłość.

– Zasadniczo to będzie to nasza posiadłość, ale dom jest twój. Zbuduj go takim, jaki chcesz. Wszystko, czego byś chciała, czego potrzebujesz: zbuduj to.

Cena za taki prezent musiała być astronomiczna.

– Rhys…

Zrobił kilka kroków, przeczesał dłońmi swoje czarnoniebieskie włosy. Skrzydła miał ciasno zwinięte za plecami.

– W miejskim domu nie ma na nic miejsca. Ledwie jesteśmy w stanie pomieścić nasze rzeczy w sypialni. Nikt zaś nie ma ochoty przebywać w Domu Wiatru. – Ponownie wskazał majaczącą za nami wspaniałą posiadłość. – Zbuduj więc dla nas dom, Feyro. Możesz zrobić cokolwiek, co sobie wymarzysz. Należy do ciebie.

Brakowało mi słów, uczucia kłębiły się we mnie szaleńczo.

– To… sam koszt…

– Nie martw się kosztami.

– Ale… – Zapatrzyłam się na senny, zarośnięty teren, na zrujnowany dom. Wyobraziłam sobie, co by tu mogło być. Kolana się pode mną ugięły. – Rhys… to za wiele.

Jego twarz nagle spoważniała.

– Nie dla ciebie. Nigdy dla ciebie. – Objął mnie w pasie i pocałował skroń. – Zbuduj dom z pracownią malarską. – Ucałował drugą skroń. – Zbuduj dom z gabinetami dla siebie i dla mnie. Zbuduj dom z wanną na tyle dużą, by pomieściła dwoje… plus skrzydła. – Kolejny całus, tym razem w policzek. – Zbuduj dom z pokojami dla całej naszej rodziny. – Całus w drugi policzek. – Zbuduj dom z ogrodem dla Elainy, areną treningową dla ilyryjskich dzidziusiów, biblioteką dla Amreny i ogromną garderobą dla Mor. – Na wpół zakrztusiłam się ze śmiechu na te słowa. Ale Rhys uciszył mnie, zamykając mi usta długim, słodkim pocałunkiem. – Zbuduj dom z pokojem dziecinnym, Feyro.

Serce ścisnęło mi się niemal do bólu i odwzajemniłam pocałunek. Potem ponownie go pocałowałam. I znowu. Staliśmy przed rozciągającą się nad rzeką posiadłością i trwaliśmy w pocałunku.

– Zbuduję – obiecałam.

Rozdział 23

Rhysand

Seks rozłożył mnie na czynniki pierwsze.

Całkowicie mnie zniszczył.

Jeśli były we mnie jeszcze jakieś strzępy duszy, które nie należały do niej, tej nocy ostatecznie się poddały.

Zaś jej mina, kiedy pokazałem jej nadrzeczną posiadłość… Kiedy pukałem do spękanych wrót dworzyszcza Tamlina, wciąż miałem przed oczami jej rozświetloną twarz tuż przy mojej.

Nikt nie odpowiedział.

Poczekałem minutę. Dwie.

Posłałem smugę mocy, przeszukując dom, starając się coś wyczuć, na wpół obawiając się, co mogę znaleźć.

Ale jednak znalazłem go poziom niżej, w kuchniach. Żywego.

Pozwoliłem sobie zakraść się do środka. Moje kroki odbijały się echem od spękanej marmurowej posadzki. Nawet nie starałem się ich wyciszać. On i tak zapewne wyczuł moje przybycie w chwili, w której przeskoczyłem na jego próg.

W kilka minut byłem już na dole.

Jednak nic nie przygotowało mnie na to, co zastałem.

Ciemnawe pomieszczenie rozjaśniało jedynie mdłe światło wpadające przez niewielkie okienka. Na długim, stojącym pośrodku stole roboczym leżał martwy, przeszyty strzałą, wielki łoś. Krew z rany na gardle zbierała się w kałużę na szarej kamiennej podłodze. Jednostajne kapanie, było jedynym dźwiękiem w zalegającej tu ciszy. Na krześle przed zwierzyną, wpatrując się w nią nieruchomo, siedział Tamlin.

– Obiad ci cieknie – rzuciłem zamiast przywitania, wskazując głową kałużę krwi na posadzce.

Brak odpowiedzi. Książę Dworu Wiosny nawet nie podniósł głowy, by na mnie spojrzeć.

„Twój towarzysz powinien wiedzieć, że nie należy kopać leżącego”.

Słowa Luciena skierowane do Feyry wciąż odbijały się echem w mojej głowie. Być może właśnie one skłoniły mnie do zostawienia mojej towarzyszki napawającej się wspaniałością otrzymanych od Azriela farb i przeskoczenia tutaj.

Przyjrzałem się potężnemu zwierzęciu. Jego oczy były otwarte i zaszklone. W drewnie obok rogatej głowy tkwił wbity nóż myśliwski.

Wciąż jednak ani śladu reakcji ze strony gospodarza. Cóż, niech i tak będzie.

– Rozmawiałem z Varianem, księciem Adriaty – odezwałem się, stając po drugiej stronie stołu, przez co poroże łosia wznosiło się pomiędzy nami niczym cierniowy żywopłot. – Chciałem, żeby Tarquin wysłał wojsko do patrolowania twojej granicy. – Zrobiłem to ledwie zeszłego wieczoru, kiedy odciągnąłem Variana na bok podczas obiadu. Zgodził się chętnie i przyrzekł, że to załatwi. – Powinni być tu w kilka dni.

Nadal żadnej reakcji.

– Czy zgadzasz się na to?

Tradycyjnie Dwory Pór Roku zawsze były sojusznikami – aż do właśnie zakończonej wojny.

Tamlin powoli uniósł głowę. Jego długie włosy zwisały, teraz matowe i bez życia.

– Sądzisz, że ona mi wybaczy?

Pytanie zostało bardziej wychrypiane, niż powiedziane. Jakby Tamlin ochrypł od krzyku.

Wiedziałem, o kogo mu chodzi. I nie znałem odpowiedzi. Nie wiedziałem, czy to, że życzyła mu szczęścia, oznaczało, że mu wybaczyła. Czy kiedykolwiek będzie mu w stanie wybaczyć. Przebaczenie może być darem dla obu stron, ale po tym, co zrobił…

– Chciałbyś tego?

Jego zielone oczy pozostały puste.

– Czy na to zasługuję?

Nie. Nigdy.

Musiał wyczytać odpowiedź z mojej twarzy, ponieważ pytał dalej:

– Czy ty mi wybaczyłeś… za twoją matkę i siostrę?

– Nie przypominam sobie, żebym usłyszał przeprosiny.

Jakby przeprosiny mogły to zmazać. Jakby przeprosiny mogły kiedykolwiek złagodzić zjadające mnie wciąż od środka poczucie straty; zasklepić wyrwę, która ziała w miejscu, gdzie wcześniej istniały cudowne, świetliste żywoty.

– Nie sądzę, żeby przeprosiny mogły tu cokolwiek zmienić – powiedział Tamlin, na powrót wbijając wzrok w łosia. – Dla któregokolwiek z was.

Złamany, kompletnie złamany.

„Zanim pył opadnie, będziecie potrzebowali Tamlina jako sojusznika”. Tak Lucien ostrzegł moją towarzyszkę. Być może również to przyczyniło się do mojej decyzji, by tu przybyć.

Machnąłem ręką i magicznie zdjąłem z łosia skórę, która osunęła się na posadzkę z mokrym plaśnięciem i szmerem sierści. Kolejna fala mocy oddzieliła z jego boków płaty mięsa i poniosła je w stronę ciemnego pieca, w którym natychmiast zapłonął ogień.

– Zjedz, Tamlinie – powiedziałem.

Nie zareagował nawet mrugnięciem.

To nie było przebaczenie… nie była to też wielkoduszność. Nie byłem w stanie, nie starałem się nawet zapomnieć tego, co zrobił moim ukochanym.

Ale było Przesilenie – no, wczoraj. I może po części dlatego, że Feyra dała mi dar większy, niż mógłbym marzyć, powiedziałem:

– Możesz się nad sobą użalać i umrzeć, kiedy już doprowadzimy ten nasz nowy świat do porządku.

Jeszcze jedna fala mocy posłała żeliwną patelnię na rozgrzany już piec i wrzuciła na nią płat mięsa.

– Zjedz, Tamlinie – powtórzyłem, po czym zniknąłem w porywie ciemnego wichru.

Rozdział 24

Morrigan

Skłamała Feyrze.

Tak jakby.

Naprawdę zamierzała wybrać się na Dwór Zimy. Tylko nie tak szybko, jak powiedziała. Przynajmniej Viviane wiedziała, kiedy naprawdę się jej spodziewać. Chociaż od miesięcy wymieniały listy, Mor wciąż nie powiedziała swojej przyjaciółce, gdzie będzie pomiędzy Przesileniem spędzanym w Velaris a odwiedzinami w górskim domu Kalliasa.

Nie lubiła mówić ludziom o tym miejscu. Nigdy o nim nikomu nie wspomniała.

Teraz, kiedy siedziała na mocnym, ciepłym grzbiecie swojej klaczy Ellii i galopowała po ośnieżonych wzgórzach, przypomniała sobie dlaczego.

Poranne mgły wisiały pomiędzy wzniesieniami i dolinkami rozległej posiadłości. Jej posiadłości. Możnolasu.

Kupiła ją trzysta lat temu, pragnąc ciszy i spokoju. Zatrzymała zaś z powodu koni.

Ellia pokonywała wzgórza z niesamowitą gracją, mknąc prędko niczym zachodni wiatr.

Mor jako dziecko nie uczyła się jeździć konno. Po co, kiedy przeskakiwanie było o wiele szybsze?

Jednak nie czuło się wtedy efektu podróżowania. Pójścia, pobiegnięcia, popędzenia w inne miejsce. Wystarczyło, że chciała się gdzieś przemieścić.

Konie jednak… Mor czuła każdą piędź ziemi, którą pokonywały. Czuła wiatr, zapach wzgórz i śniegu, widziała też po lewej stronie mijany właśnie gęsty las.

Żywa. Kiedy jeździła konno, czuła się żywa, a nawet coś więcej.

Kiedy kupiła Możnolas, stała się jednocześnie właścicielką sześciu koni, którymi znudził się poprzedni właściciel. Każdy z nich był przedstawicielem rzadkiej, pożądanej rasy. Warte były drugie tyle co sama posiadłość i trzysta akrów dzikich lasów na północny zachód od Velaris. Kraina łagodnych wzgórz i szemrzących strumyków, prastarych puszcz i bijących o brzeg morskich fal.

Nie lubiła długo przebywać sama – nie mogła tego znieść. Ale kilka dni tu czy tam było wręcz konieczne dla jej równowagi duchowej. Zaś przejażdżka na grzbiecie Ellii była równie odświeżająca co cały dzień wygrzewania się w słońcu.

Zatrzymała klacz na szczycie jednego z wyższych wzgórz, pozwalając jej odpocząć, choć ta chętnie biegłaby dalej. Taki już miała charakter, że gotowa była pędzić i pędzić aż do utraty tchu – nigdy nie była tak łagodna, jak chcieliby tego jej opiekunowie. Mor kochała ją za to jeszcze mocniej.

Zawsze pociągały ją nieokiełznane, dzikie natury.

Obie oddychały teraz ciężko. Blondynka obserwowała wzgórza i szare niebo. W ilyryjskiej skórzni, dodatkowo rozgrzana jazdą, czuła ogarniające ją przyjemne ciepło. Popołudnie spędzone przy kominku z książką z obszernej biblioteki Możnolasu, suty obiad i wczesne udanie się na spoczynek były wymarzonym sposobem spędzenia reszty dnia.

Wydawało jej się, że kontynent był daleko stąd, a z nim prośba Rhysa. Udać się tam, bawić się w szpiega, damę dworu i ambasadorkę. Zobaczyć te od dawna zamknięte królestwa, gdzie niegdyś zamieszkiwali jej przyjaciele… Tak, nie mogła zaprzeczyć, że jej krew aż grała na myśl o tej przygodzie. „Leć tak daleko, jak możesz. Leć na skrzydłach wiatru”.

Jednak opuścić miasto w takiej chwili? Pozwolić Keirowi wierzyć, że to on zmusił ją do ucieczki swoimi układami z Erisem…

„Tchórz. Żałosny tchórz”.

Wyparła ze swojego umysłu syczący głos i pogładziła śnieżnobiałą grzywę Ellii.

Nie wspomniała o tym podczas ostatnich kilku dni w Velaris. Chciała podjąć decyzję sama i rozumiała, że taka wiadomość położyłaby się cieniem na radosnych obchodach Przesilenia.

Wiedziała, że Azriel byłby przeciwny, że chciałby ją chronić. Jak zawsze. Kasjan byłby za, podobnie Amrena, z kolei Feyra martwiłaby się, ale by się zgodziła. Az byłby wściekły i jeszcze bardziej zamknąłby się w sobie.

Nie chciała odbierać mu radości. Jeszcze więcej niż do tej pory.

Ale prędzej czy później będzie musiała im powiedzieć, niezależnie od tego, co zdecydowała.

Nagle Ellia położyła uszy po sobie.

Mor zamarła i skierowała wzrok w stronę, w którą spoglądała klacz.

W kierunku kępy drzew po lewej stronie, z tej odległości przypominającej najwyżej zarośla.

Pogładziła szyję klaczy.

– Spokojnie – wyszeptała łagodnie. – Spokojnie.

Nawet w tych lasach potrafiły się czaić pradawne potwory. Jednak Mor nic nie widziała, niczego nie czuła. Smużka mocy, którą posłała w stronę drzew, odnalazła tylko ptaki, małe zwierzęta i jelenia pijącego z przerębli na strumieniu.

Nic, oprócz…

Tam, pomiędzy splątanymi cierniami. Plama ciemności.

Nie poruszała się, zdawała się tylko tam siedzieć. I obserwować.

Zdawała się jakby znajoma, a jednak obca.

Coś w jej mocy podszepnęło jej, by zostawić to w spokoju i nie ruszać tego. Nawet z tej odległości.

Mor usłuchała.

Jednak nie przestała obserwować tej ciemności pomiędzy cierniami, wyglądającej, jakby zasnął tam cień.

Jednak nie taki cień, jak te Azriela, wijące się i szepczące.

Zupełnie inny.

Coś, co wpatrywało się w nią i ją obserwowało.

Lepiej zostawić to w spokoju. Zwłaszcza że w domu czekał na nią trzaskający w kominku ogień i puchar wina.

– Wróćmy krótszą drogą – szepnęła do Ellii, klepiąc ją po szyi.

Klacz nie potrzebowała dalszej zachęty. Rzuciła się galopem, byle tylko dalej od tego lasku i jego cienistego obserwatora.

Pędziły tak przez wzgórza, aż drzewa skryły się we mgle za nimi.

Co jeszcze mogła zobaczyć, czego doświadczyć tu, w krainie, której od tysiącleci nie odwiedził nikt z Dworu Nocy?

Pytanie zawisło nad nią, podczas gdy Ellia pędziła, uderzając kopytami o zlodowaciałe wzgórza, przez strumienie i śnieg.

Odpowiedź na nie odbijała się echem od skał, drzew i szarych chmur nad ich głowami.

„Jedź. Jedź”.

Rozdział 25

Feyra

Dwa dni później stałam w drzwiach opuszczonej pracowni Poliny.

Deski, którymi wcześniej zabite były okna, zniknęły, podobnie jak liczne pajęczyny. Pozostała tylko otwarta przestrzeń, czysta i jasna.

Ressina znalazła mnie wciąż jeszcze wpatrującą się w osłupieniu. Bez wątpienia zmierzała tutaj z własnej pracowni.

– Wesołego Święta Przesilenia, moja pani – powiedziała z promiennym uśmiechem.

Nie odwzajemniłam uśmiechu, ponieważ nadal wpatrywałam się w otwarte drzwi. W przestrzeń za nimi.

Ressina położyła mi dłoń na przedramieniu.

– Czy coś jest nie tak?

Palce zwisających po bokach rąk zwinęły się w pięści. W jednej dłoni ściskałam mosiężny klucz.

– To moje – powiedziałam cicho.

Uśmiech Ressiny zdawał się tylko rozszerzać.

– O, naprawdę?

– Oni… jej rodzina podarowała mi to.

Wszystko się wydarzyło dzisiejszego ranka. Kiedy przeskoczyłam do gospodarstwa należącego do rodziny Poliny, nikt nie był zaskoczony moją wizytą. Zupełnie jakby jej oczekiwali.

Ressina przechyliła głowę.

– Więc skąd ta mina?

– *Podarowali* mi to. – Rozłożyłam ramiona. – Próbowałam to kupić. Zaproponowałam im pieniądze.

Pokręciłam głową, wciąż nie mogąc wyjść z osłupienia. Nawet nie byłam jeszcze w domu. Nie powiedziałam Rhysowi. Kiedy obudziłam się rano, jego już nie było. Udał się na spotkanie z Azem i Kasjanem w obozie Devlona, więc zdecydowałam, że nie ma co na nich czekać. Zawieszanie życia nie miało najmniejszego sensu. Wiedziałam, czego chcę, nie było więc potrzeby tego odkładać.

– Wręczyli mi akt własności, polecili podpisać i dali ten klucz. – Potarłam twarz. – Odmówili przyjęcia pieniędzy.

Ressina gwizdnęła przeciągle.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Jednak siostra Poliny – odezwałam się drżącym głosem, chowając klucz do kieszeni płaszcza – zaproponowała, bym przeznaczyła te pieniądze na co innego. Że jeśli chcę je komuś oddać, powinnam podarować je Pędzlowi i Dłutu. Wiesz, co to takiego?

Byłam wtedy zbyt oszołomiona, by zrobić cokolwiek więcej, niż tylko pokiwać głową i przytaknąć.

Żółtobrązowe oczy Ressiny złagodniały.

– To instytucja charytatywna pomagająca znajdującym się w potrzebie artystom. Zapewnia im i ich rodzinom pieniądze na jedzenie, mieszkanie czy ubrania. Tak żeby nie chodzili głodni i niczego im nie brakowało, kiedy tworzą.

Nie mogłam powstrzymać cisnących się do oczu łez. Nie mogłam powstrzymać wspomnień z tych wszystkich lat w chatce, kiedy głodowałam. Widoku tych trzech małych pojemniczków z farbami, które tak ceniłam.

– Nie wiedziałam, że istnieje – zdołałam wyszeptać.

Nawet pomimo tego, że pomagałam w tylu organizacjach, nikt o tej nie wspomniał.

Nie wiedziałam, że może istnieć miejsce, świat, w którym artyści są cenieni. Gdzie ktoś się nimi opiekuje. Nawet o czymś podobnym nigdy nie marzyłam.

Szczupła, ciepła dłoń lekko ścisnęła moje ramię.

– A więc co zamierzasz z tym zrobić? Z pracownią?

Zlustrowałam pustą przestrzeń przede mną. Nie pustą: oczekującą.

Wtedy z daleka, jakby niesione chłodnym wiatrem, dobiegły mnie słowa Suriela:

„Feyro Archeron. Mam prośbę. Pozostaw ten świat lepszym miejscem, niż go zastałaś”.

Przełknęłam łzy i odsunęłam z twarzy wymykające się z warkocza włosy, po czym obróciłam się do dziewczyny.

– Nie szukasz może zupełnie niedoświadczonej partnerki w interesach?

Rozdział 26

Rhysand

Dziewczęta były na ringu treningowym.

Tylko sześć i żadna z nich nie sprawiała wrażenia zachwyconej. Jednak były tutaj, mozolnie wykonując polecenia Devlona, który bez entuzjazmu instruował je, jak posługiwać się sztyletem. Przynajmniej wybrał coś, co dość łatwo opanować. W przeciwieństwie do ilyryjskich łuków, które leżały przygotowane obok i stanowiły jawną kpinę z niedoświadczonych uczennic.

Wielu mężczyzn nie było w stanie napiąć tej potężnej broni. Wciąż jeszcze pamiętałem, jak bolesne było uderzenie cięciwą w policzek, nadgarstek czy palce, co zdarzało się często, zanim po latach w końcu opanowałem sztukę posługiwania się tą bronią.

Jeśli któraś z tych dziewczyn zdecydowałaby się uczyć strzelania z ilyryjskiego łuku, osobiście nadzorowałbym jej trening.

Kręciliśmy się z Kasjanem i Azrielem w pobliżu ringów. Przyniesione przez ostatnią burzę zwały śniegu sprawiły, że obóz w Cichej Stanicy był wyjątkowo jasny.

Zgodnie z przewidywaniami burza ucichła wczoraj, dwa dni po Przesileniu. Devlon, tak jak obiecał, trenował dziewczyny. Najmłodsza z nich mogła mieć około dwunastu lat, najstarsza – koło szesnastu.

– Wydawało mi się, że było ich więcej – mruknął Azriel.

– Część wyjechała z rodzinami na Święto Przesilenia – powiedział Kasjan, obserwując arenę i sycząc za każdym razem, kiedy jedna z dziewcząt wykonała koszmarnie nieprawidłowy manewr, który nie został poprawiony. – Nie wrócą jeszcze przez kilka dni.

Pokazaliśmy mu przygotowane prze Aza listy potencjalnych wichrzycieli w obozach. Od tego czasu generał zrobił się milczący. Okazało się, że niezadowolonych jest więcej, niż podejrzewaliśmy. Spora część pochodziła z Żelaznej Grani, rywalizującego z tym obozu, gdzie syn przywódcy, Kallon, ze wszystkich sił starał się siać zamęt. Oczywiście wszystkie jego działania skierowane były przeciwko Kasjanowi i mnie.

Odważny ruch, biorąc pod uwagę, że Kallon wciąż był jeszcze nowicjuszem w wojennym rzemiośle. Nawet jeszcze nie przeszedł rytuału, miało to nastąpić dopiero tej lub następnej wiosny. Ale ewidentnie robił się z niego taki sam zabijaka i łobuz, jakim był jego ojciec. A nawet większy, jeśli ufać słowom Aza.

„Podczas rytuału zdarzają się wypadki” – zasugerowałem, kiedy twarz Kasjana ściągnęła się na zasłyszane wieści.

„Nie splamimy tradycji naszą ingerencją” – odpowiedział tylko.

„Na niebie również w kółko zdarzają się różne wypadki” – rzucił chłodno Azriel.

„Jeśli młokos chce mi dowalić, powinien przestać chować się za ploteczkami, jak stara ciotka, tylko stanąć ze mną twarzą w twarz” – warknął Kasjan. I na tym rozmowa się zakończyła.

Znałem go na tyle dobrze, żeby zostawić sprawę jemu. Sam najlepiej oceni, jak i kiedy rozprawić się z Kallonem.

– Pomimo niepokojów w obozach… – zwróciłem się do niego, wskazując ringi. Mężczyźni trzymali się z dala od tych kilku ćwiczących kobiet, jakby obawiali się, że zarażą się od nich jakąś śmiertelna chorobą. Żałosne. – To jest dobry znak, Kas.

Azriel pokiwał potakująco głową, a wijące się wokół niego cienie zafalowały. Większość kobiet pochowała się w domach, kiedy tylko się pojawił.

Rzadka wizyta pieśniarza cieni. Istoty na wpół z mitów i koszmaru. Az wyglądał na równie niezadowolonego z konieczności pojawienia się tu, jak mieszkańcy z jego obecności, ale przybył tu na moją prośbę.

Uznałem, że Azowi dobrze zrobi, jeśli czasem przypomni sobie, gdzie są jego korzenie. Wciąż nosił ilyryjskie skóry. Nie próbował usuwać tatuaży. W pewnej mierze nadal był Ilyrem. Zawsze będzie. Nawet jeśli wolałby o tym zapomnieć.

Przez dobrą minutę Kasjan milczał z kamienną twarzą. Był cichy i nieswój już wcześniej, zanim tego ranka usiedliśmy przy stole w dawnym domku mojej matki, by omówić raporty. Stan ten utrzymywał się mniej więcej od dnia Przesilenia. Mogłem się założyć, że wiedziałem, co było przyczyną.

– Uznam, że to dobry znak – odezwał się wreszcie Kasjan – jeśli znajdzie się tam dwadzieścia dziewczyn, które będą regularnie trenować przez cały miesiąc.

Az parsknął lekko.

– Założę się, że… – zaczął.

– Żadnych zakładów – nie dał mu dokończyć Kasjan. – Nie o to.

Szpieg patrzył przez chwilę w oczy generałowi. Jego kobaltowe syfony zamigotały. W końcu skinął głową. Zrozumiał. To była misja Kasjana, zapoczątkowana wiele lat temu i być może bliska powodzenia… To było dla niego coś, o co się nie zakładał. Rana, która nigdy na dobre się nie zabliźniła.

Objąłem Kasa ramieniem.

– Małe kroczki, bracie. – Zmusiłem się do szerokiego uśmiechu, który jednak nie sięgnął moich oczu. – Małe kroczki.

Dla nas wszystkich.

Od tego mogą zależeć losy naszego świata.

Rozdział 27

Feyra

Dzwony miejskie wybiły jedenastą przed południem.

Minął miesiąc. Stałyśmy z Ressiną przed drzwiami wejściowymi, obie w niemal identycznych ubraniach, grubych białych swetrach, ciepłych rajtuzach i solidnych butach na futrze.

Butach, które już były poplamione farbą.

W tych kilku tygodniach odkąd rodzina Poliny podarowała mi tę pracownię, byłyśmy tu z Ressiną niemal codziennie. Przygotowywałyśmy to miejsce. Układałyśmy plan działań. Lekcji.

– Już za chwilę – szepnęła moja wspólniczka, rzucając okiem na niewielki zegar zawieszony na śnieżnobiałej ścianie.

To była niekończąca się debata: na jaki kolor pomalować to miejsce? Najpierw chciałyśmy żółty, ale zdecydowałyśmy, że obrazy mogą nie wyglądać najlepiej na takim tle. Czarny i szary były zbyt ponure, nie taką atmosferę chciałyśmy stworzyć. Beżowy również gryzłby się z obrazami… Zdecydowałyśmy się więc pozostać przy czystej bieli. Ale zaplecza pomalowałyśmy inaczej – każdą ścianę innym kolorem. Zieloną, różową, czerwoną i niebieską.

Jednak pomieszczenie od frontu… pozostawiłyśmy puste. Poza gobelinem, który powiesiłam na ścianie, tym przedstawiającym hipnotyzującą Pustkę. I stanowiącym przypomnienie. Przypomnienie, że Nadzieja – jakkolwiek nieprawdopodobna – przebije się przez ciemność. Przypomnienie, by pracować pomimo strat, choćby nie wiem jak przytłaczających. By tworzyć.

Poza tym na środku pomieszczenia stało dziesięć ustawionych w krąg sztalug ze stołkami.

Czekałyśmy.

– Myślisz, że przyjdą? – mruknęłam do Ressiny.

Dziewczyna przestąpiła z nogi na nogę. To była jedyna oznaka zdenerwowania, jaką zdradzała.

– Powiedzieli, że przyjdą.

W ciągu tego miesiąca wspólnej pracy stałyśmy się przyjaciółkami. Naprawdę dobrymi przyjaciółkami. Ressina miała niesamowite oko do projektowania. Na tyle dobre, że poprosiłam ją, by pomogła mi zaplanować nadrzeczny dom. Tak go nazywałam. Nie nadrzeczna posiadłość… Nie. Będzie to dom, nawet jeśli okaże się największym domem w całym mieście. Nie z chęci pokazania się, ale zwyczajnie dla wygody. Musiałam przecież wziąć pod uwagę rozmiar naszego kręgu, naszej rodziny. Rodziny, która może niedługo zacznie się powiększać.

Ale to potem. Na razie…

Minęła minuta. Dwie.

– No, chodźcie – mruknęła Ressina.

– Może pomylili godzinę?

W chwili, gdy to powiedziałam, pojawili się. Obie wstrzymałyśmy oddech, kiedy grupka skręciła za róg, kierując się w stronę pracowni.

Dziesięcioro dzieci, zarówno fae wysokiego rodu, jak i pospolitych. Części towarzyszyli rodzice. Tylko części… pozostali nie żyli.

Utrzymywałam ciepły uśmiech na twarzy, choć serce waliło mi jak młotem z każdym dzieckiem, które wchodziło do pracowni, niepewne i ostrożne, po czym przystawało w pobliżu

sztalug.

Dłonie mi się pociły na widok ich rodziców o twarzach nieco mniej nieufnych, ale nadal niepewnych. Niepewnych, ale pełnych nadziei.

Nie dla siebie, ale dla dzieci, które przyprowadzili ze sobą.

Nie rozgłaszałyśmy szeroko naszej inicjatywy. Ressina powiadomiła swoich znajomych i przyjaciół i poprosiła, by rozejrzeli się wokoło. Może w mieście były dzieci, które potrzebowały miejsca, by wyrazić wszystkie okropieństwa, które zdarzyły się podczas wojny. Może były takie, które nie umiały rozmawiać o tym, co przeszły, ale może chciałyby to namalować albo wyrzeźbić. Być może nie zrobiłyby żadnej z tych rzeczy, ale sam akt tworzenia *czegoś*… mógłby być balsamem na ich dusze.

Tak jak dla mnie.

Tak jak dla tkaczki, Ressiny i wielu innych artystów w tym mieście.

Kiedy tylko wieść się rozeszła, posypały się zapytania. Nie tylko od rodziców bądź opiekunów, ale też od potencjalnych nauczycieli. Od artystów z Tęczy, którzy chcieli pomóc, nauczać.

Ja mogłam prowadzić najwyżej jedne zajęcia dziennie, zależnie od tego, na ile pozwalały mi obowiązki jako księżnej Dworu Nocy. Ressina miała prowadzić drugie. Zaś pracujący na zmianę nauczyciele zajęli się trzecią i czwartą lekcją.

Wśród nich i sama tkaczka Aranea.

Okazało się, że chętnych wśród rodziców i rodzin było nadspodziewanie wielu.

„Kiedy zaczną się zajęcia?” – pytano najczęściej. A zaraz potem: „Ile będą kosztowały?”.

Nic. Powiedziałyśmy im, że nic. Były za darmo. Żadne dziecko, żadna rodzina za nic nie zapłaci – nawet za przybory.

Pomieszczenie się wypełniło, wymieniłyśmy z Ressiną nerwowe spojrzenia pełne ulgi.

Kiedy zaś obróciłam się ku rodzinom zebranym w tym otwartym, słonecznym wnętrzu, uśmiechnęłam się ponownie i zaczęłam lekcję.

Rozdział 28

Feyra

Półtorej godziny później czekał już na mnie.

Kiedy dzieci wychodziły, niektóre ze śmiechem, inne poważne z pustym wzrokiem, przytrzymał im i ich rodzinom drzwi. Wszyscy gapili się, skłaniali głowy, podczas gdy Rhys uśmiechał się do nich szeroko i swobodnie.

Kochałam ten jego uśmiech. Tę niewymuszoną grację, z którą wkroczył do galerii, dzisiaj bez skrzydeł, i przyglądał się wciąż schnącym obrazom. Obrzucił spojrzeniem moje powalane farbą ubranie i twarz.

– Ciężki dzień w pracy?

Odsunęłam pasmo włosów z twarzy świadoma, że najprawdopodobniej są niebieskie od farby. Ponieważ moje palce były nią pokryte.

– Dobrze, że nie widziałeś Ressiny.

Poszła właśnie na zaplecze zmyć z siebie czerwoną farbę. Jedno z dzieci wpadło bowiem na pomysł, by stworzyć bańkę z całej farby, żeby sprawdzić jaki będzie miała kolor. Potem zaś pokierowało nią tak pechowo, że trafiła Ressinę prosto w twarz.

Rhys roześmiał się, kiedy pokazałam mu to wspomnienie.

– Przynajmniej świetnie potrafi wykorzystać swoją budzącą się moc.

Uśmiechnęłam się szeroko i spojrzałam na stojący obok niego obraz.

– To samo powiedziałam, jednak Ressina nie uznała tego za zabawne.

A mimo to roześmiała się, co nie było proste wśród tylu dzieci z zarówno widocznymi, jak i niewidocznymi bliznami.

Przyglądaliśmy się z Rhysem dziełu dziewczynki, której rodzice zginęli podczas ataku.

– Nie dałyśmy im zbyt konkretnych wskazówek – opowiadałam, kiedy on przyglądał się płótnu. – Poleciłyśmy im namalować wspomnienie. To właśnie stworzyła.

Trudno było na to patrzeć. Były tam dwie postacie i mnóstwo czerwieni. Figury na niebie z paskudnymi zębiskami i szponami.

– Nie zabierają swoich obrazów do domu?

– Te muszą najpierw wyschnąć, jednak spytałam ją, czy chciałaby umieścić go w jakimś szczególnym miejscu. Powiedziała mi, żeby go wyrzucić.

W oczach Rhysa odmalowało się zmartwienie.

– Chciałabym go zatrzymać – dodałam cicho. – Żeby powiesić w moim przyszłym gabinecie. Żebyśmy nigdy nie zapomnieli.

Co się wydarzyło, na co pracowaliśmy. Z tego samego powodu wisiał tu gobelin Aranei przedstawiający insygnia Dworu Nocy.

W odpowiedzi pocałował mnie w policzek i podszedł do następnego obrazu. Roześmiał się.

– Ten chłopiec był wyjątkowo zawiedziony swoimi prezentami na Święto Przesilenia. Z tego, co rozumiem, nie było wśród nich szczeniaczka. Więc jego „wspomnienie” jest tak naprawę życzeniem, które, jak ma nadzieję, spełni się w przyszłości. On i jego pies, mieszkający w domu, podczas gdy wyrodni rodzice zostali odesłani do psiej budy.

– Matko, miej w opiece jego rodziców.

– To on stworzył bańkę z farby.

Znów wybuchnął śmiechem.

– Matko, miej *ciebie* w swojej opiece.

Szturchnęłam go ze śmiechem.

– Przespacerujemy się do domu na lunch?

Wykonał przesadny ukłon.

– Będę zaszczycony, moja pani.

Przewróciłam oczami i krzyknęłam do Ressiny, że wrócę za godzinę. Odkrzyknęła, żebym się nie śpieszyła. Następne zajęcia zaczynają się dopiero o drugiej. Zdecydowałyśmy, że w pierwszych kilku lekcjach będziemy uczestniczyły obie, żeby rodzice i opiekunowie mogli nas poznać. No i dzieci oczywiście też. Zanim przerobimy pełen grafik zajęć, miną pełne dwa tygodnie.

Rhys pomógł mi założyć płaszcz i jeszcze zanim wyszliśmy na mroźną, słoneczną ulicę, skradł mi całusa. W Tęczy aż wrzało od artystów i kupujących, którzy kiwali nam głowami i machali, kiedy podążaliśmy w stronę naszego miejskiego domu.

Szliśmy pod ramię, ja wtulona w jego ciepło.

– To dziwne – szepnęłam.

Rhys przechylił głowę.

– Co takiego?

Uśmiechnęłam się. Do niego, Tęczy i miasta.

– To uczucie, ta radość z przebudzenia każdego ranka. Z możliwości zobaczenia ciebie, z możliwości pracy, że mogę po prostu tu być.

Blisko rok temu powiedziałam mu coś zupełnie innego. Życzyłam sobie czegoś przeciwnego. Jego twarz złagodniała, jakby i on przypomniał sobie tamte chwile. I zrozumiał.

– Wiem, że jest wiele do zrobienia – ciągnęłam. – Wiem, że wciąż pozostały sprawy, którym trzeba będzie stawić czoła. Jednym prędzej niż innym. – Kilka gwiazd zgasło w jego oczach na tę myśl. – Wiem, że są jeszcze Ilyrowie, ludzkie królowe i sami ludzie, no i cała reszta. Ale mimo to…

Nie byłam w stanie dokończyć tego zdania. Nie umiałam znaleźć odpowiednich słów. Ani wypowiedzieć ich bez rozklejenia się publicznie.

Toteż tylko wtuliłam się w niego, w tę niesłabnącą siłę, i przekazałam mu resztę po naszej więzi.

„Dzięki tobie jestem bardzo szczęśliwa. Moje życie jest pełne radości i nigdy nie przestanę być wdzięczna, że w nim jesteś”.

Spojrzałam w górę i dostrzegłam, że po jego policzkach płyną łzy, których wcale się nie wstydził. Otarłam kilka, zanim mroźny wiatr zamienił je w kryształki lodu, a Rhys wyszeptał mi do ucha:

– Ja również nigdy nie przestanę być wdzięczny, że jesteś w moim życiu, droga Feyro. I nieważne, co nas czeka… – Tu na jego ustach pojawił się nikły wesoły uśmiech. – Stawimy temu czoła razem. Radując się każdą chwilą.

Wtuliłam się w niego mocniej, a on objął mnie ramieniem. Oboje nosiliśmy teraz podobne tatuaże – niewypowiedzianą obietnicę między nami. Że nigdy się nie rozstaniemy, aż do samego końca.

A nawet potem.

„Kocham cię” – przekazałam mu przez więź.

„Jakbyś miała nie kochać?”.

Zanim zdążyłam go szturchnąć, ponownie mnie pocałował – tak mocno, że aż dech mi zaparło.

„Za gwiazdy, które słuchają, Feyro”.

Musnęłam dłonią jego policzek, by zetrzeć resztki łez. Skórę miał miękką i ciepłą. Skręciliśmy już w ulicę, która miała nas poprowadzić prosto do domu. Ku przyszłości i wszystkiemu, co nas w niej czekało.

„Za marzenia, które się spełniają, Rhys”.

Podziękowania

Podczas pisania tej książki wydarzyły się dwie najważniejsze w moim dotychczasowym życiu rzeczy. Uprzedniego lata, kiedy miałam już około jednej trzeciej *Dworu szronu i blasku gwiazd*, otrzymałam najstraszniejszy telefon od mojej mamy: mój ojciec miał poważny zawał i jego szanse na przeżycie nie były duże. Wszystko, co wydarzyło się potem, zakrawa zwyczajnie na cud i to, że tata dzisiaj żyje i jest w stanie cieszyć się ze mną z wydania tej książki, napełnia mnie radością większą, niż jestem to w stanie wyrazić.

Na zawsze będę wdzięczna niesamowitemu zespołowi OIOM-u ze szpitala Uniwersytetu stanu Vermont w Burlington. Nie tylko ocalili życie mojemu ojcu, a poziom ich opieki nie ma sobie równych, ale również przez całe dwa tygodnie, gdy tam przebywał, a my koczowaliśmy wraz z nim, okazali mu (i całej naszej rodzinie) olbrzymie pokłady współczucia. Pielęgniarki z OIOM-u zawsze już będą moimi bohaterkami – Wasza ciężka praca, niesłabnący optymizm i niebywała inteligencja przejdą do historii. Daliście naszej rodzinie promyk nadziei w najczarniejszych dniach, ani razu nie czuliśmy ciężaru, który inaczej przytłoczyłby nas ze względu na niewielkie szanse powrotu do zdrowia. Dziękuję, dziękuję, dziękuję Wam wszystkim za to, co zrobiliście, nie tylko dla mojej rodziny, ale dla wielu innych ludzi.

Po tym wszystkim udało mi się wreszcie ukończyć książkę (dzięki kilku uzdrawiającym tygodniom spędzonym w pięknym Maine) i wreszcie wczesną jesienią otrzymałam drugą odmieniającą całe życie wiadomość – spodziewam się dziecka. Przeszłam od lata, które było najgorszym okresem w moim życiu, do jesieni, która przyniosła mi taką nieopisaną radość i błogosławieństwo. Opowieść ta zostanie wydana dosłownie na kilka tygodni przed moją przewidywaną datą porodu i z tego powodu *Dwór szronu i blasku gwiazd* zawsze będzie miał w moim sercu szczególne miejsce.

Nie przetrwałabym tych długich miesięcy pracy bez mojego męża Josha (nie przetrwałabym swojego życia bez niego). Zatem dziękuję Ci, najwspanialszy mężu w dowolnym świecie, za dbanie o mnie zarówno przed ciążą, jak i w jej trakcie i za zadbanie, żebym mogła utrzymać koncentrację i ukończyć tę książkę (jak choćby za nieskończone talerze przekąsek, herbatę na żądanie czy wynajdywanie najwygodniejszych poduszek, na których mogłabym wesprzeć opuchnięte stopy). Kocham Cię do samych gwiazd i z powrotem i nie mogę się doczekać kolejnego cudownego rozdziału naszej wspólnej podróży.

I Annie. Moja słodka, zadziorna szczenięca Annie. Dziękuję Ci za ciepłe przytulaski i łaskoczące buziaki, za bycie tak radosną i za pocieszanie mnie w najjaśniejsze i najmroczniejsze dni. Nie istnieje lepszy ani wierniejszy psi towarzysz od Ciebie. Będę Cię zawsze kochała.

Jak zwykle pozostaję ogromną dłużniczką mojej agentki, Tamar Rydzinski. Dziękuję, dziękuję, dziękuję za stanie w moim narożniku, chronienie mnie przed postradaniem zmysłów, a także za Twoją mądrość i rady. Bez Ciebie nic z tego by mi się nie udało.

Kozackiej ekipie z agencji Laura Dail: rządzicie. Dziękuję Wam za wszystko. Cassie Homer: jesteś absolutnie najlepsza i jestem niezmiernie wdzięczna za wszystko, co robisz.

Bethany Buck: dziękuję za całą Twoją pomoc przy tej książce i za bycie tak cudowną osobą. Dodatkowo nieskończone podziękowania dla całej ekipy z Bloomsbury: Cindy Loh, Cristiny Gilbert, Kathleen Farrar, Nigela Newtona, Rebeki McNally, Soni Palmisano, Emmy Hopkin, Iana Lamba, Emmy Bradshaw, Lizzy Mason, Courtney Griffin, Eriki Barmash, Emily Ritter, Alony Fryman, Alexis Castellanos, Grace Whooley, Alice Grigg, Elise Burns, Jenny Collins, Beth Eller, Kelly de Groot, Lucy Mackay-Sim, Hali Baumstein, Melissy Kavonic, Diane Aronson, Donny Mark, Johna Candella, Nicholasa Churcha, Anny Bernard, Kate Sederstrom

i całego zespołu zajmującego się prawami do wydań za granicą: niezmiernie się cieszę, że to właśnie Wy mnie wydajecie.

Charlie Bowater: Twoje rysunki inspirują mnie na wiele sposobów. Dziękuję za Twoją niesamowitą pracę i za naprawdę wspaniałe opracowanie okładki. Współpraca z Tobą to prawdziwe spełnienie marzeń. Nie mogę się już doczekać dalszej współpracy w przyszłości.

Mojej rodzinie: dziękuję za miłość i wsparcie, które okazaliście tego lata mojemu tacie i mnie. Przylecieliście i przyjechaliście ze wszystkich zakątków kraju, żeby być z nami w Vermoncie. Minął już niemal rok, a ja wciąż nie znajduję słów, które należycie oddałyby ogrom mojej wdzięczności i miłości do Was wszystkich. To prawdziwe błogosławieństwo, mieć Was w moim życiu.

Moim rodzicom: to był bardzo trudny rok, ale udało się nam. Nigdy nie przestanę wychodzić z podziwu i nigdy nie przestanę być Wam wdzięczna, że mogę w ogóle napisać te słowa. Kocham Was oboje.

Moim cudownym przyjaciołom (wiecie, o kim mowa): dziękuję za bycie przy mnie, kiedy potrzebowałam Was najbardziej, za interesowanie się samopoczuciem moim i mojej rodziny, a także za to, że zawsze przynosicie mi uśmiech na twarz.

I na koniec wszystkim tym, którzy sięgnęli po moje książki: dziękuję Wam. Jesteście najwspanialszą grupą ludzi, jaką kiedykolwiek spotkałam. Jestem zaszczycona, że mam Was za czytelników. Za gwiazdy, które słuchają… I marzenia, które się spełniają.

Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska

Redaktor prowadzący: Anna Salwa

Przekład: Dorota i Jakub Radzimińscy

Redakcja: Magdalena Adamska

Korekta: Artur Kaniewski, Anna Salwa

Projekt okładki: John Candell and Katie Everson

Ilustracje wykorzystane na okładce: Figure illustration by Adrian Dadich

Background illustration by Charlie Bowater

Mapa: © Kelly de Groot 2017

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48

tel./faks (22) 826 08 82, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-6184-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o. i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

virtualo